



WYDANIE PAMIĄTKOWE

Z TRZECH LAT POBYTU W S. P. P.

1931 – 1934

11 PROMOCJA PODPORUCZNIKÓW

IM. GEN. BRYG.

TADEUSZA KASPRZYCKIEGO

15 SIERPIEŃ 1934 r.

ROK IV Nr. 5

Temu, który jeden z pierwszych usłuchał wezwania Wodza i stanął na Zew Ojczyzny, gdy w pamiętnym dniu sierpniowym kroczył na czele garstki Szaleńców, co nie wahali się cisnąć rękawicy odwiecznemu wrogowi.

Ukochanemu Przełożonemu i Patronowi 11 promocji Podporuczników

Panu I-szemu Wiceministrowi
Spraw Wojskowych

GENERAŁOWI BRYGADY

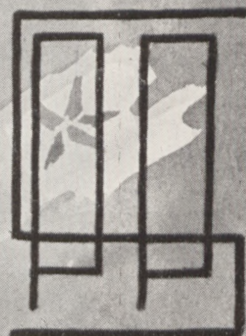
TADEUSZOWI KASPRZYCKIEMU

w dniu najbardziej dla siebie uroczystym jako wyrazy czci i żołnierskiego przywiązania niniejsze skromne wydawnictwo składają w hołdzie

PODPORUCZNICY 11 PROMOCJI
im. Gen. Bryg. TADEUSZA KASPRZYCKIEGO

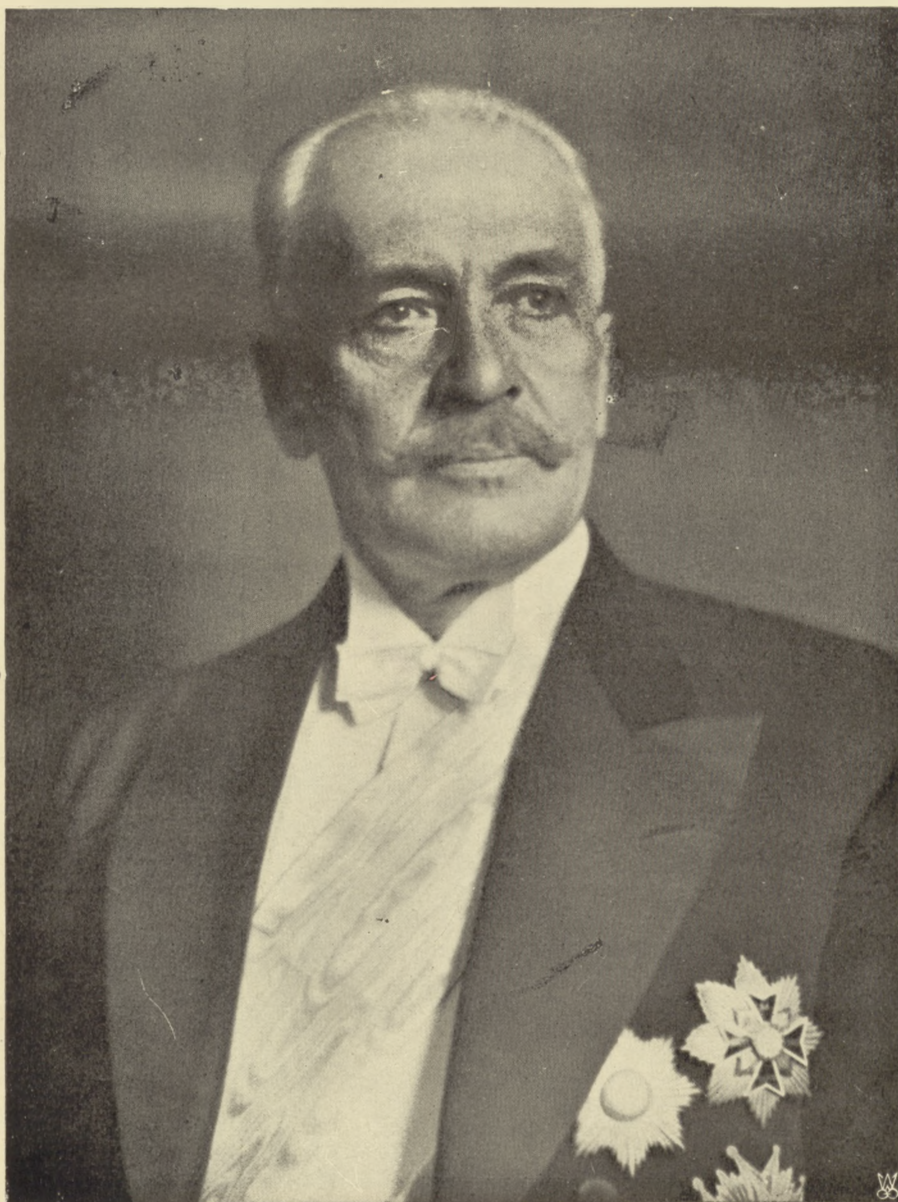
Ostrów Mazowiecka, 15 sierpnia 1934 roku.

RZECZPOSPOLITA PODCHORĄŻACKA

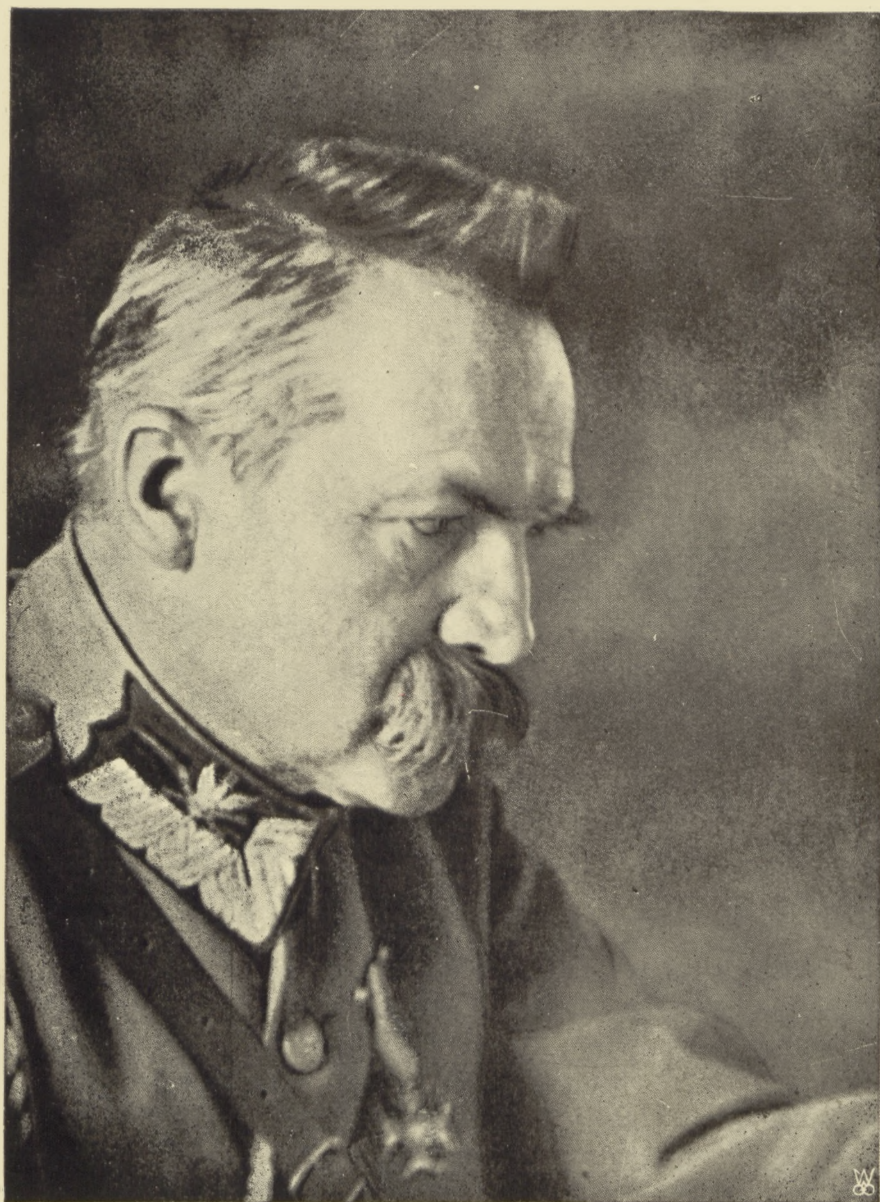


PROMOCYJNY





NAJWYŻSZY ZWIERZCHNIK SIŁ ZBROJNYCH
PAN PREZYDENT PROF. DR. IGNACY MOŚCICKI



MARSZAŁEK POLSKI JÓZEF PIŁSUDSKI



GEN. DYWIZJI KAZIMIERZ FABRYCY
Inspektor Armji i Szkół, były I-szy Wiceminister Spraw Wojskowych



GEN. BRYGADY TADEUSZ ZBIGNIEW KASPRZYCKI
I-szy Wiceminister Spraw Wojskowych



PŁK. DYPL. KAZIMIERZ JANICKI
Szef Departamentu Piechoty



PŁK. DYPL. LUDWIK BOCIAŃSKI
Komendant Szkoły Podchorążych Piechoty

Drużyna Komendanta S. P. P.



Ks. Kpl. Tomczak Franciszek



Kpt. Roman Kazimierz
Kier. wyszk. strzel.



Kpt. Neuman-Nomarski Zygmunt
Kwatermistrz



Kpt. dr. Wagner Bronisław
Nacz. lekarz garniz.



Kpt. dr. Pasieczny Tadeusz
Młodszy lek. i wykł. hygj.



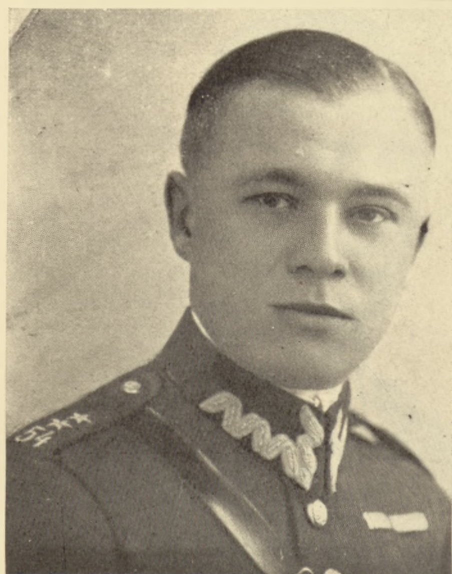
Kpt. Gajowski Władysław
of. adm. mat.



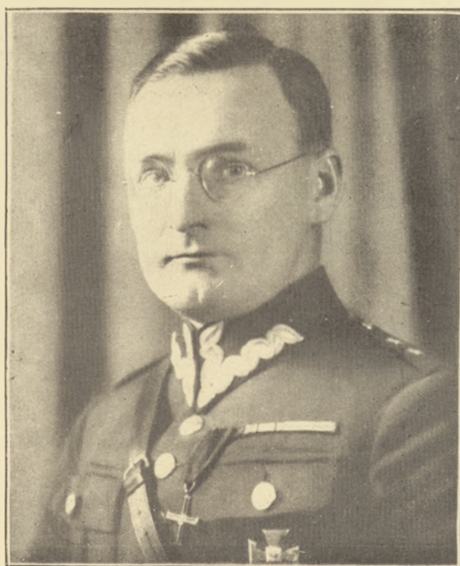
Por. Wierzyński Stefan
Instr. życia towarz. postęp. honor.,
wykł. korespon. wojsk.



Kpt. Ćwiąkalski Józef
Adjutant S. P. P.



Por. Domaradzki Kazimierz
Kier. W. F.



Por. Świtaj Lucjan
Płatnik S.P.P. i wykł. administracji



Por. Słowikowski Wacław
Oficer żywnościowy



Mjr. STANISŁAW MILJAN, Dowódca I Baonu S.P.P.



Kpt. dypl. Kijak Stanisław
wykł. taktyki



Kpt. Barcik Jan
wykł. gazoznawstwa



Kpt. dypl. Migula Eryk
wykł. historji

Wykładowcy I Baonu S.P.P.



Kpt. Słodkiewicz Władysław
Instr. wyszk. strzel. I Baonu



Kpt. Soroko Romuald
wykł. terenoznawstwa



Kpt. Pecha Antoni
wykł. pionierki



Kpt. Lenkiewicz Władysław
wykł. geografji



Por. Piotrowski Jan
wykł. łączności



Por. Kania Roman
Instr. W. F.



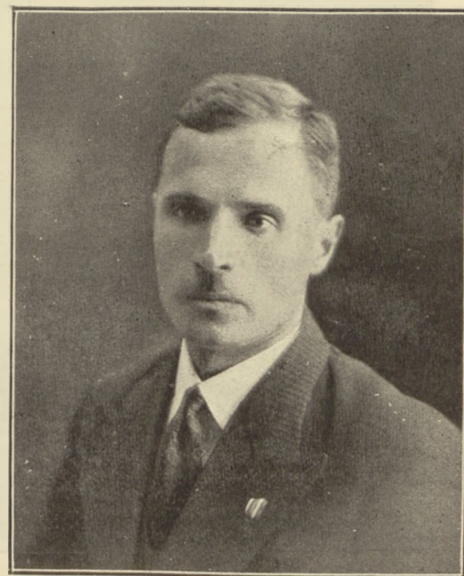
Por. Banaszkiewicz Władysław
Instr. W. F.



Por. Srzedziński Zygmunt
wykł. artylerji



Prof. inż. Kuczera
naucz. jęz. rosyjsk.



Prof. Monkiewicz
naucz. jęz. rosyj. i niem. i psychotechn.



Por. Wąsowski Henryk
Instr. wyszk. strzel.



Por. Waligóra Władysław
D-ca I Plutonu



Kpt. Zarzycki Władysław
D-ca 1 Komp.



Kpt. Miciński Wacław
D-ca II Plutonu



Por. Chocholski Bolesław
D-ca III Plutonu



Por. Stawicki Józef
Instr. wyszk. strzel.



Por. Piotrowski Ksawery
D-ca I Plutonu



Kpt. Mischke Wincenty
D-ca 2 Komp.



Por. Osuchowski Mieczysław
D-ca II Plutonu



Por. Szczęsny Mieczysław
D-ca III Plutonu



Por. Śniecikowski Adam
Instr. wyszk. strzel.



Por. Faliszewski Stanisław
D-ca I Plutonu



Kpt. Janowski Stanisław
D-ca 3 Komp.



Kpt. Lichodziejewski Kazimierz
D-ca II Plutonu



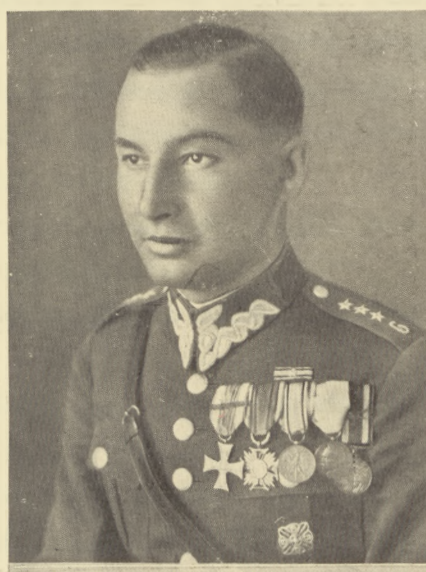
Por. Świderski Hipolit
D-ca III Plutonu



Por. Proń Bronisław
Instr. wyszk. strzel.



Por. Kołodziejski Józef
D-ca I Plutonu



Kpt. Sadowski Karol
D-ca 4 Komp.



Por. Bielecki Jan
D-ca II Plutonu



Por. Biske Zygmunt
D-ca III Plutonu

PANIE KOMENDANCIE!

Przez trzy długie lata prowadziłeś nas ku wyżynom ducha i wiedzy, przez trzy lata byłeś naszym duchowym przewodnikiem, opiekunem i ojcem.

Pod okiem Twem kształtowaliśmy nasze dusze, urabialiśmy charaktery, hartowaliśmy wolę.

Tyś uczył nas ukochać co wzniosłe i piękne, Tyś nam wskazał drogi, wiodące ku jednemu wielkiemu celowi, któremu na imię Ojczyzna, Honor i Obowiązek.

Dziś, kiedy kierowani Twoją doświadczoną dłonią zawijamy do brzegu i zmuszeni jesteśmy Cię pożegnać jakaś, dziwna zaduma przyobleka czoła.

Bo i czemże możemy Ci się odwdzięczyć, jak dziękować za Twą pracę nad nami, za Twój wysiłek i trud, za Twą troskliwą opiekę?

Darzymy Cię miłością, miłością jaką żywi w swem sercu żołnierz względem swego ukochanego przełożonego, syn względem ojca.

Serca nasze są przepełnione głęboką wdzięcznością względem Ciebie, czcią i żołnierskiem przywiązaniem.

Wszystko to jednak jest zbyt małe, zbyt nikłe, zbyt blade wobec tego, czegośmy od Ciebie doznali.

Panie Komendancie! Żegnając Cię dzisiaj i wychodząc z pod Twej opieki w świat, pragniemy złożyć Ci w darze coś innego, coś co będzie przedstawiało dla Ciebie znacznie większą wartość. Pragniemy Ci złożyć nasze żołnierskie przyrzeczenie, iż zawsze będziemy kroczyć drogą wytkniętą nam przez Ciebie, pomni na wskazane nam Twą ręką ideały. Nie sprawimy Ci nigdy zawodu ani przykrości, stojąc zawsze na straży honoru naszego munduru i naszych chorągwi.

Żegnaj nam, Panie Komendancie, i niech Twa praca ku chwale naszej Ojczyzny da stokrotny plon!

Podporucznicy 11 Promocji.

Ostrów Mazowiecka, 15.VIII 1934 r.

IMIENIEM WYDAWNICTWA

Jesteśmy już u celu naszej trzechletniej pracy, naszych zmagań i wysiłków.

Jeszcze kilka dni, jeszcze kilka godzin a opuścimy mury tej szkoły, by w niedalekiej już przyszłości wystąpić na szerszej arenie życia naszej armji.

Z chwilą tą kończy się również i nasza praca nad „Rzeczpospolitą Podchorążacką", której redakcję i kierownictwo oddajemy w ręce naszych młodszych Kolegów.

W całorocznej swej pracy kierowaliśmy się zawsze dobrem naszego pisma i nie szczędziliśmy starań i zabiegów, byle tylko postawić je na odpowiednim dlań poziomie. Staraliśmy się zawsze kroczyć drogą prostej i zdrowej myśli podchorążackiej, drogą uświęconą tradycją naszych wielkich Poprzedników z 1830 r. i wytkniętą przez ideologję naszego ukochanego Wodza.

Pomimo skromnej współpracy i licznych trudności, z jakiemi zmuszeni byliśmy borykać się na każdym niemal kroku, staraliśmy się uczynić pismo nasze tem żywem ogniskiem, które skupiłoby w sobie myśli, nastroje i uczucia całej naszej S. P. P. a nie pewnego ściśle określonego zespołu.

Dążyliśmy do tego, ażeby to skromne wydawnictwo było dla nas pewnego rodzaju rozrywką kulturalną, wnoszącą w szarzyznę i monotonję życia codziennego nieco słońca i zdrowego żołnierskiego humoru.

Dziś powierzając reprezentację myśli podchorążackiej naszym następcom patrzymy na tą dziedzinę życia kulturalnego naszej szkoły, jak na coś niezmiernie nam drogiego i bliskiego, tak bowiem przywiązaliśmy się do niej przez ten jeden rok pracy.

Pragniemy jedynie by Koledzy nasi dołożyli wszelkich starań, ażeby wywiązać się należycie z przyjętego na siebie zadania.

Pragnęlibyśmy, by to ostatnie nasze wydawnictwo stało się żywą pamiątką tych chwil spędzonych w mundurze podchorążego, chcielibyśmy zawrzeć w niem to wszystko, co zdolne byłoby kiedyś, po latach wielu wywołać choć słabe echo wspomnień z najpiękniejszych dni naszej młodości. To też wzięliśmy jako myśl przewodnią w pracy nad niem.

Żegnając tym ostatnim numerem naszych młodszych Kolegów życzymy Im zarazem powodzenia i jak najbardziej owocnych wyników w pracy.

SKINDER BOLESŁAW
nacz. red.

Ostrów Mazowiecka, 15. VIII 1934 r.

KOCHANI KOLEDZY!

Opuszczacie mury szkolne, by zdać egzamin w życiu z tego, coście wynieśli ze Szkoły Podchorążych. Honor, Ojczyzna, ukochanie Wodza, ukochanie Braci żołnierskiej, posłuszeństwo, obowiązkowość i pracowitość — oto spuścizna szkoły dla Was na całe życie.

Od siły napięcia powyższych uczuć zależeć będzie los Ojczyzny, Jej wielkość i Wasza przyszłość.

Wierzę, że w tym dniu uroczystym dla Was, nie będzie wśród Was nikogo, któryby w myśli swej nie powtarzał tych haseł, starając się utrwalić je w duszy i w sercu na całe życie.

Lecz życie jest długie i szare, a praca żmudna, ciężka, bez rozgłosu, pełna niespodzianek, a czasami i przykrości.

W tych ciężkich chwilach niech każdy z Was myślami wróci do dzisiejszej uroczystości i przypomni sobie te ideały, a przetrwa i zwycięży wszystkie trudności, nawet choćby całe piekło miało się sprząc przeciwko Wam. Bierzcie zawsze przykład z życia Marszałka Józefa PIŁSUDSKIEGO; ile trudności piętrzyło się na drodze Jego życia, wiodącej do wytkniętego celu? A przecież zwyciężył wszystko i wszystkich!

Z ukochania naszej Braci żołnierskiej czerpcie nowe siły do pracy i walki życiowej. Przy tak pojętej pracy i dążności możecie śmiało czekać pomyślnych rezultatów i nie groźną dla Was będzie chwila zmierzenia się na polu walki, — tej najcięższej próby życia Waszego, — z przeciwnikiem oko w oko.

Zdacie egzamin w całej pełni wobec Ojczyzny, wobec Wodza, wobec Siebie i doczekacie się najpiękniejszego pomnika, jaki wystawili w czasie wojny polsko-bolszewickiej żołnierze swemu oficerowi ś. p. por. PRABUCKIEMU, dowódcy kompanji 64 pułku piechoty, kiedy z gestem, — na który stać tylko żołnierza, — oddali kolejno w obronie konającego dowódcy swe życie sierżant-szef, sierżant-podchorąży, kapral i 12 szeregowców, kładąc się pokotem na trupie swego dowódcy.

Koledzy!

Poraz czwarty w czasie mej pracy w Szkole Podchorążych, żegnam się z Jej wychowankami, których liczbę powiększacie do przeszło półtora tysiąca oficerów.

Półtora tysiąca oficerów pełnych sił i zapału, dla których czołowem hasłem życia jest honor i Ojczyzna. — Co za siła, co za potęga ducha!

Wyobrażam sobie, gdyby wszyscy wychowankowie Szkoły Podchorążych zespolili swe siły duchowe w tych hasłach, które dała im na drogę życia Szkoła Podchorążych, musieliby zadziwić cały świat, a Armja nasza musiałaby być wzorem dla wszystkich narodów świata, a Nasz Ukochany Wódz mógłby spokojnie złożyć na Wasze barki Swój trud i troski o przyszłość Ojczyzny.

Pomyślcie Koledzy, czy nie warto żyć i pracować, by doczekać się kiedyś na polu walki tego najpiękniejszego pomnika, jakiego doczekało się tylu Prabuckich?

Niech Wam błogosławi Bóg w Waszej zbożnej pracy.

Bywajcie.

Komendant Szkoły Podchor. Piechoty
B O C I A Ń S K I
Płk. dypl.

Skinder Bolesław

W DNIU PROMOCJI

Donośne słowa komendy... Błysk prezentowanych szabel... Od stóp ołtarza, przesłoniętego lekką i przejrzystą mgiełką, buchających z kadzielnic dymów, płyną słowa modlitwy, zdają się trzepotać na skrzydłach i mknąć prosto w górę, hen ku nieskazitelnemu błękitowi nieba.

Cisza, ogromna, majestatyczna cisza spłynęła nad zalegające błonie tłumy, tylko zgodny, przyśpieszony łomot serc, tylko westchnienia, rwące się z piersi... Ostatnie „Ite Missa est!"... Bogu Rodzica!... Promocja...

Błogie, z niczem nie dające się porównać uczucie opanowuje całe jestestwo, wyziera z oczu przeogromnym błyskiem radości, rozsadza pierś. Przebija się w niem radość osiągniętego celu, duma zwycięstwa, triumf...

Myśl rwie się ustawicznie, jakby porażona doniosłością tej jedynej w życiu chwili...

A więc jesteśmy już u mety.

Jesteśmy jak wędrowiec, który chłostany mroźnym oddechem wichury, smagany jej lodowatem tchnieniem, to znów nurzający się w dusznej spiekocie południa wysyłał raz poraz wzrok tęskny ku kresowi wędrówki, aż pokonawszy wytrwale wszystkie przeszkody staje u celu zwycięzcą.

Zasadniczy cel naszej trzechletniej pracy, naszych zmagań i wysiłków został osiągnięty.

Dziś mundur nasz zdobi już gwiazdka oficerska, dziś jesteśmy już oficerami Wolnej i Niepodległej Polski.

Czy to już jednak koniec? Czy to już kres naszej pracy? Nie! Jest to dopiero początek, jest to wstęp, pierwszy niejako krok postawiony na tem nowem dla nas polu życia. Jest to jeden z etapów naszej wędrówki, na którym nie wolno nam się zatrzymać. Zadaniem naszem iść zwycięsko naprzód, nie ustawać w pół drogi, lecz przeć niepowstrzymanie do celu.

Wdziawszy na siebie ten mundur oficerski, wzięliśmy zarazem na barki całe brzemię zadań i obowiązków, związanych z żołnierskim zawodem.

Strzec z bronią w ręku całości, niepodległości i godności naszej Ojczyzny a w potrzebie oddać za Nią bez wahania życie — oto pierwsze i najważniejsze przykazanie naszego rycerskiego zakonu.

Przygotowanie obywateli na dzielnych, sprawnych i bitnych żołnierzy i wychowanie ich w takim duchu, by hasło Salus Reipublicae Suprema Lex nie było tylko pustym frazesem w ich ustach, lecz stało się jedyną i wyłączną treścią ich życia — będzie dla nas następnem przykazaniem.

Są to obowiązki niezmiernie zaszczytne, jednak zarazem i trudne. My jednak musimy spełnić je należycie i spełnimy.

Trzy lata twardej, życiowej szkoły przygotowało nas do nich. Przez trzy lata hartowaliśmy nasze charaktery, kształciliśmy umysły, gromadziliśmy wiedzę fachową.

Naszą ostoją w tej pracy, hasłem i zachętą do wytrwania była nasza świetna tradycja narodowa, nasza bogata przeszłość. Wychowaliśmy się na ideologji Tego, co najśmielsze i najbardziej fantastyczne zamiary potrafił wcielać w czyn.

Dziś wychodzimy w świat silni duchem, bogaci wiedzą, świadomi swych zadań i obowiązków, ożywieni wolą walki i wiarą w zwycięstwo.

Nie wolno jednak nam ustawać w pracy. Nie wolno spocząć na laurach.

Kształcenie charakterów, pogłębianie swej wiedzy, doskonalenie się w swym zawodzie — niech będzie stałą naszą dewizą i najważniejszem zawołaniem.

Ludzkość dąży niezmordowanie naprzód, każdy dzień, każda niemal godzina przynosi coraz to nowe postępy. Powinniśmy śledzić wartki bieg życia, trzymać ustawicznie rękę na jego tętnie.

Gwałtowny, niebywały wprost rozwój techniki dokonał gruntownych zmian we wszystkich dziedzinach życia, komplikując je niepomiernie.

Oto co mówi o tem nasz ukochany Wódz, Pierwszy Marszałek Polski Odrodzonej.

„Im bardziej technika wojskowa się rozwija, im bardziej przychodzi skomplikowana praca z instrumentem broni, tem wyższe stawia się oficerowi wymagania".

A my musimy przecież sprostać najwyższym wymaganiom.

Oprócz wiedzy czysto fachowej i praktycznej powinniśmy kształcić i wyrabiać w sobie siły duchowe.

Nowoczesny bój, dzięki szalonemu rozpanoszeniu się maszyny wymaga ich znacznie więcej, niż to kiedyś miało miejsce.

Są głosy, które wobec gwałtownych postępów techniki starają się usunąć człowieka w cień, zastępując go żelazną machiną.

Posłuchajmy znów naszego Wojennego Genjusza:

„Żadna praca wojenna nic nie daje, jeżeli człowiek w niej nie bierze udziału, jeżeli człowiek jej nie przeprowadza".

W chaosie i zamęcie bitewnym, wśród szalejącej śmierci musimy umieć porwać za sobą szarego żołnierza, wlać weń męstwo i otuchę, natchnąć go wiarą w zwycięstwo.

Spełnimy zaś to jedynie wówczas, gdy sami będziemy silni duchowo.

Musimy być nietylko dowódcami, lecz również i duchowymi przewodnikami żołnierza, musimy nietylko potrafić nim dowodzić, lecz rozumieć go, umieć przemówić do jego przekonania, pozyskać jego miłość i zaufanie.

Wtedy dopiero możemy być pewni naszego żołnierza w najcięższem położeniu, w kurzawie bitewnej, w grozie czającej się śmierci.

A kiedy przyjdzie stoczyć nam bój, bój niezwykle uciążliwy, bo toczący się o duszę własnego żołnierza, wtedy napewno wyjdziemy zeń zwycięzcami.

To są nasze przykazania na przyszłość, w tem leży nasze jutro.

* * *

Za kilka godzin opuścimy Szkołę...

Opustoszeją koszary, gdzieśmy tyle lat spędzili. Pozostaną nasze alejki, nasze pomniki i wzgórze Podchorążych ze swym trygonometrem i Suchy Sadek...

Tęskniliśmy za tą jedyną chwilą, wypatrywaliśmy jej przez długie trzy lata, kiedy jednak nadeszła dziwne uczucie żalu uciska pierś...

Ileż chwil spędziliśmy tutaj, ileż wspomnień kryje w sobie każdy niemal zakątek!

Dziś wszystko, co przedtem wydawało się nam szarem, pospolitem i nudnem, posiada jakiś nieprzeparty urok, jest otoczone jakimś niewysłowionym czarem, coś jakby aureolą blasku i piękna.

Zrośliśmy się i zżyliśmy się z naszem otoczeniem, iż trudno jest obecnie pogodzić się z myślą że to już koniec naszego pobytu, że będziemy zmuszeni to wszystko pożegnać. Spędziliśmy tutaj dwa najpiękniejsze lata naszego życia, stąd też jest wszystko dla nas tak drogie i miłe.

Idziemy w świat...

Czeka nas nowa praca, nowe jutro, nowi ludzie, nowe otoczenie. Rozsypiemy się po całej Polsce. Wchłoną nas w siebie rozsiane po całym obszarze Rzeczpospolitej garnizony i pułki. Prysną i rozlecą się zżyte i spojone ze sobą wspólną żołnierską dolą i niedolą koła i kółka przyjacielskie.., Kilku zaledwie z nas spotka się w jednym i tym samym pułku...

Nieraz jednak wrócimy myślą ku tym koszarowym murom naszej uczelni, ku temu szumiącemu parkowi podchorążackiemu, nieraz wspomnienie zatrzepoce niczem ten zbłąkany ptak, nasuwając cały szereg obrazów z przeszłości. Nieraz zaduma przyoblecze nam twarze, gdy coś przypomni nam Szkołę.

A iluż z nas kiedyś, po latach wróci znów w te tak dobrze znane mury, ale już w zupełnie innym charakterze, z innem nastawieniem!

Iluż bowiem naszych poprzedników podobnie żegnało tę naszą Alma Mater a dziś są już naszymi wykładowcami!

A któż z nas wie, co go czeka w najbliższej przyszłości...

* * *

Panu Komendantowi za Jego ojcowską nad nami opiekę, Panom Wykładowcom i Instruktorom, naszym kochanym Wychowawcom za ofiarną i pełną poświęcenia pracę, za trud i wysiłek nad nami i naszem wychowaniem — składamy serdeczne podziękowanie i wyrażamy naszą głęboką wdzięczność. Pragniemy zarazem zapewnić Ich o naszem przywiązaniu i pełnej szacunku synowskiej miłości, jaką każdy z nas żywi ku Nim w swem sercu.

Dumni jesteśmy, iż przychylny nam los uczynił Ich naszymi wychowawcami. Są to bowiem Ludzie, których lata młodzieńcze upływały nie wśród zabaw i uciech, lecz na polu bitewnem, którzy po przez krew, rany i blizny zdążali wytrwale ku Wolnej i Niepodległej Polsce.

Nieraz mogło się zdarzyć, iż podczas trzechletniej pracy nad nami spotkała Ich jakaś przykrość z naszej strony, prosimy jednak nie pamiętać nam tego, gdyż powodem tego nigdy nie była zła wola, lecz jedynie młodzieńcza lekkomyślność. Będziemy starali się zawsze kroczyć drogą wskazaną nam przez Was, iść w Wasze ślady. Szczytem ambicji i punktem naszego honoru będzie dorównać Wam.

Jednocześnie zaś możemy Was zapewnić, że nie zawiedziemy pokładanej w nas nadziei, nie sprawimy Wam zawodu. Złote ziarna siewu, rzucane ręką Waszą nie padły na jałową glebę i nie pójdą one na marne.

Kiedyś, w przyszłości, gdy Ojczyzna nas zawoła, staniemy na Jej zew jak jeden mąż i tak jakeście Wy Ją wywalczyli, tak My potrafimy Ją obronić, utrwalając Jej mocarstwowe stanowisko wśród innych narodów!

* * *

Żegnajcie Koledzy!... Zanim się rozstaniemy, zanim zły, czy przychylny los gdziekolwiek nas rzuci, pomni na te chwile razem przeżyte, na wspólnotę pracy, na jedność dążeń, celów i ideałów, podajmy sobie może już poraz ostatni dłonie i złączmy je w długim, serdecznym, braterskim uścisku.

Czołem Koledzy!



Ostrów Mazywiecka, 15 sierpnia 1934 r.

Henryk Zawadzki

W I Z J A

Promocja! Szabel wnet błyśnie czterysta
Na jedno hasło komendy,
Bogu Rodzica znów zabrzmi wieczysta —
I wyrównają się rzędy.

Stoimy dumni — najmłodsi żołnierze,
Bośmy Ojczyzny przyszłością,
Dziś Jej swe życie składamy w ofierze,
Serca gorące miłością!

* * *

Nagle — czy prawda? — czy ja tylko marzę? —
O dziwo! Co się tu dzieje? —
Co tu za ludzie? — Jakieś dziwne twarze —
I moc chorągwi się chwieje. —

Słyszę głos płynie — twardy jak ze stali:
„Myśmy rycerze Chrobrego,
„Myśmy ten drzewiej kraj zamieszkiwali,
„Krew przelewali za niego!

„Przekazujemy go wam! Tej spuścizny
„Bronić będziecie krwią waszą! —
„I niech najświętszej miłości Ojczyzny
„W was przeciwności nie zgaszą!

„Nieraz wam przyjdzie walczyć w poniewierce—
„Dziś — niepotrzebne pancerze!
„Tarczą wam—piersi, a mieczem wam—serce,
„Wy młodzi Polski rycerze!" —

Wtem inni pędzą — Jan III na przedzie,
A za nim polska husarja:
„Miłość Ojczyzny — niech was na bój wiedzie
„I hasło: Jezus i Marja!"

Idą powstańcy — Kościuszko na czele!
Bohater! Polski Obrońca!
„Wam — hartu trzeba, Ojczyźnie — sił wiele!
„Niech serca płoną jak słońca!"

Trzydziesty pierwszy, który za pałasze
Chwycił za serca rozkazem:
„Termopilami będą piersi wasze" —
Woła — „Za Polskę! Hej! Razem!"

Sześćdziesiąt trzeci. — Ci pobici w bojach
Ginęli w straszliwych mękach:
„Walczyć musicie nieraz w ciężkich znojach;
„Los Polski w waszych jest rękach!"

Wtem — szary mundur — maciejówka skromna —
Legjony wojny światowej.
Z twarzy Ich bije siła przeogromna,
Hart ducha, mocy wiekowej!

Na czele skromna, a świetlana postać:
Komendant! Wódz ukochany!
„O Wodzu! Pozwól nam przy Tobie zostać!
„Z tobą po blizny i rany!"

„Dobrze me dzieci, chodźcie do szeregu,
„Przyjmuję waszą krew młodą!" —
Ruszyły masy zwarcie wnet do biegu:
„Idziemy Wodzu! Za Tobą!"...

Dobyli szabel, pędzą jak szaleni,
Lecz nie szaleńcy to ruch!
Już tego biegu nic nigdy nie zmieni:
Do czynu wiedzie ich duch

* * *

Znikły widzenia, szeregi ożyły.
Wiemy, że chcieć — to jest móc
Pójdziemy w życie ufni w swoje siły,
Prowadzić bedzie nas *WÓDZ!*

P O D P O R U C Z N I K O M...

Nareszcie. Ziściło się Wasze marzenie w metalicznym błysku szabli w dniu Promocji.

Gwiazdka, która świeciła w marszach długich i uciążliwych, natarciach przyziemnych i rwących oddech z piersi, we wszystkiem, coście przeżywali przez trzy lata, zabłysła na Waszych ramionach. Wytrwałość, praca i duch, wylatujący wyżej przyziemnych, drobnych przykrości i widzący jasno pocoście tu przyszli, zwyciężyły.

Święcicie dziś dzień Zwycięstwa...

Tak, zwycięstwa nad samym sobą!

Zwyciężyliście każdy nerw i mięsień i zmusiliście do pracy wydajnej, odrzucając precz myśl leniwą, bezczelnie napastującą — „poco mam się tak męczyć".

Dlatego dziś dumnie odbieracie owoc Waszej pracy.

Nam dzień dzisiejszy dodaje sił do walki, utwierdza w nas pewność, że jeżeli opanujemy samych siebie, to musimy też zwyciężyć.

Patrzymy z dumą na Was jako na realizację marzenia, które każdy z nas w głębi duszy piastuje.

Przyglądamy się Wam badawczo a jednak serdecznie, bo chcemy w Was widzieć naprawdę to cośmy sobie jako typ polskiego oficera wymarzyli.

Odchodzicie już ze szkoły, która przez lata była terenem Waszej pracy. Idziecie w życie, by to, coście wykuwali w sobie, przekazać innym.

Odejście Wasze nie zerwie jednak węzłów, jakie się we wspólnej pracy żołnierskiej wytworzyły. Pozostaniecie w naszej pamięci i w chwilach trudnych i ciężkich wspomnienie o Was, co zdołaliście złamać wszelkie przeszkody dzielące Was od celu, doda nam sił do wytrwania i dopomoże do zwycięstwa.

Czeka na Was właściwe zadanie — weźmiecie udział w tej wielkiej pracy, jaką jest przygotowanie obywateli do wojny i urobienie sylwetki żołnierza, godnego spadkobiercy pięknych tradycyj. Zadanie to poważne i wymagające dużego nakładu pracy z Waszej strony.

Idziecie jednak ku pracy tej z podniesionym czołem, czem bowiem były lata spędzone tu, w Szkole, jak nie ciągłą pracą, pracą opartą na najwyższem zrozumieniu celu i dróg ku niemu prowadzących.

I dlatego, żegnając Was dziś odchodzących jako oficerów, pewni jesteśmy dalszego Waszego powodzenia, duch bowiem, jaki ożywiał Was i dodawał sił w pracy, poprowadzi was do zwycięstwa.

Dziś, w dniu promieniejącym radością i obleczonym powagą, które tak przedziwnie ze sobą harmonizują, niech dojdą do Was życzenia młodszych kolegów: łamcie zwycięsko wszelkie przeszkody w swej pracy ku dobru Rzeczpospolitej, a chęć dobrego spełnienia obowiązku niech cechuje każde Wasze posunięcie.

Podchorążowie S. P. P.

Ostrów-Mazowiecka, 15 sierpnia 1934 r.

Pchor. Górecki Jerzy

PRZED NIEZNANEM

Odchodzicie...
Niejeden się śmieje,
Ku przyszłości rozwarłszy ramiona
Co ukryła serc Waszych pragnienie —
Jest wiosenna i jak Wy szalona.

Może niesie buławę Marszałka,
Generalskie szykuje galony,
Może prac bezimiennych ogromy,
może ziemi nie starczy kawałka,
aby spocząć, strudzonym wędrowcem
zwykłą losów żołnierskich koleją,
gdy Ci bagnet rozpruje pierś męską,
lub pociski ją wrogie zaleją?

Może żywot spokojny filistra
Pod żołnierskich cnych cech etykietą?
...może miłość ojczyzny przeczysta
będzie pracy Twej twórczej podnietą...?

To ostatnie jest w piersi i bije,
to jest to, co powstało najwcześniej
od kolebki trwa w Tobie i żyje
i jak serce krew tłoczy w żył cieśnie
głosząc pracę — bez chwalby niczyjej.
Odchodzicie...
Nikt z nas się nie śmieje,
Kryjąc zazdrość, że Wy już skończeni
I tłumioną gdzieś w sercu nadzieję
Że i my tak będziemy żegnani
Na nieznanej Przyszłości bezdroże,
Wyrój myśli i planów potęgi,
Chlubną pracę przywódców młodzieży,
Twórczych idej zwycięskich zasięgi.

...i zaszumi Wam park podchorążych
pieśń ostatnią, bo pieśń pożegnania,
wiatr co chłostał wśród ćwiczeń, ze wzgórzy—
spłynie w szablach pieśń zagrać rozstania
wydobytych...

Może Smok się obejrzy za Wami,
Krakusowi da chwilę wytchnienia —
— I pójdziecie, wiedzeni oczami
Bohaterów, zakutych w kamienie...
I myśl Wasza tu jeno zostanie
Wsiąkła w mury, że są szlachetniejsze,
Co zakrzykną, być może, za Wami:
— „Zostańcie!" —

— — — — — — — — — — — —

Wam wśród szarych żołnierzy jest miejsce.
Żegnajcie.

Siewierski Jan

O RYTM W ŻYCIU!...

„Przyszłość macie wielką i świetną, ale ufajcie tylko samym sobie i budujcie na własnej sile".

Spełnił się wreszcie nasz sen o szpadzie.

Trzy lata twardej Rycerskiej Szkoły hartu woli i ducha prysły jak bańka mydlana, zamieniając się w oczekiwane szlify oficerskie. Idziemy w świat spowici w jasne szaty naszych marzeń i rojeń. Ponosi nas uczucie ogromnej swobody, uczucie ptaka co skrzydła, długo bezczynne rozwiązawszy, mknie bez troski wdal, na własną dolę...

Słyszycie! To obecnie zaczynające się „nasze" życie woła nas donośnym głosem teraźniejszości.

Chwila obecna niech będzie dla nas materjałem, z którego należy tworzyć historję, a historja niech niema dla nas wielu tajemnic!

Nie zapominajmy, iż teraźniejszość to owoc dziejów przeszłych, zalążek pięknego, da Bóg, rozwoju czasów przyszłych, dla których pracować jest naszym świętym obowiązkiem, by nie być dłużnym przeszłości za wolność i niepodległość, które jak owoc dojrzały zerwaliśmy z drzewa historji.

Wszyscy coś budujemy, wszyscy coś tworzymy. Niema chyba człowieka któryby w pewnem znaczeniu nie był twórcą. W tej naszej pracy budowania nigdy nie zaczynamy od początku. Opieramy się na tem, co zbudowały pokolenia poprzednie, a rezultat naszej pracy przekazujemy pokoleniom następnym, które po nas dziedziczą.

A więc w naszej pracy budowania ponosimy

odpowiedzialność za to, co i jak budujemy. Ojcowie nasi stworzyli jedną z najwspanialszych armij, ożywioną prawdziwie obywatelskim duchem, gotową w każdej chwili odeprzeć zbrojną ręką przemoc wroga.

Wrogów i niechętnych nam niebrak. Pod zręby naszego życia podłożono jakby ekrazyt niepokoju. Wyjść z tego groźnego dla przyszłości narodu naszego stanu, to jedyny cel naszego dalszego życia państwowego, środkiem wiodącym do niego, rzetelna, uczciwa praca oficera - obywatela w myśl hasła: „Salus rei publicae suprema lex esto". W trudzie i znoju, w walce i w mękach rodzi się nowe życie — nowe państwo.

Życie nasze, to bogate nieokiełzane, żywiołowe, musi być kierowane zdrową myślą moralną. Któż nie wie jakie wysiłki czynią niekiedy rośliny, by korzenie swoje przecisnąć pomiędzy skały, które się łupią i rozsadzają. Bolesnym jest fakt, iż leży to już w naszej psychice wewnętrznej, odziedziczonej po przodkach naszych, że jesteśmy we wszystkich poczynaniach łatwo zapalni, ale gdy niepowodzenia, których od pierwszego ciosu zmiażdżyć i usunąć nie możemy, piętrzą się przed nami, opadamy na siłach, omdlewamy i opadamy na duchu w chwili, kiedyby go najwięcej wznosić wypadało. W takich chwilach niby ciężkich gotowiśmy zasklepić się w ciasnej muszli egoistycznego życia, na okna wychodzące w świat spuścić grube zasłony i nie nastawić inaczej swych aparatów odbiorczych, chwytających gorączkowo drgnienia zmiennych fal życia. Nie rozświetlamy mroków srebrzystą pochodnią idei, nie wyczuwamy tętna życia chwili obecnej, nie oddajemy rytmu życia współczesnego.

We wszelkich naszych poczynaniach jesteśmy na kształt ogni bengalskich, które zapalone prysną jasnem strumieniem złocistych gwiazd, by za chwilę w mgłach dymu zagasnąć.

Jesteśmy narodem uzdolnionym, pracowitym, ożywionym najlepszą wolą, ale... za mało mamy wytrwałości. A więc i tę wytrwałość osiągnąć musimy. I, opierając się na pracy tych, co żyli przed nami, tych — co dla sprawy Polski i jej kultury życie oddali, zostawimy Polskę naszym spadkobiercom bogatszą materjalnie i, co ważniejsze bogatszą duchowo. Rozpalimy w każdym żołnierzu obywatelu Polski zapał do pracy wytrwałości, energję i wolę.

Nam szczególnie — jako oficerom — przypadło w udziale trudne i odpowiedzialne zadanie względem Boga i Ojczyzny.

Wychowanie państwowe — to dwa dźwięki, które uderzają o zmysł słuchu i giną u jednych bez echa i bez głębszej treści w duszy i w życiu, a u innych wywołują proces duchowy twórczy, obejmujący cały zasób sił duchowych i fizycznych.

Wychowanie państwowe musi wpływać na rozum ludzki, musi ten przebogaty świat myśli, sądów i wniosków skierowywać ku Państwu, musi uczyć poznawać Państwo, rozumieć jego znaczenie i potrzeby tak, żeby ten rozum skłonny był do tego państwowo-twórczego wniosku, że trzeba dla Państwa-Ojczyzny nietylko umrzeć, ale co najważniejsze żyć. Jednostka musi się powodować nie lękiem ani strachem, ale dobrze zrozumianemi motywami, które ją skłonią do odgrywania roli życiodajnej i twórczej komórki w zbiorowości społecznej organizmu państwowego.

Pamiętajmy, że czyn stanowi o wartości człowieka. W młodem naszem sercu i głowie pełno uczuć i myśli, zarodków idei i uczynków nie na to, żebyśmy grzechocząc niemi, bawili się, jak dzieci dźwiękiem, który wydaje, ale żebyśmy z nich wysnuli życie nasze przyszłe.

W ostatnim odlocie ducha naszego, kiedy nam przyjdzie złożyć życie w obronie Ojczyzny na ołtarzu Boga-Wojny, poczujemy siłę większą, niż była przed rozpoczęciem pracy, a nie zawiedzie nas Bóg sprawiedliwy. Bo po tem życiu taką nam dadzą Ojczyznę na jaką zasłużymy.

To samo przeświadczenie stwierdzał wymownie epitaf Ajschilosa, może z myśli samego poety poczęty, a wielbiący go nie za to, że wspaniałe napisał tragedje, lecz wyłącznie za to, że czynem dowiódł swej rycerskości, że był kiedyś w szeregach i walczył dzielnie pod Maratonem.

W ten sposób upada potęga śmierci, która zabiera ciało, podczas gdy wielkie postacie dziejowe mają zapewniony powrót do Ojczyzny w potędze ukochania i w wielkości, dla dopełnienia misji scalania duchowego narodu przez wspomnienie przeszłej wielkości, które jest motorem twórczym na przyszłość.

W sierpniu 1914 r., a więc 20 lat wstecz, wychodzi w bój słaby liczbowo, lecz silny duchem hufiec rycerzy młodych, odważnych, najofiarniejszych, którzy wzięli na swoje barki odpowiedzialność, inicjatywę rzucenia iskry na proch.

W tej walce ludzie ci nauczyli się kochać państwo swoje ponad wszystko, nauczyli się cały wysiłek swój poświęcać tylko dla państwa, zaniedbując w tej służbie sprawy swoje i interesy swe osobiste.

W ciężkich walkach, krwawemi ofiarami hufiec rycerzy młodych nie pozwolił nienawistnym duszom shańbić tego co największą wartość ducha stanowi — honoru żołnierza polskiego, żołnierza, którego bitność i wewnętrzna dyscyplina nie podlega już żadnej wątpliwości.

W radosnem przeto usposobieniu ducha, z namaszczeniem i czcią jak przystało na oficera — musimy odnosiś się do cennego depozytu, przekazanego nam przez ojców naszych, z chwilą naszej promocji.

My, dzieci, dzieci słońca wolności iść mamy jasną drogą ideałów na twardą, ale radosną pracę dla Tej, co nam matką i ukochaniem, co z mąk i bólów niewoli zwróconą nam została. Niezapominajmy, że życiem ofiarnem zaświadczyć musimy, żeśmy Jej dobrymi synami.

Ojcowie nasi przeżyli chwilę wielką, o której marzyć i śnić będą długie po nich pokolenia.

I przeto dziś, dziś właśnie, gdy możemy stanąć do pracy na własnej swej niwie, nie wolno nam zapomnieć o tych, co duszę Polski po świetlanych prowadzili szlakach, własną krwią okupując lata mąk i niedoli, znacząc białemi krzyżami grobów drogą która wiodła ku Niej.

Jeśli szanować i ukochać będzieli umieli to, co w narodzie było wielkie i bohaterskie, to i nam „Rycerzom Najjaśniejszej" zostanie w duszy coś, co przyświecało duchom ojców naszych.

Idźmy więc w życie z obróconem obliczem na jasne, świetlane przeszłości postacie ojców narodu.

Uczmy się od nich, że nie dość mieć Polskę na ustach, bo ci co pięknemi słowy całe życie się zabawiają, są jak dzieci, których do pracy napędzić nie można, ale żyć dla niej trzeba w imię hasła dla ciebie Polsko i dla Twej Chwały.

ŚPIJCIE RYCERZE PRZESTWORZY

W drugą rocznicę zgonu bohaterów powietrza.

Spijcie rycerze przestworzy
Spijcie, choć dzwon sławy grzmi
Zeszli z podniebnych bezdroży,
Spijcie — Wiguro i — Ty!..

Przez pracę, trudy i znoje,
Wy, za ojczyzny swej cześć
Szliście z wichrami na boje
Chwałę pod stopy Jej nieść.

Skrzydłem swych maszyn wichrowych
Imię Jej wznieśli nad świat,
I w mroki zeszli grobowe,
Zwycięskich nie tracąc szat.

Śpijcie rycerze przestworzy,
Śpijcie, choć dzwon sławy grzmi,
Zeszli z podniebnych bezdroży,
Śpijcie za chwałę swych dni.

Nie wolno płakać zwycięzcom,
A zwycięzcami wszak my.
Żałobne dzwony Wam tętnią
Nasz to zwycięstwa jest hymn.

I żeście Polskę wsławili,
Śpijcie w mogile już Wy.
Szum Wam silników umili
O sławie zwycięstwa sny.

Cześć bohaterom przestworzy,
— Jęk się do Waszych śle stóp:
Z słonecznych nieba bezdroży
W cichy wstąpiliście grób.

Przy Waszej skromnej mogile
Przysięgę składamy my:
W wyścigu nie będziem wtyle,
Pójdziem — choć tam gdzie i Wy!

Pchor. Górecki Jerzy.

NASZA BROŃ.

Męstwem i nogami piechura
musimy wygrać bitwę.
Piłsudski.

Długa wstęga szosy...
Przydrożnych drzew szeregi...
Żar słońca, lejący się z nieba kaskadą...
kłąb kurzu, pełzający, jak płaz —
— Piechota...
Spiekłemi wargami chłonie pył,
co płuca żre...
Zwycięstwa obarczeni zadaniem,
zwycięstwo w ramionach swych niosą.
W tętnie krwi, ślubowaniem żołnierskiem, zastygłą
[wolę walki...
— Piechurzy...
Miljonem kroków przemierzyli ziemię...
gwoździe butów rozsypali na szlaku.
Krwią stóp znaczyli drogę do chwały,
Jedyną, najwspanialszą na ziemi drogę
Żołnierza Polskiego Honoru.

* * *

Roztopionym żarem ołowiu paliło ich słońce.
Po bagnetach ślizgały pioruny,
W czas ulewnych, jesiennych burz.
Suszyły ich wichry północne,
sybirskie huragany, co zapomniany jęk ojców mę-
[czonych niosły ze sobą.
Wilcze kły mrozu szarpały piersi nieustępliwe,
karabiny wmarzały do dłoni...
W bagnach i roztopach wiosennych zostawiliście
[towarzyszy,
Co dni chwały Waszej nigdy nie ujrzą,
— Piechurzy!

* * *

Monotonnie pełza długi wąż pyłu.
Naprzód i naprzód!
Oczy, zmęczeniem przykryte, jeno tornister widzą
[poprzednika.
Wżarły się w ciało rzemienie i hełmy cisną nie-
[znośnie.
Niema nerwów, co reakcją na trudy, ciała-by
[w rów nie zwaliły...
Ponad nerwy jest obowiązek i wola zwycięstwa!
Ponad nerwy jest duma i żądza walki piechura!

. . . .

Rozkwitnęły w błękitach szrapnele.
Kurzawą wstrętną wybuchów horyzont pokryły
[pociski...
Muzyka walki daleka owionęła znużone szeregi...
...czy świeżość rosy?...
...wiatru chłodnego pocałunki?...
...chłód nocy po żarze dnia piekielnym?
Cóż zapaliło w oczach ognie i zgiętych grzbietów
[wyprostowało pałąki?
Kazało chwycić krzepko, bliznami, śladami walk
[dawnych pokryte, karabiny?
Cóż zarumieniło bladość umęczonych twarzy
i dało stopom siłę i lotność bogów greckich,
co pod Troją wespół ze śmiertelnymi walczyły?
Rozsypały się roje tyraljerów...
Osiągły, nienawiścią pocisków chłostany, horyzont.
Szaleństwem parły naprzód. Naprzód! naprzód!
Bratały się z ziemią na wieków, co przyjdą, prze-
[strzenie.
Całowały się z pociskami w triumfie bitewnym
[artylerji,
Krwawą daninę spłacały cekaemom.

Zapadły w lejach, zaczajone, przeczuciem zwycię-
[stwa pijane, tyraljery.
W zwarjowanem tętnie krwi zmęczonego ciała ra-
[dość wybuchła okrzykiem: hurra!
Łuną w błyskach bagnetów, rozprysła się pewność
[wygranej.

Czy to wicher jesienny liście przemiótł przez za-
[sieki,
Rozsypał po rowach długich, zygzakach transzei,
Przerzucił przez okopy i wymiótł z nich wroga,
Co miljonem pocisków poszarpał szeregi?
...to szły piechury...
Wżarłaś się w pozycje zdobyte, zębami do ziem
[przywarłaś ..
Triumfujesz, jak zawsze —
Piechoto polska.

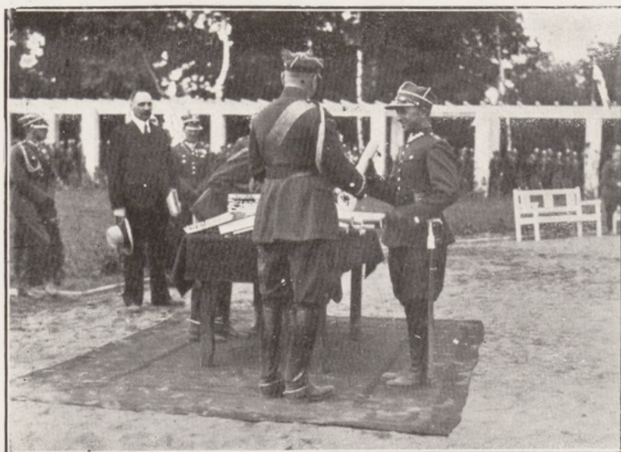


W kalejdoskopie dwuletniej pracy...

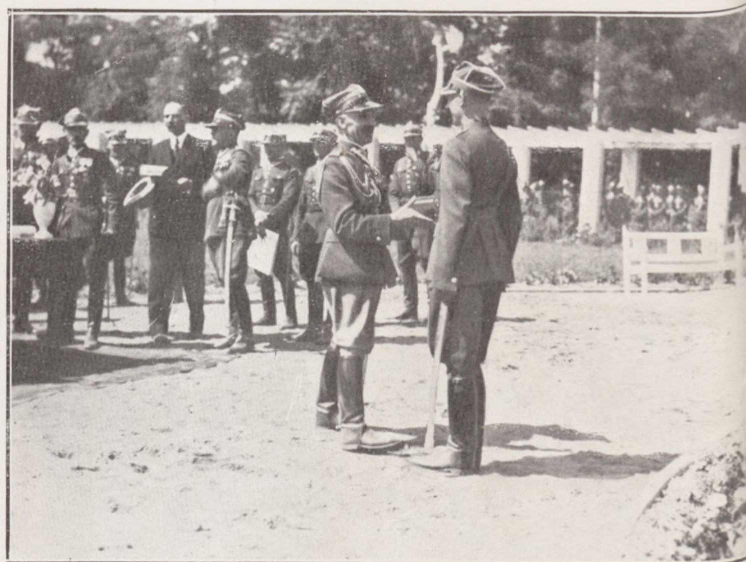


Raport... Fot. Grosicki

Z UBIEGŁEJ PROMOCJI...



Wręczanie dyplomów... Fot. Grosicki



Za pracę społeczną... Fot. Grosicki



10 wybrańców... Fot. Grosicki

Kpt. dypl. E. Migula.

DROGA CZYNU!

Młodzieńczym zapałem, siłą i niesłabnącą wolą, krokiem szturmowym, w karnych szeregach, w znojnej pracy dnia codziennego, — osiągnęliście dziś, Kochani koledzy, — cel Waszych dążeń, — przedmiot Waszych marzeń! Zaszczyt, że odtąd przewodzić będziecie temi najniższemi, a jednocześnie podstawowemi jednostkami prostych, w bojach zahartowanych szeregów, — mężnej naszej armji.

Przed Wami rozpościera się szeroka i w nieskończoność biegnąca *„Droga Czynu“*, — droga przeznaczeń narodu, którą praca wykuwa, a miecz osłania.

Stojąc dziś w przełomowym punkcie życia, na jednym ze szczytów Waszych dążeń, myśli i pracy, skierujmy jedną chwilę wzrok za siebie, nim pewnym krokiem, pełni wiary w siebie, ruszymy dalej, do nowych przeznaczeń, do nowych zadań.

Za nami daleko, jak okiem sięgnąć i myślą dotrzeć, aż hen w zamierzchłe przeszłości czasy, biegnie również droga czynu, — droga, którą przemierzały niezliczone zastępy pokoleń Rzeczypospolitej.

A każde z nich niosło wysoko sztandar sprawy narodowej, rodziło się, żyło i umierało z imieniem Polski na ustach. Z ich trudu i znoju, poświęcenia i pracy wyrastała coraz potężniejsza, silniejsza i dostojniejsza Rzeczypospolita.

One to, te dawne pokolenia, w zgiełku bitewnym, w szczęku broni i w ciężkiej, mozolnej, codziennej pracy, kreśliły granice państwa, kładły w nieustannym trudzie myśli i pracy podwaliny pod byt narodowy, utrwalały ide, dążenia i cele narodu.

Tą przeszło dziesięciowiekową drogę czynu poznaliście w przeciągu zaledwie 2-ch lat.

Wyraźnie zarysowały się przed Wami potężne kolumny, które dźwigają gmach Rzeczypospolitej, a które wznosiły w swym dorobku wiedzy i czynu minione zastępy żołnierzy, polityków, mężów stanu i nauki.

Przemierzając w Waszej nauce tę drogę, nauczyliście się oceniać wagę kropli krwi i potu, zahartowaliście Wasze serca w ogniu miłości Ojczyzny, w woli czynu, wzbogaciliście Wasz umysł dorobkiem wiedzy, pozostawionej przez tych, co ojczyźnie zapłacili już swój dług i następnym pokoleniom pozostawili jako swą najdroższą spuściznę i swoje doświadczenie — swój spełniony czyn życia.

A dziś, już i Wy sami na tę drogę czynu wkraczacie, jako to najmłodsze pokolenie Rzeczypospolitej, które w nieustającej, pełnej poświęcenia pracy, wykuwać ma i osłaniać dalszy jej los, oraz zaważyć może o Jej dostojnem życiu i wzniosłem przeznaczeniu.

Wkraczacie na tę drogę czynu pod skrzydłami opiekuńczemi najbardziej zasłużonego pokolenia naszej Ojczyzny,—pokolenia, które jak żadne inne, od najmłodszych już lat, niesie i dźwiga na swych barkach cały trud życia państwowego. — Wy jeszcze idziecie w kręgu aureoli męczeństwa i bohaterstwa tego pokolenia. — To Wasza moc, — Wasza siła!

Czyż nie jesteście całkowicie pod sugestyjnym wpływem tych najbardziej zasłużonych obywateli-żołnierzy Rzeczypospolitej, którzy prowadzeni przez genjusz Wodza Armji i Narodu, w przeciągu 20-tu niespełna lat, odzyskali to, co 3 z górą wieki zaprzepaściły?

Jakżeż krótki czas dzieli niedawnych wygnańców Sybiru, męczenników obozów, — szarych żołnierzy legjonowych, od obecnych ministrów i generałów Rzeczypospolitej, — garstkę wojska polskiego z sierpnia 1914, od zwycięskiej r. 1920, a potężnej armji dnia dzisiejszego.

Jeszcze wczoraj, w Waszym wieku pacholęcym, krwawiła ciężko rana zadana Ojczyźnie przez wroga, wojnę i pożogę,—a już dziś, w cieniu krzyży i mogił poległych, tętni Ona życiem pełnem werwy, młodzieńczą siłą, — odrodzonym rozmachem czasów dawniejszych, gdy majestat Rzeczypospolitej lśnił bogactwem czynu i potęgi. Tam, gdzie niedawno chadzała jeszcze śmierć, dymią dziś kominy fabryczne, rozbrzmiewają wody rykiem syren okrętowych, ścielą się złote łany pełne kłosów, — wre życie w najbardziej odległym zakątku naszej Ojczyzny.

Jutro już to bujne rozrodcze życie wchłonie Was w siebie, zabierze ze sobą, porwie was swym upajającym rytmem, — poniesie w drogę przeznaczeń. Od jutra już, Wy Ojczyzny odpowiedzialni słudzy! Każdy Wasz czyn, każda myśl, Jej wielkość buduje, — odzwierciadli się w tych, co za Wami tą samą drogą ku swemu przeznaczeniu kroczyć będą.

A jeszcze lat kilka, gdy nastanie wiek dojrzałej męskości, gdy minie czas życia wiosny, wówczas na krótką chwilkę, — mierząc czasem dziejów, — spocznie i na Waszych barkach cała odpowiedzialność za los, za dalsze dzieje Ojczyzny.

Na tę krótką, lecz decydującą, w życiu każdego pokolenia, chwilę trzeba się przygotować — na

tę chwilę, gdy zluzujecie sterane pracą pokolenie wojny, gdy Wy stanowić będziecie straż przednią pokoleń, kroczących na drodze czynu. Według niej zakroić musicie Wasze dążenia, ideały i cele życia.

Oby wówczas księga dziejów, zamknięta do tychczas dla Was, zapisała Was złotemi literami, oby Ojczyzna dumna była ze swych synów, i oby Was wówczas późniejszym pokoleniom jako wzór wskazywała!

Dlatego też trzy pojęcia przyświecać Wam odtąd muszą stale w Waszej pracy, jeśli macie być pożytecznemi i prawdziwemi sługami Ojczyzny: „serce, umysł i siła".

„*Serce*" niechaj oznacza Wasze wartości wewnętrzne i umiłowanie Ojczyzny, ambicję, honor, poczucie obowiązku, ojcowską sprawiedliwą surowość i matczyną gorącą miłość do swych podwładnych, ukochanie szarego żołnierza, któremu odtąd macie całe życie poświęcić.

Bez pełnego całkowitego oddania siebie sprawie i ludziom, którym służycie, bez całkowitego poświęcenia się, żadna praca nie osiągnie rzetelnych, prawdziwych wyników. Rozwijajcie te Wasze wartości wewnętrzne, by posiąść charakter niezłomny i wolę wytrwałą.

Dopiero na podkładzie Waszych wartości wewnętrznych działać może „*umysł*", kierując Was, poprzez trudności i przeszkody życia świadomie i celowo do zamierzonych celów, — do nakazanych przez sprawę zadań.

Nie zrażając się ogromem istniejących dziś zjawisk i nauk, kształćcie dalej Wasz umysł, pogłębiajcie wszechstronnie wiedzę, by uczynić z niej nieodstępną powiernicę, opiekunkę, — źródło, skąd czerpać będziecie natchnienie dla Waszych zamierzeń, myśli i czynów.

Wreszcie niech „*siła*" oznacza Wasze wartości fachowe, Wasze zdolności żołnierskie, Wasze wyszkolenie i umiejętność walki. Niechaj siła ta nabierze mocy stali, by osłaniała zawsze i wszędzie każdą pracę państwowo-twórczą, by na zew pobudki wojennej, jednym, szybkim, skutecznym ciosem, zmiażdżyła wszystko, co od zewnątrz chciałoby targnąć po całość, wielkość i mocarstwowość naszej Ojczyzny.

Kujcie miecz w ogniu całkowitego poświęcenia się — ostrzcie go, w niestrudzonej obowiązkowości.

Koordynując działanie serca, umysłu i siły, znając prawdziwą zasadę i wagę tych wartości, znajdziecie łatwo drogę, po której kroczyć Wam tylko wypadnie. Urabiajcie stale te wartości, by poprzez napotykane trudności kontynuować przepiękną i potężną tradycję wojska polskiego, by wpleść w wawrzynowy wieniec naszej sławy żołnierskiej, nowy dorobek pracy, wykuty czy to w szarzyźnie codziennej pracy pokojowej, czy też, w najzaszczytniejszych dla żołnierza warunkach: w grzmocie dział i błysku bagnetów!

Przed Wami „Droga Czynu".

Z B U D Ź   S I Ę!

Dość! Mknij na myśli w wszechświat i rzuć przewidzenia,
Wśród mdłych, jak zwiędłe kwiaty, miłości odblasków,
I zatętń sercem w zorzach słońc wschodzących brzasków,
Za krańce Ziemi wzlatuj! Tam szukaj natchnienia.

Niechaj Ci skrzydłem będą nie smętne marzenia!
Idź po drodze z błyskawic, wśród piorunów trzasku;
I niechaj świat Ci szczędzi potępienia wrzasków.
Sam jeden dąż do marzeń urzeczywistnienia.

Niebo, czyściec, czy piekło. Świat gorszy, niż piekło!
Bywaj! Śnij! ale spełniaj sny w rzeczywistości,
Zbywszy buduarowych marzeń o miłości.

Sięgnąwszy wielką dłonią buławę wielkości,
W drogę się pnij daleką, straszną i przewlekłą,
Bo szczęście Ci buławę Marszałka przyrzekło.

Por. Wierzyński Stefan

OFICER W ŻYCIU SPOŁECZEŃSTWA

Państwo Polskie, odrodzone wskutek wysiłku ludzi, zebranych w organizacjach wojskowych i na ich poświęceniu kładące podwaliny, stało się— siłą faktu — organizacją, w której najlepsza część narodu weszła w ramy armji i z bronią w ręku zapewniła świeżo powstałemu organizmowi państwowemu podstawy bytu i możności rozwoju. Zwycięskie wojny, prowadzone przez naród, a mające na celu utrwalenie niepodległości, potem zaś zabezpieczenie jej przed najazdami wroga, stały się ogniwem łączącem na wszystkie czasy społeczeństwo cywilne z wojskiem; wojsko stało się integralną częścią społeczeństwa dzieląc jego życie, pracę, zainteresowania, pomagając mu w jego poczynaniach i biorąc w nich udział; społeczeństwo cywilne, które korzystając z możności pracy, zabezpieczonej zbrojnem ramieniem, czerpie z wojska zarówno siły moralne i psychiczne jak również materjalne w doprowadzeniu do skutku swych zamierzeń, w urzeczywistnieniu swych postulatów.

To przenikanie wojska w najbardziej istotne przejawy życia obywateli cywilnych a także wspólnota społeczeństwa cywilnego z pracą wojska, wzięło swój początek — jak powiedziałem — we wspólnych zmaganiach z wrogiem o niezależny byt państwowy, we współdziałaniu przy wywalczaniu przyszłości naszego kraju; wzięło swój początek — i trwa do dzisiejszego dnia: naród w chwili potrzeby przerodził się w żołnierza, a więc żołnierz obecnie jest krwią z krwi i kością z kości swego narodu.

Świadomość ta cechuje stosunki, panujące między społeczeństwem cywilnem a starszem pokoleniem wojska, pokoleniem związanem ze społeczeństwem cywilnem braterstwem broni i węzłami krwi.

Od wielu jednak lat, rok rocznie wojsko jest zasilane ludźmi młodymi, którzy przyszli do szkoły po to, by po jej ukończeniu wsączyć się w krew armji jako eliksir młodości, mający na celu zarówno uzupełnienie szeregów korpusu oficerskiego, przerzedzonego przez życie, jak też prowadzenie w dalszym ciągu rozpoczętej pracy, a niejednokrotnie — w miarę postępu i potrzeb— zmianę pewnych stosunków, zróżniczkowanie pojęć, wprowadzenie nowych czynników i t. d.

Zachodzić może obawa, że ci młodzi oficerowie nieraz niezupełnie zdają sobie sprawę ze stosunków, jakie wytworzyły się między wojskiem a społeczeństwem cywilnem, niezupełnie zdają sobie sprawę z genezy tych ciepłych, blizkich, zażyłych związków, jakie się wytworzyły. Winić ich w tym wypadku nie należy, gra tu bowiem rolę jedynie nieświadomość: czternastoletni chłopiec włożył mundur wstępując do korpusu kadetów; po pięciu latach wstąpił na kurs unitarny — a więc znowy włożył mundur; potem — dwa lata szkoły podchorążych w tymże mundurze; wreszcie — ukoronowanie długoletniej pracy: promocja i wdzianie munduru oficerskiego. Młody więc adept sztuki wojennej nie miał ani możności ani czasu na wejście w życie społeczeństwa, na zaznajomienie się z niem. Opięty w mundur żołnierski, nie stykając się bezpośrednio z dniem powszednim społeczeństwa poza koszarami, mógł — chociaż nie powinien — wytworzyć w sobie pewien lekceważący stosunek do tego „cywila", biegającego w szarem niepozornem ubraniu, zajmującego się swemi — tak bardzo obcemi i dalekiemi od zainteresowań żołnierza — sprawami.

Młody i bystry, ale niewprawny jeszcze wzrok kandydata na oficera, widział jedynie zewnętrzne cechy; nie zauważył jednak, że w klapie tego niepozornego cywilnego ubrania tkwi niejednokrotnie rozetka najwyższych odznaczeń wojskowych i wojennych, jakże wiele mówiąca temu, który słuchać jej milczącej mowy potrafi... Szybki, młodzieńczy sąd pominąć mógł niejednokrotnie walory, posiadane przez takiego cywilnego pana, w dziedzinie— równie jak wojsko — życiu państwowemu potrzebnej.

Z tych więc względów, wynikających raczej z braku doświadczenia niż złej woli, zachodzić może obawa, że najmłodsi nasi oficerowie mogą bez własnej woli wytworzyć pewien dystans między sobą a społeczeństwem, dystans, niespotykany dotychczas, a mający swój początek w armjach zaborczych, kiedy to korpus oficerski stanowił zamkniętą kastę, odgrodzoną od społeczeństwa cywilnego nieprzebytym murem przesądów.

Wytworzenie tego dystansu, całkiem sztuczne i nienaturalne wobec dzisiejszych stosunków, które panują między społeczeństwem i wojskiem, byłoby zewszechmiar szkodliwe dla obu stron, a w konsekwencji dla narodu i dla Państwa: wojsko przestałoby rozumieć społeczeństwo i przestałoby być przezeń rozumiane; nastąpićby mógł rozdźwięk w tak harmonijnej dotychczas współpracy. A rezultat? — rozbrat, całkiem niepotrzebny i wręcz szkodliwy, między dwiema częściami tej samej organizacji, jaką jest naród.

Dlatego też wchodząc w samodzielne życie,

które niejednokrotnie odrazu postawi oficera twarzą w twarz z pracami społeczeństwa cywilnego, trzeba sobie dokładnie uświadomić i raz na zawsze za zasadę przyjąć: niema obywatela pełniącego bardziej szczytne lub mniej zaszczytne funkcje, jeśli chodzi o pracę dla dobra kraju, a tylko o taką pracę prawemu obywatelowi chodzić powinno; niema cech w wyglądzie zewnętrznym, któreby pozwoliły na podział obywateli na gorszych i lepszych wobec potrzeb państwa; niema sztucznych przegród między żołnierzem, a członkiem społeczeństwa cywilnego: ludzi tych nic nie dzieli w ofiarnym wysiłku dla dobra kraju, wszystko natomiast ich łączy.

Obowiązki obywatelskie spoczywają zarówno na jednych jak i na drugich. Podział ich między społeczeństwo cywilne i wojsko nastąpił jedynie i wyłącznie z myślą o tem, by naród i państwo jaknajwięcej na tem zyskali; każdy więc wypełniający jaknajszczerzej i jaknajlepiej nałożone na niego obowiązki wobec państwa, jest obywatelem, który dobro przynosi i państwu i społeczności.

Obowiązki te są liczne i ciężkie niejednokrotnie, a spełnione być muszą bez narzekań, bez zastrzeżeń, bez wyczekiwania nagrody, gdyż „tam się dopiero kończą obowiązki obywatela, gdzie są granice zupełnej już niemożności" *).

Granice te w obowiązkach obywatelskich czy to dla członka społeczeństwa cywilnego czy dla żołnierza są jednakowe; wyryte są zaś na nich słowa, które były wskazówką i hasłem najlepszych synów Ojczyzny i które naszemi być muszą: „Salus Reipublicae suprema lex".

Skoro więc cele i zadania obu części społeczeństwa polskiego zarówno umundurowanej jak cywilnej, są jednakowe, dlaczegóżby wprowadzać różniczkowanie między niemi?

Zadaniem i obowiązkiem młodego oficera, wchodzącego w nowe, własne, samodzielne życie, niech będzie zespoleniem ich, scalenie coraz większe w imię pracy dla pożytku największego wspólnego dobra—wolnej, niepodległej i potężnej Poski.

*) Walerjan Dzieduszycki, „Dzieje wojsk polskich".



Mauzoleum *Fot. Auterhoff*



Ś. P.

Tym, którzy nas na zawsze opuścili...

Nieodżałowanej Pamięci Kolegom, Podchorążemu Wiktorowi Kosmali, Arkadjuszowi Borysiewiczowi i Józefowi Kosaterowi.

Odeszliście, opuściliście nas na zawsze. Nielitościwa śmierć przecięła pasmo Waszego żywota w samej jego wiośnie.

Nie danem Wam było dotrzeć do celu Waszej pracy, już nigdy nie ujrzycie tej upragnionej „gwiazdki“.

Nie danem Wam było paść za Ojczyznę w boju, w zgiełku bitewnym, wśród huku dział i terkotu karabinów.

Spoczęliście cicho w piaszczystej ziemi Mazowieckiej, pogrążając w głębokim żalu i rozpaczy swych najbliższych, pozostawiając w smutku kolegów.

Niech Wam szumi i gwarzy ten las przy „Cerkiewce“, który tyle razy był świadkiem Waszej pracy, niech Wam skrzydła wiatru przyniosą z koszar od czasu do czasu odgłosy gwaru i życia Waszych kolegów.

Cześć Waszej Pamięci!

* * *

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
nie utracili równowagi ducha,
którym na widok spustoszeń i złomów,
nie płynie z piersi pieśń rozpaczy głucha,
który wśród nocy nieprzebytej cieni,
nie tracą wiary w blask rannych promieni!

Asnyk.

Na progu życia nowego każdy z młodocianych rycerzy widzi przed sobą zagadkę tego życia. Czy zagadkę tę należycie rozwiążę, czy miłej Rzeczypospolitej nie zawiodę, czy nadzieje Wodza Narodu w nas pokładane urzeczywistnię, czy wskazówkom Wychowawców posłusznym zostanę? Przeraża nas to, bo widzimy ogrom pracy przed sobą oraz odpowiedzialność.

Czasy oczywiście są trudne i niebezpieczne, jak trudnem i niebezpiecznem jest morze, rozkołysane burzą, jak przykrą jest fala, rozkołysana wichrem. Wszakże, pomimo ich grozy, której trudno nie uznać, ośmielę się twierdzić, — choć może niejednego tem zdziwię, a nawet zgorszę, — że zdaniem mojem czasy nasze są wspaniałe... i, że zazdrościć można tylko młodym, że ich młodość na te czasy przypadła.

Czasy nasze są wspaniałe, bo w nich przejawia się budzące życie, ruch, dążenie do postępu, do lepszego wymiaru sprawiedliwości, jednem słowem do lepszego jutra. (Choć przyznaję, że te dążenia bywają wykolejone i nieraz naopak prowadzą)...

Są wspaniałe, pomimo bowiem niepowodzeń pracować i działać w nich można. Walczyć w nich można o dobro, o prawdę, o sprawiedliwość, albowiem kryć się ze swą myślą i krępować ze słowem mniej już dziś trzeba niż dawniej.

Są wspaniałe, bo są przejściem ze starej epoki w nową, bo są chwilą przetwarzania się i przeobrażania w formę społeczeństwa,... bo są chwilą przełomową. w dziejach, bo są chwilą uroczystą rodzenia. Dotychczasowa skorupa świata pęka i rozkłada się, a jakaś świeża gleba, bogata w ruń zieloną z pod jej okowów żmudnie się wyłania.

I dlatego jeszcze czasy nasze są piękne, że bądź co bądź są one powszechną orjentacją ku światłu, że są pociągiem za prawdą, dobrem i nową formą piękna, za sprawiedliwością, i że w wielkiej mierze jeśli walka wre, nie chodzi w niej o jakieś korzyści materjalne, ale o ideę. Odbija się istotnie w obecnych czasach pewne mocowanie się dwóch potęg sobie wrogich... mocy ciemności z mocą światłości — a szczęśliwy ten, który jest synem światłości, i który w tym turnieju boryka się o prawdę, i prawdzie jest wierny bo choć wiele trudów znieść mu przyjdzie, przy niej przecież będzie zwycięzcą.

Wszakże walka ta odbyć się nie może bez wstrząśnień, bez ofiar, bez konwulsyj nawet, bez przejściowego nieładu.

Chwila rodzenia ciężką być musi. Ileż to jest w tych wstrząśnieniach i konwulsjach, budzących się nadziei, ileż obietnic jakiegoś odrodzenia!

I dlatego właśnie o czasach naszych słusznie rzec można, że są wspaniałe, choć trudne i przykre.

Cóż bowiem gorszego być może nad obojętność, zastój i martwotę?

Prawdą jest, że nadzieja zawieść może, że obietnica może się nie spełnić, i zamiast odrodzenia możemy mieć zdziczenie, jeśliby żywioły wywrotowe wzięły górę, nie mniej prawdą jest, że w tej mierze jesteśmy w chwili przełomowej, i że od nas — bojowników dobrej sprawy — zależy, aby zwycięstwo na naszą przechyliło się stronę.

Tę wspaniałość obecnych czasów nie wszyscy jednak dostrzegają, ci bowiem tylko widzieć ją mogą, którzy z wyższego poziomu, niż powszedni, na świat patrzą, którym subjektywizm lub nadczuła wrażliwość oczu nie zamracza, lecz którzy wzniósłszy się na wyżynę sądu zupełnie objektywnego, ze stanowiska na przyszłość, na świat patrzą, którzy w życiu obejmują syntezę. Ci jedynie w chwili obecnej swobodnie obracać się mogą, niczem się nie przerażają ani gorszą, a rąk od pracy nie odrywając, z podniesioną głową kroczą ku przyszłości.

Chwila obecna jest piękna jeszcze i tem, co nam już dotąd dała, a o czem — pod wrażeniem chwil smutnych — zapominać nam nie wolno. Ten wspaniały dar chwili wtedy ocenilibyśmy, gdybyśmy myślą wstecz cofnęli, choć o jakie lat dziesiątki, bo pomimo obecnie gniotącej reakcji, ileż to w naszej Ojczyźnie w tak krótkim przeciągu czasu zmieniło się na lepsze... i pomimo mroźnego boreasza wiejącego z północy, ileż to jest w dzisiejszej atmosferze powiewów wiosennych! Ileż to u nas na każdym kroku zapoczątkowanej pracy, ile zacnej inicjatywy!

Należy przecież to wszystko brać w rachubę!

A nie tylko piękną jest chwila, którą obecnie przeżywamy, a jest jeszcze wielce doniosłą, bo jakaż to mnogość kwesty dziś się waży, wiele impulsów sposobu, wiele myśli przetapia!

O jedno najgłówniejsze chodzić tu tylko może, a mianowicie o to, abyśmy mieli ludzi, którzyby ważące się kwestje ku prawdziwemu szczęściu ludzkości rozstrzygnąć umieli, którzyby impulsy ku dobru skierowali, a myśli ku prawdzie zwrócili, a nie przerazi nas ani groza czasów obecnych, ani najskrajniejsze żywioły, gdy takich ludzi mieć będziemy.

Wszelako tu odsłania się najciemniejsza strona obrazu, mogąca słusznie nas zatrwożyć, a to brak właśnie tych ludzi, bo ci, którzy są, stanowią tak małą liczbę, że ani tysiącznej cząstce pracy podołać nie są wstanie.

Pracy jest moc, ale robotników niema! Każdy, który choć cokolwiek rękę przykłada do pługa, na ten brak nie przestaje narzekać, a pracy jest tyle naraz, że gdybyśmy byli w stanie choć części jej podołać i objąć te stanowiska i te zadania, jakie ona nam stręczy, w niedługim czasie, wspaniałe odrodzenie wśród nas by zakwitło, bo prawdą jest, że dziś jeszcze wszystko nam się w ręce ciśnie, a wszystko co zagrożone dałoby się jeszcze uratować. Tak jest, albowiem dotąd zło jest u nas raczej naleciałością, niż złem rosnącem z korzenia, jest raczej owocem ciemnoty, niż zepsucia.

Wciąż jednak musimy pracę z rąk wypuszczać zawsze dla braku ludzi!

A pracę chwyta kto?

Oczywiście, że ci, którzy najmniej do tej pracy są pożądani.

W tem widzę największą grozę czasów obecnych i to uważam, jako jedyny prawdziwy czarny punkt na naszym horyzoncie. Że my ludzi nie mamy!

Ale mamy młodzież, która jest człowiekiem przyszłości, a wśród młodzieży mamy najbogatsze materjały — intelektualne i duchowe, zdrowe jeszcze na duchu i na ciele — czemuż byśmy tej młodzieży nie zwrócili ku ideałom, i w niej, całej naszej nadziei odrodzenia nie położyli.

Na progu nowego życia niech ta świadomość obecnej doby przemówi do nas potężnie, potężniej niż głos zygmuntowskiego dzwonu, potężniej niż fale morskie, bijące o brzegi. Mamy przed sobą wielkie pole do pracy, posłannictwo szczytne. W szeregi zwątpiałe należy nieść i siać ziarno dobra piękna i prawdy.

„Więc lecę, płynę z wichrami w zawody,
pierś mi rozdyma gorączka zapału,
czuję, żem silny, żem śmiały, żem młody,
czuję wcielenie swego ideału".

NA SZLAKU TRADYCJI

KOLEGOM — W DNIU PROMOCJI

Istota naszej żołnierskiej pracy nie jest wyodrębniona w granicach poszczególnych lat, lecz tworzy łańcuch, którego ogniwa sięgają od dalekich wieków historji ojczystej, do dnia dzisiejszego. Wyrazem tej nierozerwalnej ciągłości jest nasza TRADYCJA, która każe iść wprzód po drogach wykutych honorem naszego oręża.

Gdzie wobec tak kategorycznego nakazu postępowania jest miejsce dla rozkołysanej ideałami Waszej duszy, gdzie otwiera się pole dla mózgów niosących w życie podniebne zamierzenia, co da upust energji charakterów, które ostrzą orle szpony CZYNÓW?

Pozorna obawa! Pozorna obawa o łamanie się zerwanej do lotu duszy i pozorny lęk o brak możliwości twórczej pracy, ponieważ każde pokolenie żołnierskie ma na tym szlaku tradycji swój odpowiednik, który musi zrealizować w ramach symbolu „HONORU I OJCZYZNY". Wasz, streszcza się w nakazie ofiarnej i twórczej pracy dla NARODU i rozbudowy granitowych podstaw mocarstwowej POLSKI.

Tak spada na Wasze barki zadanie trudne i odpowiedzialne, bez cienia ustępstwa na rzecz spraw ubocznych, bezwzględne, bez zastrzeżeń, a wypełnić je musicie i wypełnicie z chwałą, ponieważ wdrożono w Was drogi postępowania. Wasze przygotowanie moralne i intelektualne, — Wasze podstawy charakterów i zapał, umożliwią spełnienie obowiązku, a temsamem pozwolą Wam stanąć z godnością w szeregu żołnierskich pokoleń. W tem również leży nakaz, który nakłada na Was konieczność takiego zaakcentowania swojej zbiorowej indywidualności, aby ogniwo stworzone przez Was na bezmiernym szlaku naszej TRADYCJI miało wyraz Waszego ducha.

Źródłem ożywczem dla wykucia tej spójni jest dla Was SZKOŁA PODCHORĄŻYCH PIECHO-

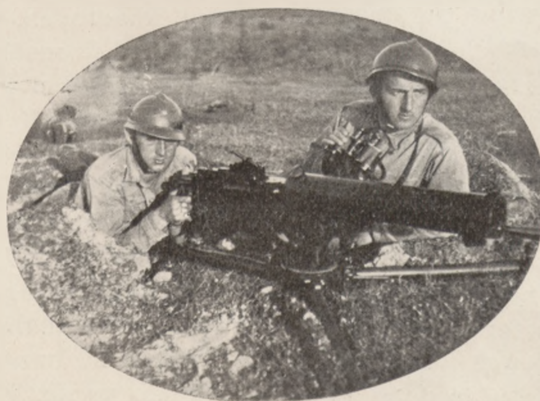
TY, ponieważ życie Wasze oparte o Jej program wychowania i wyszkolenia, dało Wam w jej murach te wszechstronne walory, które wynoszą Was na najwyższy poziom obowiązku. Tu ugruntowały się Wasze charaktery, tu zdobyliście praktyczne i teoretyczne podstawy pracy, pozatem tu przyjęliście spuściznę bohaterstwa żołnierza polskiego. Relikwie wspomnień Mauzoleum rozwinęły nad Wami skrzydła NOCY LISTOPADOWEJ, pamiątki SALI HONOROWEJ snuły Wam złotą nić ofiary krwi i trudu z lat WYZWOLENIA, szeregi nazwisk Waszych poprzedników wybijały zgrany rytm CZYNU dla NIEPODLEGŁEJ, a każdy gmach, każda droga i łany okoliczne, niosły odzew bujnego życia, które tak, jak i Wasze tętniło dla jednego celu.

Tak urzeczywistnicie Swoje ideały, stojąc na wyznaczonych Wam stanowiskach. Przez znojny trud przekujecie myśli na CZYN, wartość charakterów zamienicie na posiew tężyzny swoich następców, a przez oparcie o Szkołę, którą opuszczacie, stworzycie śladem dawnych pokoleń, stalowe ogniwo, budując niem urastający do wyżyn gmach dumy polskiej piechoty!

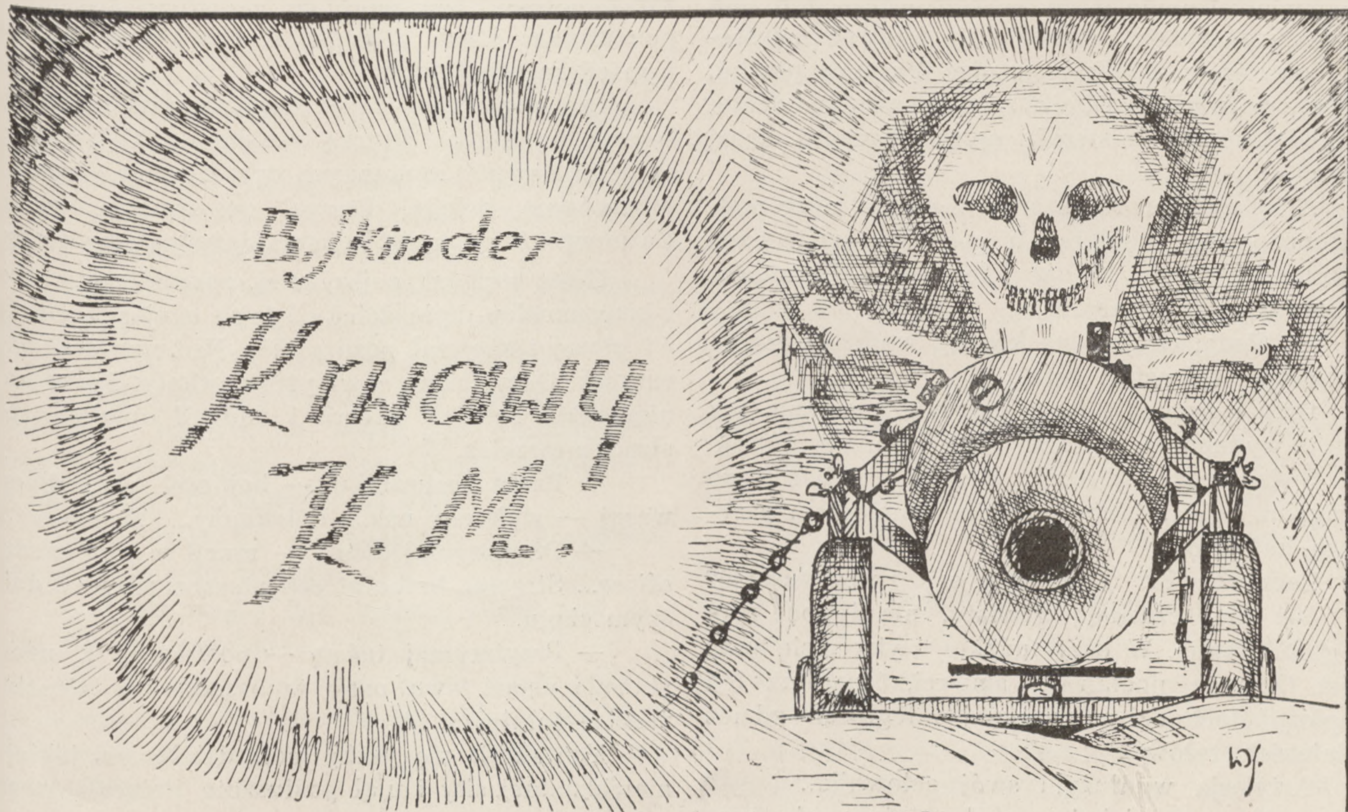
por. Michułka Stanisław



Wczesną wiosną... Fot. Auterhoff



Na stanowisku... Fot. Horodyski



Panu Kapitanowi Wincentemu Mischke — poświęcam.

Ostatnia postać w burym mundurze i ze sterczącym groźnie bagnetem zakołysała się nagle i padła zwisając bezwładnie na drutach.

Celowniczy wyprostował spracowane palce i puścił tylce. Siekący aż do tej chwili długą serją karabin przerwał natychmiast swą pieśń śmierci.

Szturm był odparty...

Cisza, nagła i niespodziana cisza spłynęła majestatycznie nad skupioną za karabinem obsługę, wciskała się uporczywie w każdy zakątek świadomości, dzwoniła w rozklekotanych całodzienną muzyką boju uszach.

Tylko szelest spadających z chłodnicy kropel wody i syczenie azbestu dochodziło do uszu ludzi.

Pierwszy przerwał to milczenie celowniczy. Rzucił spojrzenie pełne wdzięczności i podziwu na milczący w tej chwili karabin i z ust jego wyrwało się tylko jedno słowo: bestja!

— Panie poruczniku, chyba „tamci“ mają na dzisiaj dosyć... Gracko się spisał nasz k.m., niema co!... Przez cały dzień pierzemy bez przerwy a tu ani jednego zacięcia!...

No, no, to nie staruszek Maxim... A jakie to wytrzymałe... Jak ci „burek" pieprznął „kuferkiem" większego kalibru, to myślałem, że to już koniec... Otwieram oczy i widzę, że tam, gdzie leżał przed chwilą nasz biedak karabinowy teraz zieje ogromny dół... A ten ci nic, dalej swoje ta, ta, ta, ani się zająknie... Dobra broń!...

Na mówiącego spozierały w tej chwili jasne, spokojne oczy oficera. Najmniejszy muskuł nie drgnął na jego sczerniałej od słońca i wiatru twarzy.

W milczeniu przysłuchiwał się opowiadaniu skupionej obsługi, w którem co drugie niemal zdanie przebijał zachwyt i uwielbienie dla swej broni.

Wąskie i zaciśnięte wargi porucznika drgnęły nagle.

— Tak, dosyć na dzisiaj. Idzcie sobie spocząć.

Pozostał sam. Podszedł do przedpiersia i wychylił się całą postacią. Wzrok jego błądził przez chwilę po martwem przedpolu, aż zatrzymał się na rozpostartej na drutach postaci wroga.

W oczach patrzącego oficera nie było już ani śladu tchnącego chłodem spokoju. Cień smutku i jakaś zaduma wyzierała z nich.

Nad zoranym pociskami terenem natarcia zdawała się unosić w tej chwili śmierć w całym swym majestacie. Gdzieś w lewo, na odcinku sąsiedniego baonu ozwał się k. m. i począł tłuc miarowo i nieubłaganie swój takt śmierci.

* * *

...I rozszalała się burza nad nieszczęsnym odcinkiem.

Prawdziwa nawałnica ognia i żelaza sypała się na pozycję bataljonu, niszcząc, druzgocąc i niwecząc wszystko dokoła.

Ziemia walona jakby potworną pięścią drżała w swych posadach i zdawała się falować pod stopami obrońców. Tryskały w górę fontanny piachu, fruwały w powietrzu kołki z całemi zwojami drutu, co niedawno tak misternie oplatał przedni skraj pozycji.

A ludzie? Twarze szare i ziemiste, oczy podkrążone, nerwy napięte. W głowie szum i chaos postrzępionych myśli, w piersiach pragnienie, ogromne, palące pragnienie.

— Wody, choć jedną kroplę wody — szepcą popękane i spieczone usta.

Drżą i dygocą ściany schronu, z pułapu raz wraz z wybuchem sypie się strumieniami piasek.

Świadomość własnej bezsiły wobec tego huraganu ognia, jakby ciężkim kamieniem przytłacza każdego.

Lecz cóż to? Złudzenie czy rzeczywistość?

Już nie trzaskają granaty, nie dygoce ryta do głębi ziemia. W uszy ludzkie wwierca się teraz świst licznych posłańców śmierci, lecz huk ich eksplozyj dochodzi ze znacznej odległości—gdzieś z dalekich tyłów.

Artylerja wydłużyła swój celownik...

— Na stanowiska! — rozlega się nagle spokojny, lecz stanowczy głos oficera. W całej jego postaci, ruchach tchnie opanowanie i pewność siebie.

...Dźwignęli wspólnemi siłami i ustawili na przygotowanej platformie... Błysnęła stalą i mosiądzem taśma, niczem dawny lity pas słucki...

Ręka celowniczego spoczęła na tylcach, zginając się drapieżnie dokoła spustu... Wzrok ciekawy i niespokojny zarazem wybiegł na zryte pociskami przedpole...

— Ognia!

K. m. drgnął. U lejka wylotowego wykwitło nagle błękitnawe pasemko dymu i suchy klekot serji targnął raz i drugi powietrzem. Pracował bez zarzutu; równo, miarowo, z wyrafinowaną precyzją.

— Dobra nasza — mruknął celowniczy.

Poprawił postawę, ułożenie łokci i wsparłszy oko w przyrządy celownicze zagrał długą, niemilknącą serją...

* * *

Celowniczy pierwszego karabinu 2-ej drużyny k.m. był odważnym żołnierzem. Nic sobie nie robił z roju kul, które jakby miotane potworną garścią śpiewały wokoło na najrozmaitsze głosy i tony.

Zaledwie raczył się obejrzeć, gdy w odległości 15 m. stęknęła ziemia pod granatem i przeraźliwy trzask eksplozji zdzielił go jakby drągiem przez głowę.

Pełnił w dalszym ciągu swą czynność, kiedy zaraz potem dwie podobne eksplozje szarpnęły powietrzem nieco z boku. Lecz wtem pobladł i puścił rączkę tylców.

Oto pracujący dotąd bez zarzutu taśmowy wsparł się ciężko twarzą w ziemię... Celowniczy spojrzał nawpółprzytomnym wzrokiem na leżącego nieruchomo kolegę. Porwał go szalony strach. Uczuł wyraźnie jak pod hełmem zjeżyły się mu włosy.

Uciec stąd jak najszybciej, porzucić wszystko i biec naoślep, byle dalej od tego miejsca... Obrócił głowę i spojrzał poza siebie. Nad nim stał porucznik. Oczy ich na chwilę się spotkały. Spokojne, niebieskie źrenice oficera i nawpół obłąkane ze strachu strzelca.

— Panie poruczniku! — bełkotał pobladłemi wargi — wykryto nas... Uciekajmy... Tu śmierć...

— Przytrzymaj taśmę — rzucił w odpowiedzi oficer... Strzelec bełkotał coś niezrozumiale w dalszym ciągu.

— Przytrzymaj taśmę — powtórzył z naciskiem i wparł swe oczy w oszalałe ze strachu źrenice żołnierza.

Ten skulił się jakby pod działaniem jakiejś niewidzialnej siły i ujął posłusznie drżącą jeszcze ręką taśmę.

Drobna i delikatna dłoń oficera spoczęła na tylcach i k. m. znów ożył...

— Teraz do tyłu!...

— Panie poruczniku, jeszcze tylko te pięć naboi w taśmie...

— Do tyłu!...

Dźwignęli we dwóch karabin i poczęli go pośpiesznie unosić ku najbliższemu załamaniu rowu...

Za chwilę tam, gdzie było zamaskowane stanowisko k. m. ział potworną głębią lej...

* * *

Strach, zabobonny strach padł na obsługę pierwszego karabinu 2-ej drużyny k. m. Oto zaledwie trzy dni upłynęły w ustawicznych bojach i zmaganiach, trzy co prawda gorące dni a już czwarta z rzędu obsługa objęła w posiadanie tego małego potwora. Ludzie ginęli przy nim jedni po drugich, padali jak muchy. Z pierwszej obsługi pozostał tylko pomocniczy, z trzeciej pierwszy amunicyjny, z drugiej — żywa noga nie uszła.

A tej bestji nawet nie draśnięto.

Zdawał się drwić on z pękających granatów, gwiżdżących kul, szalejącej wokoło śmierci.

Nowa obsługa spozierała z jakąś zabobonną trwogą na przydzielony jej sprzęt, oddając się jak najczarniejszym myślom na temat najbliższej przyszłości.

— Zobaczycie, że ta bestja jeszcze nas wszystkich przeżyje...

Nie nazywano go inaczej w drużynie jak krwawy k. m. lub k. m. śmierci.

„Krwawy k. m." miał jednak pewną zaletę, którą dobrze znała obsługa.

„Krwawy k. m." był również krwawym i dla npla. Wszystkie natarcia npla, pomimo huraganowego przygotowania artyleryjskiego załamały się pod ogniem tego jednego karabina. Nie było wypadku, żeby żołnierz nieprzyjacielski dotarł dalej, jak do pierwszej przeszkody z drutu.

Zdarzyło się raz, iż po zaciętej i wyczerpującej walce zluzowano cały pluton k.m. i pchnięto gdzieś do tyłu poza front, na odpoczynek.

I któregoś dnia, właśnie gdy obsługa „krwawego k.m." byczyła się sobie pod ciepłemi promieniami wiosennego słońca, doszła wiadomość, że npl zdobył naszą pierwszą linję.

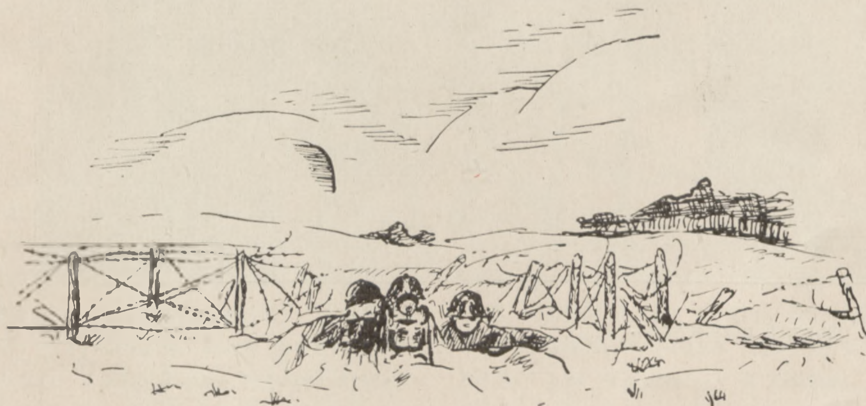
— To było do przewidzenia! — krzyknęła jednogłośnie cała obsługa.

— Jakże mogło być inaczej, skoro tam nie było naszego karabina...

Celowniczy, przechodząc mimo poraz pierwszy spojrzał z wdzięcznością na swą „maszynkę" i poklepał ją pieszczotliwie po chłodnicy, jak istotę żywą...

* * *

...Jakoś dziwnie i nieswojo czuł się od samego rana... Uczucie nieokreślonej obawy i niepokoju, przechodzące chwilami w przygnębienie i depresję moralną — szarpały nim ustawicznie. Uparte przeświadczenie o czemś nieubłaganie się zbliżającem, o czemś nieokreślonem bliżej, nieuchwytnem, lecz groźnem — przesłoniło pogodny dotąd strop jego duszy.



Kilkakrotnie starał się opanować. Daremnie. Niepokój wracał ustawicznie i ciążył nieznośnie.

Przeszedł się kilkakrotnie po ciasnym schronie.

Samotność, do której przedtem tak chętnie uciekał, przerażała go teraz.

Zapiął „koalicyjkę" nasunął hełm na oczy i opuścił wnętrze schronu.

Błądził dłuższy czas bez celu po zaułkach okopu, aż znalazł się w schronie sąsiedniego plutonu.

Pośrodku, na skleconym z krąglaków stole rżnęli koledzy beztrosko w brydża.

— Antoś, może pozwolisz do nas na robra— proponował niski brunet, d-ca plutonu moździerzy.

Podziękował chłodno i znów znalazł się na świeżem powietrzu.

Wszystko go drażniło i irytowało.

— Co się ze mną dzieje u licha? — Zdjął hełm i dotknął dłonią czoła.

— Czyżby już i na mnie przyszła kolej?...

A cóż ty jesteś lepszego? — szepnął szyderczo jakiś głos wewnętrzny. Mogą oni ginąć, dlaczegoż miałaby śmierć ciebie oszczędzać?... Czyż funkcja d-cy plutonu czyni cię nietykalnym?... Lub może podpisałeś polisę na nieśmiertelność?...

Starał się otrząsnąć z czarnych myśli. Wracały ustawicznie, nie dając ani chwili spokoju.

„K. m. śmierci"... Szesnastu w ciągu ostatnich trzech dni... Czas najwyższy na ciebie...

— Jednak ta wojna wyczerpuje nerwowo — bronił się resztkami rozproszonych myśli, które ustawicznie gdzieindziej się wymykały.

W załomie okopu, na prawo załomotała nagle krótka serja.

Ruszył pośpiesznie w tym kierunku, ruszył niemal radośnie, żywił bowiem nadzieję, iż pierzchną dręczące go dziś od samego rana majaki, skoro zetkną się twarzą w twarz z realnem niebezpieczeństwem.

Po chwili był już przy stanowisku „krwawego k. m.".

— Panie poruczniku — meldował karabinowy — wszystko w porządku. ...Podczołgali się pod same druty i coś tam majstrowali, kazałem więc poczęstować ich jedną punktową odryglowaną...

— O, jeszcze tam coś się rusza... A przygrzej im tam... Ognia!... Jeszcze... I jeszcze...

Nagle przedpiersie okopu tuż przy stanowisku „krwawego k.m." zakurzyło się i zabulgotało chlaśnięte całem naręczem kul.

W ułamek sekundy później o uszy obsługi uderzył charakterystyczny w swej rytmice klekot kaemu strony przeciwnej.

— Oho, to ten z tamtej wyrwy na lewo... Grzej po nim!... Celowniczy spojrzał lufą na nowy cel i rąbnął sążnistą, zjadliwą serją...

Z wyrwy na lewo nie przestawało się kurzyć...

Śledzący uważnie ten śmiertelny pojedynek dwóch maszyn, oficer opuścił nagle lornetkę i usiadł ciężko na dno rowu...

A k. m. dalej grał...



Na punkcie obserwacyjnym... Fot. Grosicki



W Zambrowie po obiedzie... Fot. Auterhoff



Z ćwiczeń zimowych... Fot. Auterhoff



Gęsiego... Fot. Auterhoff



Ogień ciągły—ognia!... Fot. Jurkowski



Burza rozszalała się już na dobre, kiedy umęczona za życia dusza „emerytowanego" podchorążego opuszczała swój zezwłok cielesny.

Noc czarna i ponura zalegała ziemię. Duże krople deszczu, pchane potężnym oddechem wichury cięły ukośnie, szemrząc monotonnie.

Od czasu do czasu błyskawica, jak rzucona w ciemnościach paląca się zapałka przecinała zawalony chmurami strop nieba i gniewny łoskot grzmotu rozlegał się gdzieś w górze.

— Ależ czas — mruknęła dusza podchorążego — tylko iść na ćwiczenia nocne...

Wlokła się powoli, ze zwieszoną na piersi głową. Myśli podobne do tej nocy snuły się po niej. Wtem jakaś dziwna jasność, blask jakiś niezwykły zmusił ją do podniesienia głowy. Opuściła ją znów na piersi i przysłoniła oczy powiekami, tak raziło ją to światło. Cały klosz stropu niebieskiego, przykrywający szczelnie ziemię został rozłupany jakąś niewidzialną siłą na dwie połowy: ta, w kierunku której podążała zbiedzona dusza podchorążacka była oświetlona, jakby kilka potężnych reflektorów spojrzało na nią swym ognistym wzrokiem, podczas kiedy pozostała część, tonęła całkowicie w nieprzejrzanej pomroce.

Nagle zatętniało i jakaś gromadka jeźdźców ukazała się w dali.

Ten, który za życia nosił miano podchorążego znów uniósł głowę i przysłonił ręką oczy.

Jeźdźcy się zbliżali.

W miarę ich zbliżania się ręka podchorążacka tworząca nad czołem daszek poczynała coraz silniej drżeć.

— Co ja widzę?... Czy mię wzrok nie myli?... Nie, ja przecież nie śpię...

Mała kawalkada zbliżyła się już na kilka kroków.

— Tak, to On!... Bóg Wojny... Wielki Cesarz Francuzów... Ten sam biały arab pod nim, ten sam surdut z pod Marengo, ten sam trójgraniasty kapelusz...

Przy nim zaś, kapiąca złotem, lśniąca orderami świta. Oto król neapolitański i zarazem niezrównany kawalerzysta Murat, oto marszałkowie Ney, Davoust, Lannes, Oudinot, Berthier... Oto generałowie Massena, Desaix, Marmont i tylu, tylu innych...

Zahukana za życia jeszcze dusza byłego mieszkańca Komorowa stała na uboczu nie śmiąc podnieść oczu na wielkiego cesarza.

Pierwszy przemówił Napoleon. Na dźwięk jego głosu drgnęła jakby wyrwana z głębokiego snu. Obudził się w niej dawny podchorąży. Trzasnęły obcasy, ręka dotknęła energicznie daszka, piersi zaś wyrzuciły z siebie jak za dobrych czasów w Komorowie:

— Najjaśniejszy Panie! Podchorąży.... melduję posłusznie...

— Podchorąży, podchorąży — powtarzał w zamyśleniu Napoleon, — nie mogę was sobie przypomnieć...

— Sire — rzecze niedoszły adept sztuki wojennej — nie byłeś przecież w Komorowie, skądże więc możesz mię znać?...

Tak, istotnie nie byłem tam... Brienne jest mojem... Patrzał przez dłuższą chwilę na podchorążego. Znów począł mówić. Lecz teraz słowa jego i ton głosu nie przypominały już w niczem dawnego władcę, który zwykł był tylko krótko i stanowczo rozkazywać, który szedł z jednego pola bitewnego na drugie, od zwycięstwa ku zwycięstwu.

Był w tej chwili tylko człowiekiem.

— Dusza ludzka nie jest niczem innem, jak żywem odbiciem zewnętrznej powłoki człowieka.

Powiedz więc mi mon brave co ci dolegało podczas twego pobytu na ziemskim padole. Patrząc bowiem na ciebie wnioskuję, iż droga twego żywota nie była usłana kwiatami.

— O tak — westchnął ten, którego umysł za życia nie mógł w żaden sposób zgłębić tajników artylerji i pionierki — nie kwiaty, lecz osty i ciernie... Sire, żebyś jednak mógł mię zrozumieć, musiałbyś być co najmniej dwa lata w Komorowie...

Cesarz spoglądał w milczeniu na nieszczęśliwca i w oczach jego malował się wyraz głębokiego współczucia. Wśród marszałków zapanowało pewnego rodzaju poruszenie. Lannes pochylił się na siodle i począł coś szeptać do ucha Neya, który zdawał się w zupełności z nim zgadzać, gdyż powtarzał co chwila przyciszonym głosem: Oui!

Expodchorąży zaś stał wyprężony na baczność.

— Spocznijcie — rzekł dobrotliwie Napoleon.

Wtem w szarych, o stalowym odcieniu jego źrenicach zamigotał błysk, znamionujący w takich wypadkach powzięcie decyzji.

— Rustan! — rzucił ostro do wiernego mameluka — konia dla podchorążego...

Spowity szczelnie białym burnusem arab spełnił momentalnie rozkaz.

Podchorąży wgramolił się z trudem na siodło i ujął niepewną ręką wodze. Bonaparte spojrzał bystro na skuloną na kulbace postać i spytał zdziwiony:

— Cóż tak niepewnie, mon chere? Czyście nigdy nie dosiadali konia?...

— Sire, — jękneła znów biedna dusza — mieliśmy tylko jedną godzinę pielęgnacji konia...

— Więc czegóż uczono was przez trzy lata?— spytał niecierpliwie.

— Historji, geografji, artylerji, pionierki — recytowała podchorążacka dusza—administracji, dydaktyki...

— Dość — przerwał Bonaparte — ruszamy...

— Dokąd?

— Zobaczysz... Ruszyli. Murat i Lannes wysunęli się naprzód jako szperacze czołowi, w odległości stu kroków za nimi jechali strzemię w strzemię Napoleon, Podchorąży i Desaix, reszta z Neyem na czele stanowiło ubezpieczenie tylne.

— Sire, dlaczego idziemy marszem ubezpieczonym, przecież nic nam nie zagraża...

— Bezwątpienia. Robię to jednak tak z przyzwyczajenia...

— Sire, czy nie będziesz się gniewał, jeżeli ci coś powiem — spytał nieśmiało podchorąży.

— Mów śmiało...

— U nas w Komorowie dostałbyś... dostałbyś.. za to... tróję z taktyki... Nie wolno męczyć ludzi bez potrzeby.

— Co, ja tróję?... Oszalałeś?...

— Tak sire, za brak znajomości regulaminu piechoty cz. I...

Jechali przez pewien czas w milczeniu.

Ukołysany miarowym ruchem swego wierzchowca podchorąży puścił wodze koniowi i zarazem swej fantazji.

...Znów więc jest ciemna i parna noc letnia... Bataljon wlecze się w ponurem milczeniu... On, podchorąży wymyka się niepostrzeżenie ze swej czwórki i kołując zręcznie zbliża się do luzaka, który prowadzi za kolumną całe półtuzina komorowskich bachmatów... Po chwili dosiada jednego z nich... Wcale nie ze zmęczenia, ot tak dla sportu... Prostuje się dumnie na siodle... Pierś do przodu, broda lekko przyciągnięta, palce nazewnątrz, pięty w dół... Niech mu teraz spróbuje ktoś zarzucić, że nie umie jeździć... Wtem zjawia się p. kpt.... i powodowany prawdopodobnie obawą, iż jego podchorążacka zaprawa marszowa srodze na tem ucierpi, strącił biedaka z wyżyny kawaleryjskiej w ciasną czwórkę piechoty... Dawne to czasy...

— Jak się wam podoba praca moich marszałków w ubezpieczeniu czołowem — spytał nagle Bonaparte.

— Z plutonem daliby sobie radę, gorzej natomiast przedstawia się sprawa z wyszkoleniem pojedyńczego strzelca...

— Tak sądzicie?...

— Jestem tego pewien i uważam, iż przydałby się im dwumiesięczny pobyt na ostatnim roczniku w Komorowie...

Znów zapadło milczenie. Wtem Lannes, będący szperaczem czołowym obrócił się na siodle i podał ręką znak „biegiem". Bonaparte uniósł do góry prawicę na znak, że „przyjęto" i rzucił krótko: w konie!

Spięli ostrogami i ruszyli z miejsca cwałem.

Podchorąży w pierwszej chwili omal nie fajtnął kozła, schwycił się jednak końskiej grzywy i trzymał się jej kurczowo.

Pędzili tak przez godzinę. Mijali pagórki, lasy, uśpione ludzkie osiedla i mknęli coraz dalej.

Zalewająca pół stropu niebieskiego jasność poczęła znikać powoli, aż wreszcie niebo przybrało swój pierwotny kolor. Ciemność nieprzenikniona znów zaległa ziemię. A oni gnali bez przerwy.

— Sire, czy jeszcze daleko? — jęknął trzymający się z trudem na siodle podchorąży.

— Już nie daleko...

Z za ciemnych zwałów chmur wyjrzał księżyc, topiąc mknącą gromadę w mdłej poświacie.

Szperacze czołowi dali znak do zatrzymania się. Jeźdźcy ściągnęli koniom wodze i przeszli w stępa, by po zbliżeniu się do ubezpieczenia czołowego stanąć.

— Jesteśmy na miejscu—raportował Murat.

Zsiedli z koni, poczem Napoleon zwrócił się uroczyście do podchorążego:

— W nagrodę za twe cierpienia, jakieś zniósł na padole ziemskim stanę się na krótko twoim Wergilim i pokażę ci to, co napewno ucieszy duszę twą i uraduje oko twoje...

Pójdź!...

Przywykła do ślepego posłuszeństwa dusza podchorążacka podreptała za genjuszem.

Przeszli przez niewielką leśną polankę i zatrzymali się przed starym schronem, jeszcze z czasów wojny światowej.

W ręku Neya zabłysło światło latarki elektrycznej i oczom wszystkich ukazała się ciemna czeluść, z krętemi schodami, wiodącemi gdzieś na dół.

Bonaparte wkroczył na nie śmiało, za nim podążył podchorąży a na końcu reszta.

Po kwadransie takiego schodzenia jakaś dziwna woń, podobna do spalonej siarki lub smoły poczęła wiercić nozdrza.

— Jesteśmy już blisko — szepnął podchorążemu do ucha, postępujący tuż za nim Desaix.

Jakoż po chwili znaleźli się w kwadratowej, nisko sklepionej piwnicy. W jednej ze ścian widniały ogromne żelazne podwoje.

— Uwaga! — rzekł Napoleon i nacisnął znajdujący się w lewo od drzwi kontakt. Żelazne podwoje rozwarły się z trzaskiem.

W tej chwili podchorąży zatoczył się jakby uderzony po głowie i odskoczył przerażony do tyłu.

Iście potępieńcze wrzaski i wycia, jakich nigdy nie słyszał w życiu, rozdarły mu uszy. Przez otwarte naoścież drzwi wionęła cała fala gorąca pomieszana z kłębami dymu i iskier. Z głębi tej czeluści dochodził jakiś niesamowity trzask i huk, jakby z jakiejś potwornej kuźni. Na tle tego morza ognia uwijały się czarne, ogoniaste sylwetki potępieńców...

— Piekło, prawdziwe piekło — szeptała drżąca i wtulona w ciasny kąt dusza podchorążego.

W tej chwili zbliżył się do niej Bonaparte i rzekł dziwnie silnym głosem, który potrafił zapanować nad ogólnym chaosem siedliska potępionych.—Nie bój się synu niczego i chodź za mną!...

Drżący jeszcze ze strachu ruszył posłusznie za swym przewodnikiem. Zanurzyli się w ognistą czeluść. Z niezmierną ulgą skonstatowała dusza podchorążacka, iż buchające wokół płomienie, wcale nie robią jej szkody.

— Jesteśmy obecnie w oddziale dla potępieńców cywilnych... Nie interesuje on nas narazie, dlatego też udamy się wprost do oddziału dla wojskowych...

Wkrótce znaleźli się przed wyniosłą bramą o łukowatem sklepieniu, wspartem na dwóch masywnych kolumnach z żelazo-betonu. Na szczycie jej widniał rzeźbiony w kamieniu bóg wojny Ares, klęczący za cekaemem i własnoręcznie odpierający szturm.

Majestat i groza zarazem biła od tego nigdy niesytego krwi władcy... Palce jego nakształt szponów drapieżnego ptaka zgięły się dokoła tylców, lewe oko przymknęło się szyderczo, prawe zaś spoczywało na przyrządach celowniczych. Twarz jakby zastygła w zaciętości i okrucieństwie, dolna szczęka silnie wysunięta do przodu... Cała postawa boga znamionowała najwyższy szał bojowy... Z boku zaś mały i różowy amorek, ujarzmiony przez srogiego władcę bitew podaje skwapliwie taśmę...

Podchorąży spoglądał raz ze strachem to znów z zachwytem na tę niezrównaną grupę.

Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż znajdowali się przed pawilonem dla wojskowych.

W tej chwili otwarła się boczna furtka i rogaty przewodnik, w paradnym mundurze byłego Kronprinca wynurzył się z niej i ofiarował swoje usługi.

— Prowadź nas do potępieńca Nr. 41 — rozkazał Napoleon.

Już zdaleka do uszu nadchodzących poczęły dochodzić jakieś krzyki i wrzaski człowieka, który zdawał się być w najwyższej pasji.

W miarę zbliżania się można było rozróżnić poszczególne dzwięki, które wychodząc ze zduszonej gniewem krtani układały się w urywane słowa i zdania: Ja... Ja... wa... was... Ja... was... podchorąży!...

To ostatnie „podchorąży" zostało wyrzucone z taką siłą i tak głośno, iż biedny mieszkaniec Komorowa, usłyszawszy niespodzianie swój tytuł, poderwał się odruchowo na baczność. Opanował się jednak zaraz i ruszył dalej zawstydzony.

Stanęli przed celą oznaczoną cyfrą 41.

— 41 p. p. — szepnął siłą przyzwyczajenia podchorąży, który każdą cyfrę od 1 go 86 włącznie zwykł był zaopatrywać dodatkiem „pp", wymieniając jednocześnie nazwę odpowiedniej miejscowości. Był to stary zabytek jeszcze z czasów komorowskich, kiedy to, wypatrując tęsknie urlopu, ilość dni rachowało się na pułki.

— Co powiadacie? — spytał, usłyszawszy szept Napoleon.

— Nic sire, mówię, że 41 p. p. stoi w Suwałkach...

Czarny przewodnik odsunął zasuwę i w drzwiach ukazało się małe, zakratowane okienko.

Podchorąży zbliżył się na palcach i zajrzał do wnętrza celi. Indywiduum dość pokaźnej tuszy,

z kanciastą twarzą i wydatnym podbródkiem miotało się od jednej ściany ku drugiej, krzycząc i wymachując pięściami. Chwilami zatrzymywało się w miejscu i zdawało się pochylać nad kimś niewidzialnym i nieruchomo stojącym. Wtedy małe jego oczka żarzyły się jeszcze większą złością, cała twarz wykrzywiała się w grymasie, usta zaś bełkotały gniewnie: Ja... Ja... was... Ja... wam... Podchorąży!...

— Za życia był — począł objaśniać grobowym głosem przewodnik — straszliwym krzykaczem...

Głosu swego używał wyłącznie do wylewania żółci na bliźnich, którzy byli zazwyczaj Bogu ducha winni...

Krzyczał i darł się po całych dniach, zatruwając wszystkim życie... W przerwach pisał wielce pouczające artykuły na temat, jakie nalepki są lepsze bronzowe, czy niebieskie... Za niepanowanie nad swemi namiętnościami skazany na wieczną mękę... Krzyczy tak po całych dniach i nocach i będzie tak drzeć się aż do sądnego dnia...

— Straszne to jest — szepnął podchorąży.

Na twarzach wszystkich osiadła jakaś niezwykła powaga.

— Chodźmy już stąd—prosiła podchorążacka dusza.

Ruszyli.

Ja... Ja... was... Ja... wam... podchorąży... — długo rozlegało się za nimi.

Potępieniec Nr. 29! rozkazał Bonaparte.

Znaleźli się przed identyczną celą jak poprzednia, opatrzoną wymienionym numerem.

— Potępieniec ten — mówił przewodnik — nie jest niebezpieczny... Możemy wejść do wnętrza...

Weszli. Celka miała kształty niewielkiego prostokąta. w każdym jej rogu były umieszczone olbrzymie lustra.

Mieszkaniec jej założał w tył ręce i przechadzał się miarowym krokiem, zdając się zupełnie nie spostrzegać przybyłych. Nagle doszedłszy do rogu, zatrzymał się przed jednem z luster.

— Uważajcie panowie — szepnął przewodnik.

Stojący przed lustrem potępieniec począł stroić pocieszne miny, przybierając zarazem najrozmaitsze pozy.

Patrzał prosto przed siebie a wzrok jego i cała twarz wyrażała skupioną uwagę. Na czole pojawiła się podłużna zmarszczka, znamionująca najwyższe zainteresowanie. Wtem przechylił z wdziękiem głowę i nastawiwszy dłonią ucha, zdawał się słuchać kogoś, przytakując mu lekkiem skinieniem. Stopniowo zainteresowanie poczynało przechodzić w zdziwienie, niewiarę, zdumienie aż nagle zsunął groźnie brwi, zmarszczył czoło, zaciął usta i zapłonął gniewem. Spoglądał przez chwilę druzgocącym wzrokiem, naraz jednak gniew począł znikać, groźne zmarszczki na marsowem czole wygładzały się, jakby pod dotknięciem miękkiej dłoni niewieściej i twarz przybierała zwolna zwykły wyraz. Wtem nowa zmiana. Oto odrzucił do tyłu głowę jak komorowskiej krwi rumak, zmrużył filutarnie oko, na wąskich zaś wargach zaigrał uśmieszek wyższości, szyderstwa, triumfu.

— Co u licha za miny wyczynia ten człowiek — zdziwił się stojący w pierwszym rzędzie marszałek Ney.

— Stroił ciągle miny—rozpoczął swój wykład przewodnik — i był człowiekiem bez serca... Jedyną treścią jego żywota była bezduszna mimika... Lubił też dokuczyć swym bliźnim, gdzie się tylko dało... Nosił imię i nazwisko jednego z bohaterów Słowackiego... Niestety w niczem nie był doń podobny... Tamten potrafił czuć całą głębią swego jestestwa...

Za karę skazany został na wieczne mizdrzenie się przed lustrem...

Skierowali swe kroki ku widniejącej stąd celi Nr. 22. Dziwna to była cela. Kształtem swym i wymiarami przypominała nieco poprzednie, lecz posiadała tylko trzy ściany. Czwarta zdawała się być wyjętą z fundamentów i otwierała widok na obszerną panoramę. Podchorąży rzucił na nią okiem i stanął jak skamieniały.

Oto bowiem panorama ta przedstawiała nic innego jak jedną z nisz podchorążackiej sali sypialnej. Tak dobrze znany obrazek! Ileż chwil tutaj spędził! Ileż wspomnień! Te same rzędem ustawione łóżka, te same szafki, te same taborety... Wodził rozmiłowanym wzrokiem po tych starych i tak dobrze znanych sprzętach.

Wtem wzrok jego zatrzymał się na ustawionych pod taboretami butach. O zgrozo! buty nie były doczyszczone... Zwłaszcza te dwie pary, znajdujące się na pierwszym planie obrazu pozostawiały wiele do życzenia.

Zachwycona tak niezwykłą panoramą gromadka przybyszów dopiero teraz spostrzegła, stojącego w jednej z rogów celi jej mieszkańca. Był to niskiego wzrostu, szczupły jegomość o przeraźliwie bladej twarzy. I on jak, dwaj jego poprzednicy nie zwracał najmniejszej uwagi na przybyłych. Stał przez chwilę, jakby pogrążony w głębokiej zadumie... Ruszył z miejsca i skierował się najnieoczekiwaniej w sam środek, wznoszącej się panoramy... Zmienił się w jednej chwili do niepoznania... Ruchy jego stały się dziwnie lekkie, niemal kocie, bladą swą twarz przystroił złośliwym uśmiechem i skradał się wprost ku owej nieszczęsnej parze podchorążackich „komiśniaków", zdającą

się szczerzyć z pod taboretu swą nieprzepisową liczbę gwoździ...

Dusza wygnańca komorowskiego zamarła nagle w grozie i bezruchu, bo oto nagle w ręku niskiego jegomościa błysnął... ołówek i notes...

Zimny pot wystąpił na czoło dotychczasowemu kompanowi Bonapartego... Mały prześladowca znajdował się już trzy kroki od taboretu... Jeszcze chwila, a niedoczyszczone buty podchorążackie znajdą się w ręku tego, który obejrzy je napoły szyderczym, napoły triumfującym uśmiechem, by wciągnąć do straszliwego notesu niefortunnego ich posiadacza z odpowiednią adnotacją.

Nie chcąc być biernym świadkiem tego, co się za chwilę rozegra przymknął oczy i szepnął z najwyższą rezygnacją: niech się dzieje co chce!...

Gdy otworzył je znowu, stwierdził w najwyższem zdumieniu, iż odległość między prześladowcą a prześladowanym nietylko, że nie zmalała, lecz zdawała się wzrastać.

— Tu mają panowie przykład — rozpoczął swym monotonnym głosem przewodnik — kary, polegające wyłącznie na cierpieniach moralnych...

Specjalnością tego człowieka, który za życia wyprowadzał ród swój w prostej linji od Piasta-Kołodzieja, było właśnie to, coście mieli panowie sposobność przed chwilą zaobserwować... Żył tem tylko... Jak ambicją myśliwego było nie wracać z pustą torbą, tak jego nie wracać... z czystym notesem... Doznawał też tego samego dreszczu emocji, co łowiec, gdy trafił na trop grubego zwierza... Zrozumieją więc panowie, co za katusze znosi teraz ten człowiek, gdy od upragnionego przedmiotu dzieli go tylko krok, gdy zdaje się, iż wyciągnąć tylko rękę, ażeby go mieć a tu nagle przedmiot ten ucieka... Znów więc gonitwa i znów po chwili ta sama historja... I tak będzie aż do skończenia świata...

— Idźmy dalej — rzekł po chwili Bonaparte.

— Potępiony Nr. 86 — oznajmił przewodnik gdy znaleźli się przed nowemi drzwiami.

Dziwny to był potępieniec i w niczem niepodobny do poprzednich. Nie krzyczał bowiem, nie rzucał się, nie stroił min... Siedział sobie spokojnie za stołem, zawalonym całemi stertami papieru i pisał coś pilnie... Obok na gwoździu wisiała czapka z kapitańskiemi insigniami, które tak dziwnie się świeciły, jakby je dopiero przed chwilą naszyto... Pisał zawzięcie i zdawał się być tem całkowicie pochłonięty... Od czasu do czasu usta jego poruszały się a wtedy do uszu stojących dochodziły strzępki słów.

Panie... Panie... Bunt!... Panie... Panie... Jakem stary kapitan... Panie... Panie... Bunt!...

Nagle podniósł głowę i krzyknął groźnie: Co wy ze mnie Panie... Panie... będziecie robili... Panie... Panie... buca!...

— Przewinienie i kara identyczna co i potępieniec poprzedni — ciągnął swój wykład niestrudzony przewodnik.

Ten był specjalistą od wykrywania spisków i tłumienia groźnych buntów... Po każdym takim wypadku pisał obszerne a jeszcze bardziej nudne raporty...

Za karę więc pisze ten raport, który nigdy się nie skończy... I będzie go tak długo pisał, dopóki...

— No, ale już czas najwyższy opuścić to królestwo potępionych — przerwał mu nagle Bonaparte — chodźmy stąd...

— Tak więc widziałeś, mój synu — mówił w drodze powrotnej wielki cesarz Francuzów do podchorążego — że jak żaden czyn dobry nie pozostaje bez nagrody, tak żadna „zbrodnia" nie ujdzie nikomu bezkarnie...

— Amen — rzekł podchorąży.

— Amen — powtórzyli jak echo marszałkowie.

Sewer





Podchorąży nie samemi tylko ćwiczeniami żyje... Fot. Auterhoff



Przeprawa... Fot. Auterhoff



Ogień pośredni.. Fot. Auterhoff



Strzelanie z c. k. m. Fot. Auterhoff

Fot. Grosicki



I



II



III

Fot. Grosicki

I



II



III



3 Kompanja

Fot. Grosicki



I



II



III

4 Kompanja *Fot. Grosicki*

I



II



III





Każda dzielnica Rzeczypospolitej Polskiej ma swoje narzecza i gwary, niekiedy wesołe, śmieszne ale nadewszystko interesujące. Do jednej z takich gwar zaliczamy góralską. Jest ona może dlatego piękną, że zawiera w sobie urok gór, przenosi myśl słuchacza gdzieś hen do niebotycznych Tatr, hen na „wirchy".— Któż z nas nie docenia piękna gór, któż się niemi nie zachwyca i któż nie stara się ich poznać. Starając się je poznać, zacznijmy od tego, który je opanował, zżył się z niemi i całem sercem je pokochał — od górala. — Starajmy się poznać jego mowę, sposób myślenia, zwyczaje i jego przywiązanie się do gór. Cząstkę tego przedstawi nam następująca nowelka.

Downo to juz temu bedzie, bo cosi wiencej jak pięćsto roków, to haw koło Zokopanego syndyj strasne lasy rosły. Kozdy smrek prościutki jak świcka. Godom ze koło Zokopanego ale wtedy stoły hań dziwaś ky chałpy a o takim mieście jak dziś to ani dudu. Kezby tez fto rachowoł, ze tu ky teroz takie strasne lasy, ky teroz chodzi tako chmara zbójników stanie takie pikne miasto i ze bedom haw jeździć panowie i to nie ino z całej Polski ale het kejsi ze światu, jakto teroz w zimie poprzijezdzajom na nartach. Ej! ale hipkajom to tez świarnie ino nieftórege to być nic nie zrozumioł co ci tak zeświargoce.

W totych lasach zyli ino zbójnicy, jak zem juz wspomnioł, a zaś hań blizej ku Nowemu Torgowi była jedna wieś co jom wołali „Saflary" ej! pikno wieś, ale jesce pikniejso była tam dziewcyna, pono przi krzcie świętym dali jej miano „Janka". Drugiej takiej to być haw hytro nie naloz. To tez niejeden ze świarnych chłopców pedzioł se „Hej Boze miołbym tyz fajnom babe, hej kieby cie to fciała. Nei jak mom rzyc ona nie fciała zodnego. Ociec jej nieroz, packając faję i pozierając oknem na hole, przikazował jej coby się juz namyślała i wybrała jakiego świarnego chłopca, bo tak by sie przidoł w lecie hań bacować z juhasami na Groniu. Ale Janka obyrtła się na pięcie i nigdy nie fciała słuchać co ta stary ociec bredzi.

Roz jakosi pojechała na odpust do Ludzimierza na Matke Boską Siewną, i tam usłysała jak se parobcy opowiadali, ze hań kajsi wedle Zokopanego na okropecnym drzewie mo swoje gniozdo oreł i ftoby tego orła chycił to bedzie mioł siłe co mu zodym ani nawet najwienksy zbójnik nie do rady. Zwidziało sie to nasej Jance i pado, dyć jak prziniesie ftóry chłopiec tego orła to pudem za niego. Zaroz wybrało sie tam cało chmara róznej gowiedzi ale zodyn sie nimógł wystyrmać bo straśnie było wysokie to drzewo. Dopiero znaloz sie jeden dość fajny chłopiec haw od Biołego Dunajca, ten wybroł sie roz do kościoła, kie se wypatrzoł ze juz syscy ludzie pospochodzili ku chałpie pado do Matki Boskiej „Hej jo by Ci kupił pikne trzy świcki kieby ino tego orła chycić. A wtedy trzy świcki to było kupa. Ky hawok myśloł fto o świckach, zeby kupić a jesce takie pikne

to trza beło jechać az do Krakowa. No ale jak obiecoł to zaroz zabroł się do dzieła. Nuze, kozoł matce upiec moskolicek sowoł go za pazuche i sed pomału ku holom. Przichodzi na miejsce poźroł na tego smreka i nie duzo medetował ba zaroz razon sie styrmać. Dość chytro wysed do połówki abo i dalej, poźroł do góry widzi ze juz nie daleko i tak se myśli „E Matko Bosko kyzby jo Ci doł az trzy świcki kie sie tu tak fryśno wysło, bees miała dość dwie". Nie daleko used i juz se myśli e jo Ci nie dom dwie wystarcy Ci jedna, a kie juz był pod samym wirsyckiem i juz mioł wyciągnąć orła z gniozda, myśli se; E skoro sie tu tak lekko wysło to jo Ci nie dom nic. I tak ledwo se pomyśloł, kie sie urwie gałąź, kie mój Kuba, bo tak go wołali, nie praśnie na ziem, nie duzo brakowało a byłby sie nie pozbieroł. Ale jakosi pomału sie pogrotoł i tak se godo „Hej Matko Bosko dyć jo se ino pomyśloł a Tyś tako norymno dyć jakosi byw Ci doł. Tak narzekając pobroł sie ku chałpie jak syscy jego poprzednicy, drogą pogryzoł moskolicek i medetował jakby tu mace pedzieć, ze on tako niezdara, No ale w chapie zaroz se rachowali keby on ta co zrobił kie hań nie tacy byli a przichodzili nazod z próżnom gorściom.

I znowu przesło pore tyźni, do Janki dalej chodziło duzo piknych chłopców, a ona ino godała: dyć sycko bedzie fajnie jak zrobicie to co zem pedziała. Tymcasem oreł siedzioł se beśpiecnie w swoim gnioździe i ani myśloł ze tu telo ludzi fciało by go chycić. Aż roz przichodzi do Janki nojwienksy zbójnik na całe Podhale, nazywoł się Janosik. Miała ona dość strachu na same weźrenie, bo to przeciez harnaś neto nie bele co, ale pomału nabrała śmiałości i pedziała mu to co syckim. Luto sie stało Janickowi ze go dziewcyna nie fce i tak se zaśpiwoł:

Janicku zbójnicku
cości po konicku
cości po kobyłce
kie cie dziewce nie fce.

Ale dlo niego wyjść na telego smreka to telozby juzyne zjeść! Kie se tam przised poźroł na wirsycek zakrzesoł zbójnickiego i w jeden mig naloz sie na gnioździe chycił orła i w dyrdy do Janki. Od tego casu zyli se spokojnie razem, Janicek chodził dalej na zbój bo przecie ckliwo byłoby jego towarzisom kiejby ni mieli swojego harnasia, choć to i Jance ckliwo nieraz było kie całą nocke musiała sie bez niego obejść! Znali go syscy ludzie, ze był to fajny chłop. Ej Boze mioł tyz kupe piniędzy, broł od bogatych a dawoł bidnym, Hej Miłyzmocy Boze! fajny chłop.

I znowu przesło pore roków a wiecie moi panockowie, jakto i teroz jest z babami, zawsze kłopot tak tez i Janka pomału sie sprzeniewierzyła swojemu zbójnikowi. Roz kie zabrał jednemu zydowi sycko co ino mioł szukali go ziandary bo mu ni mogli ścierpieć, wtedy pedziała Janka ky bedzie jej Jasiu i keny go bedom mogli chycić. Nei jakosi w niesopusty siedzi sie Janosik w dunajeckiej karcmie, miesiącek piknie świcił, az tu naroz włazi do izby cosi z osmik ziandarów a za nimi cało chmara Dunajcanów, kozdy z połkom zeby se odbić na nim syćkie krzywdy. Co tam było to najlepiej powie nom śpiewka ftórom zaśpiewują casem ci, co zywcem z tamtela uciekli. Ostatnio słysołem ją tak:

I zawrzała strasno bitka
fyrcy krew i ciało
Dunajcanów mało pozostało.

Co było to było ale zbójnika zabrali i tak se uradzili zeby to nieźle było coby go uśmierzcić. Kie sie o tem dowiedzioł Janosik napisoł list do samej cesarzowej do Widnia, jak on to godoł do „Tereski". Pytoł coby go ułaskawiła a on som zastąpi całe dwa regimenty wojska. Zanim to posło, siedzioł Janosik w Nowym Torgu w hereście, hej chodzili tez haw zazirać na niego ky ino jako zywo dusa była to byś uwidzioł jak sie rozpychali coby ino uwidzieć nojwienksego harnasia. No ale niema im sie co dziwić bo przecie tele casy sie go tak straśnie boli. Jedna ino Janka nie przisła.

Nieroz kie mu sie straśnie luto robiło za gorami kie mu ckliwo było za dziewcynom tak sobie spiewówoł:

Moi wy pankowie
prosem wos jesce roz
pozwólciezmi kochanecke
uścisnąć jesce roz.

Po jego śmierzci, towarzise co go nieroz wspominali dodali ku tymu:

Oni mu nie dali
bo sie obowiali
kochanecki pocałować
to mu juz nie dali.

Hej Miłyzmocny Boze! czas sie wlók a dekret z Widnia nie przichodził a Dunajcanom sie rychlyło, troche sie boli coby im nie uciek, zaceni go męcyć coby nie skucoł długo jak go bedom wiesać. Ale był to nie bele jaki chłop bo całe lasy całe góry za nim tęskniły. A powie wom o tem śpiewka wtórom hojto usiysy jak haw do nos przyjedzie.

Jęcą góry jęcą
kie Janicka męcą
hejze jesce bardziej bedom
kie go wiesać bedom.

abo jest i drugo:

Zabili Janicka
między turnickami
hej leje sie krewka śniego
trzema potockami.

I tak zgineł nojwienksy zbójnik na Podhalu. Nie długo usło bo cosi śtyry dni kie przised dekret łaski z Widnia od „Tereski" ale Dunajcanie sie uwinyli i kozali mu sie pozegnać z tym Bozym Światem. Ale nie koniec na tem ze go zabili, bo Tereska kozała se zapłacić za te dwa regimenty wojska co Janosik mioł je zastąpić, az półtorej ćwierci śrybła. I do niedowna jesce płacili bo byłem han załońskim u swojego ujka to mi opowiadali ze starzy ludzie bocom kie wozili śrybło do Widnia.

Pamięć o nim posła daleko dosięgła nawet nasych murów skolnych, bo nie roz zagrają nom przez radjo „zbójnickiego" abo tez „krzesanego". Jedni mile słuchają i bocom na góry ftóre tam hen zostawili, ba dyć som i tacy co nic w tym nie widzą ale sie ta takiemu nie bedziecie dziwować bo mozes mu godać o górach to on ci o morzu nei z takim to nigdy do porządku nie dojdzie. A tu fto to fce zrozumieć musi tam być musi som syćko oglądać.

Ze „zbójnicki i krzesany" to toniec jakich mało to nojlepiej powiedzą wom ci co nie tak downo temu we Widniu uznali ze to był wielki cłek co taką pamiątke ostawili po sobie. Hę ba nawet po gazetach sie rozpisali ze jego następcy „Górale" nojlepiej sie spisali, choć tam przecie telo było narodu z całego światu.

Jo to kozdymu bym radził nic nie medetować ino jechać het do gór. Zeby przecie poznać te Tatry ky tele casy zbojował Janosik ky telo ludzi haw teroz przijezdzo. Roz przecie widzieć zachodzące słonko ze scytu „Czerwonych Wirchów" to kupe mozno pedzieć co to za cuda są na tym Bozym świecie.

Batkiewicz Józef.

BABACH!!!

Odszedł od nas, nie dlatego, że nie chciał nas uczyć, jak obracać w perzynę całe wsie npla wraz z całą plejadą obserwatorów artylerji i piechoty wrażej. Nie odszedł wyczerpany pracą — nie. Odszedł z własnej woli, takim jakim był — „gruby w kierunku" i pełen humoru, taki, jakim zwykle bywał przy swej pracy, za stołem plastycznym, gdv krzyczał zadowolony „łomot-babach".

Któż nie kochał szczerze i serdecznie „artylerzystę" mimo, że nieraz siedział, jak mysz pod miotłą, gdy mars artylerji z drutem i kawałkiem waty w ręku grzmiał — jak orkan: Komenda! Komenda, do cholery!

A jeśli był w dobrym humorze — gdy poszło dobrze strzelanie, jakie mówił kawały? Proszę zapytać, kto nie wierzy, słuchaczy. Trzęsło się wszystko od śmiechu.

Wszystko robił z humorem, nawet tak przykrą rzecz, jak dwója dla podchorążego, — też stawiał ze śmiechem; machał ręką — „bez pojęcia"!

Po pokazowem ostrem strzelaniu w Czerwonym Borze, otoczony przez brać podchorążacką zawisł kilkakrotnie między niebem a ziemią, a okrzyki z młodocianych piersi uczniów, wtórowały „Niech żyje! Niech żyje!...

Dziś w dniu promocji, odchodząc do pracy pułkowej, żegnamy Cię jeszcze raz — głośnem



i z serca płynącym „babach-łomot". Zostaniesz długo, długo w naszych sercach, Panie Poruczniku.

J. B.

A. Geisler

Cięcie o niewiadomem zakończeniu

„Repetitio est mater studiorum"



Noc była cudna, księżycowa.

W jasne niebo, rozmigotane tysiącem gwiazd wrzynały się masywne sylwetki Grodu Komorowskiego — aleje, ogrody, pomniki tonęły w potokach srebrzystej poświaty księżyca.

Smok, zrozumiawszy wreszcie bezsensowność walki z Krakusem, ostatni raz bryzgnął nań strumieniem piany i długie swe cielsko wyciągnął na drogę.

Duszność letniej nocy dawała się odczuć dotkliwie, strugi potu zlewały jego krokodylową skórę. W smoczym mózgu zrodziła się szybka decyzja.

Po chwili, basen kotłował się i pienił, raz poraz, w zielonych odmętach przewijały się czarne sploty cielska. Na żaby, śledzie postne, na „dość pospolite u nas ryby jaźdźce i jazgarze", stanowiące w basenie większość narodową, padł blady strach, ale na tem się jednak skończyło; potwór łaknął innej strawy.

Odświeżony kąpielą, pełzając sposobem różańskim ruszył smok w dalszą wędrówkę. Przedefilował pod nosem zadumanego wartownika, ze zwykłą u dinosaurów śmiałością i zatrzymawszy się vis à vis koszar zamarł w bezruchu.

Z niedomkniętej paszczy smoczej buchnęło na budynki zabójcze, siarkowe tchnienie, (p. kapitan Barcik stwierdził, że to pachnie pelargonją), przenikając przez ściany do sypialń.

Wibrujący fluid poruszył uśpionych podchorążych i zakłócił sen wykładowcom.

Od łóżek oderwały się sylwetki „lokatników", zapełniły się umywalnie, podziemia, kancelarje, okna pozasłaniano kocami: trujący jad smoka działał, fortepian sam zaczął grać repetycyjne preludjum.

Tam cech kowali schylony nad kuźnią regulaminową, przy współudziale majstrów, czeladników rozpalał do białości, obrabiał i hartował pionierkę. W korytarzu, ubezpieczywszy się służbowym, oraz prowizorycznym potykaczem, zebrało się grono co przedniejszych „dziobaków", zapamiętale dziobiąc rozsiane po kartach skryptów, ziarno wiedzy militarnej.

Gdzieniegdzie nad łóżkami, niby w noc świętojańską, migotały ogniki świeczek, oświetlając zaczytane twarze i poruszające się z ogromną szybkością usta samotnych „kujonów". Około godziny 1-szej w 2-giej kompanji zebrały się zaalarmowane drużyny przeciwpożarowe by ugasić pożar wzniecony iskrami „kowali".

Już blady świt wyjrzał z za Bagna a smok zapatrzony w koszary, ucieszony swem dziełem co miało się ciągnąć aż do konferencji bataljonowej, trwał jeszcze na posterunku. Nagle na szosie zrobił się ruch, rozbudzona natura ze śpiewem ptaków niosła radosną nowinę:

— Attaché Sudorynji przyjechał! — Rzeczywiście dostojny gość wkraczał w progi naszej Almae Matris, a w eter leciała burzliwa sfora mniej lub więcej skoordynowanych dźwięków — to chór śpiewał nieśmiertelne „Sztandary na Kremlu".

To dobiło smoka, raz jeszcze zionął na koszary zjadliwym oddechem i wrócił na stare m. p. by znowu skamienieć.

— — — — — — — — — — — —

Złote promienie komorowskiego słońca nie rozproszyły jeszcze zawiesin smoczego tchnienia.

Nad koszarami jakaś ręka pisała brzemienne grozą słowo.

— Repetycje! — próbowała odsylabizować grupka zaciekawionych podchorążych, zadzierając głowy do góry.

— Ależ uchowaj Boże! To tylko „repetytorja"! — tłumaczył pan Pułkownik, odbywający kompanijny przegląd rozkwitłych róż.

Wykładowcy po domowej odprawie, zaostrzyli bojowo czarne i kolorowe ołówki, opatrzyli notesy i krokiem pełnym powagi ruszyli na plutony.

Jedna kompanja zebrała się przy stole plastycznym, dokoła wykładowcy taktyki, kpt. dypl. Kijaka. Na ustach p. kpt. igrał lekki, sfinksowy uśmieszek, gdy długo i z premedytacją wyciągał z kieszeni notes.

Padły nazwiska, naniesiony lasek „rozjaśnił" położenie, delikwentom zaś od myślenia zrosiło się czoło potem. Zaczęło się—jednym płynęła wymowa miodnym potokiem, inni cyzelowali słowa do każdego dodając kilogramowy ciężarek. Wódz z jednakowym uśmieszkiem słuchał wszystkie strony, ograniczając się do potakiwania i zachęcając tem do dalszych zwierzeń. Zostało jeszcze dwóch do odpowiedzi. — Wódz sam zadał pytanie:

— Co wy robicie w tej sytuacji?

— Nic nie robię p. kapitanie!

— A wy?

— Ja myślę jeszcze — odpowiada niezdecydowany.

— Dobrze myślcie dalej — ripostuje taktyk i mikroskopijny, zaszyfrowany znaczek umieszcza pod nazwiskiem. Okazało się, że nikt nie miał racji — jak Allah jest jeden a Mahomet jego prorokiem, tak jedno istniało rozwiązanie, ale nie podchorążowie go podali.

W ciszę panującą na sali, gdzie słychać było jedynie skrzyp ołówka po papierze, potem szelest przewracanych kartek i niespokojne przyspieszone bicie serc, wdarły się wrzaskliwą gromadą słowa drugiej nieśmiertelnej piosenki.

Pluton II rozpoczynał lekcję gimnastyki i śpiewał o tej nieszczęsnej Kasi, co rano po rosie wyganiała w pole wołki dla przyjemności. Na środku sali, na jednej, na dwu to dla odmiany na czterech kończynach wyczyniali podchorążowie sztuki.

Pod ścianą zaś odbywał się egzamin z szlachetnej sztuki samoobrony, popularnie ...praniem zwanej. Jak w każdej, tak i w tej dziedzinie istniały kruczki, a program pytań zazębiał się nawet z ekonomją (sił), taktyką no i z filozofją (przeważnie scholastyczną).

Za ścianą zaś w małym pokoiku, gdzie dyski i tym podobne, prastare środki bojowe pospołu z maskami zdobiły półki, odbywała się jakby inkwizycyjna scena. W krzyżowym ogniu pytań plątał się podchorąży, pragnąc wykazać, że opanował w zupełności szermierkę.

— Proszę mi powiedzieć co to jest współczynnik wypadu? — zagrzmiał pod niskiem sklepieniem spiżowy głos instruktora. Podchorążemu włosy zjeżyły się na głowie, pytanie spadło nań obuchem. Opanowawszy jednak pierwsze wzruszenie, zaimprowizował bez zająknienia:

— Współczynnik wypadu jest to stosunek ruchu ciała do szybkości mierzonej w metrach na sekundę.

Głęboka bruzda zamyślenia zorała „myślące" czoło sierżanta.

— No tak — odrzekł — tak możnaby też powiedzieć, ale regulamin inaczej mówi — i zamknąwszy oczy jednym tchem wyrecytował instruktor magiczną formułkę.

Po daremnych próbach udowodnienia, że atak w pierwszym zamiarze poprzedza drugi zamiar, skapitulował groźny egzaminator i zadał ostatnie pytanie.

— Zademonstrujcie mi cięcie o niewiadomem zakończeniu!

Podchorąży uczuł, że ziemia umyka mu z pod nóg, lecz nagły przypływ energji podsunął rozpaczliwą myśl.

Przybrawszy na twarz wyraz okrutnej, acz udałej zaciekłości, wykonał partinando i ciął kilka razy w próżnię. Niewiadomo czy instruktorowi akcja podobała się czy nie, ale cztery razy kazał powtórzyć ruchy, pragnąc koniecznie wyłowić owo nieznane zakończenie.

Zniecierpliwiony wreszcie machnął ręką.

— Ma pan szóstkę, bo teorja poszła, ale jeszcze popołudniu musi podchorąży przychodzić?

— Co na seminarja?

— Nie na szermierkę — zakończył „Pan szef" rozmowę.

— — — — — — — — — — — —

Dopingowany okrzykami i groźbami służbowego pluton przebrał się w drelichy. Następną lekcją była dydaktyka. Kompanja wcześnie usadowiła się na miejscach, co lepsi bojowcy wybrali sobie doskonałe stanowiska, zapewniające kompletne ukrycie przed obserwacją wykładowcy. Rozparcelowana na tablicy dyspozycja głosiła, że dzisiaj dowiedzą się podchorążowie o tajemnicy zainteresowania słuchaczy pogadanką.

— „Interesse"... — rozpoczął wykład p. por. jak Rejent Mickiewiczowski, pomagajac sobie w lekcji wyrazistą mimiką i koncentrycznemi gestami.

Wiew monotonji musnął twarze obecnych, na końcu paru słuchaczy „pokumało" się bliżej z Morfeuszem. Przypomniał mi się wtedy obrazek

z jakiegoś czasopisma, przedstawiający chudego literata piszącego na dziurawem poddaszu książkę „Jak zdobyć bogactwo".

Obecny na wykładzie przełożony wyszedł w czasie godziny, a kiedy przechodził obok drzwi jednego gabinetu doleciały go z za ściany pełne patosu słowa:

— „Było to w czasie, kiedy forty padały jako liście z drzew a ludzkość dalej kultywowała to, czego nie nadgryzł à priori ząb czasu"...

Jeszcze przed kompanją z otwartego okna leciały za nim strzępy zdań.

— ...Zanim zeszli dowódcy na płaszczyznę wspólnego porozumienia, musieli znieść hiobowe cierpienia niepewności, mając do wyboru albo napoleońskie iście rozwiązanie, albo dziecinne, jak bajki Grimma projekty..

Dalsze słowa ukradł zefirek, pląsający z kurzem przed kompanją.

Oczom przygodnych widzów koszarowych przedstawił się nowy widok.

Od wejścia kompanji oderwały się 2 plutony podchorążych i co sił w nogach iście „miljanowskim" marszem pomknęły ku gabinetowi historji, by zająć tam jaknajdogodniejszą podstawę do słuchania wykładu.

P. Kapitan dypl. Migula po wstępnym ceremonjale odbioru meldunku i podpisywania, rozpoczął wykład.

Słuchacze o świecie zapomnieli, znużenie znikło, wykład sugerował, porywał, zapalał.

Mówca z wyżyn katedry, z wzrokiem utkwionym w przestrzeni, wykańczał Prusaków, Rosję, Austrję, stawał się Napoleonem, w proch zmiatał mocarstwa, z położenia środkowego, to znów Kannami bił przeciwnika.

— ...Ta pięść się zbierała do decydującego uderzenia...

Każdy mimowoli również zwinął prawicę, oczy zalśniły zapałem.

Chciałoby się tak słuchać ciągle, żyć melodją epokowych zwycięstw i z wodzami prowadzić rydwan zwycięstwa.

Ostatnią lekcją dnia ulubiona etyka — przemycona na wszelki wypadek lektura odpoczywa w stoliku, trudno nie uważać gdy ks. Kapelan mówi i wprowadza w atmosferę arystokracji duchowej, kiedy przed oczy hetmanów i rycerstwo przywodzi, by o miłości do wiary i kraju świadczyli.

Rady ks. kapelana są tak życiowe i cenne! Z za ciemnej oprawy rzęs promieniuje ku nam Jego jasne spojrzenie — On jest naszym przyjacielem, wyczuwany to nieomylnie.

— Jesteście wypadkową stulecia—cały dzień brzęczy nam w uszach ostatnie zdanie wykładu.

Przy obiedzie ołówek podchorążego skreślił jeden dzień. Repetycje w tygodniu minęły jak minął Neron, Różany i I Rocznik. Jutro wielka noc, śpimy aż do 8-emj...

Wieczorem małe dreszczyki emocji przebiegały skórę podchorążych, wywołując u niektórych gęsią wysypkę.

Porucznik NN. benjaminek szkolny, lecący strasznie na lokatę i opinję, urządzał na salach reprezentacyjne polowanie.

— On jest specem od kurzu — poszło obiegiem ostrzeżenie i niebezpieczeństwo w mig zażegnano. Zamiast za kurz musiał por. zapisać kilku lokatników za startą politurę na szafkach.

Noc zastała już sale uśpione, podchorążych pogrążonych w głębokim, zasłużonym śnie, tem mocniejszym, im cięższe były popołudniowe roboty w alejkach (roboty przeprowadzano systemem ludzio-łopat).

Jedynie na ostatniej niszy dziwny, przytłumiony jęk, świętokradzko przerywał ciszę koszarową. Pod oknem, z twarzą wykrzywioną bólem spał podchorąży, którego złośliwy los w ewidencyjnej księdze naznaczył Mickiewiczowską cyfrą 44.

Nic też dziwnego że biedak musiał teraz cierpieć za winy niepopełnione i męczyć się we śnie nie za siebie, lecz za całe dwa roczniki.

Nad wezgłowiem zjawiła mu się właśnie dziwna mara... Szybkie, ogólne rozpoznanie dało pozytywny rezultat.

— Historyk II-go Baonu—wyszeptał ze zgrozą.

— Tak to ja! Niech no podchorąży mi powie o której godzinie wstał Skrzynecki przed bitwą, i jaką nogę najpierw postawił na ziemi?

— A jakie znaczenie miał strumyk pod Wawrem, czy woda sięgała w nim do kostek, czy po kolana?

Zjawa stanowczo ze słownika swego słowo litość wykreśliła.

Nadejście oficera inspekcyjnego spłoszyła „metaplazmę" historyczną.

Na chwilę zaświecono światło, potem znów ciemność zaległa na niszach.

Wyswobodzoną, eteryczną duszę nieszczęsnego podchorążego wywlokły duchy ciemności na poligon, gdzie miało miejsce strzelanie z KM-ów.

Wszystko tu odbywało się jakoś inaczej, gorączkowo, jak w przyśpieszonym filmie.

Na najwyższym pagórku stał wódz postawny, o czerwonej kwadratowej twarzy, rzucający w przestrzeń energiczne rozkazy.

Czy to Skrzynecki, zmyliwszy czas i epokę wydaje rozkazy sztabowi gońców, telefonistów, instruktorów?

Czy też książe Konstanty, znudziwszy sobie spoczynek w ciemnej niszy grobowej, wyszedł na światło dzienne?

Nie, to kierownik strzelania KM. kpt. Wodecki. W ogniu czuje się jak w swoim żywiole. Grzmią zadymione karabiny, nad wrzawą wystrzałów górują głosy karabinowych, a nad wszystkiem panuje głos wodza.

Podchorążowie przechodzą samych siebie, jeden wielki krzyk leci ku niebu.

Rzadki gość — uśmiech krasi lice wodza. Oni zaś w sztuce krzyczenia doszli do zenitu, niech się schowa Wojski z swoim koncertem, to, co tu się słyszy, to już symfonja...

— Przed nami piaszczysta wiecha!!...

— Na 2 palce w prawo od paciorkowatego okopu łysa pała!!...

Byle głośniej, byle z całych płuc, w tem sens się mieści.

Nagrodą jest oświadczenie kierownika:

— Podchorążowie imponujecie mi swoim głosem!!!

Hałas ogłuszył naszego ducha, urwał się cerberom i na fali elektromagnetycznej odpłynął w rodzime Komorowskie strony.

W lasku koło cerkiewki żądny przerwy oddechowej po tylu wrażeniach opuścił się na puszysty mech.

Lecz nieodstępny pech i tu go odnalazł. Jedna z kompanji skończyła nocne ćwiczenia i po godzinnem omówieniu porucznika przed front występował kapitan.

— Do tego co pan porucznik powiedział nie mam zasadniczo nic do dadania, chciałbym tylko uwydatnić jeden fakt...

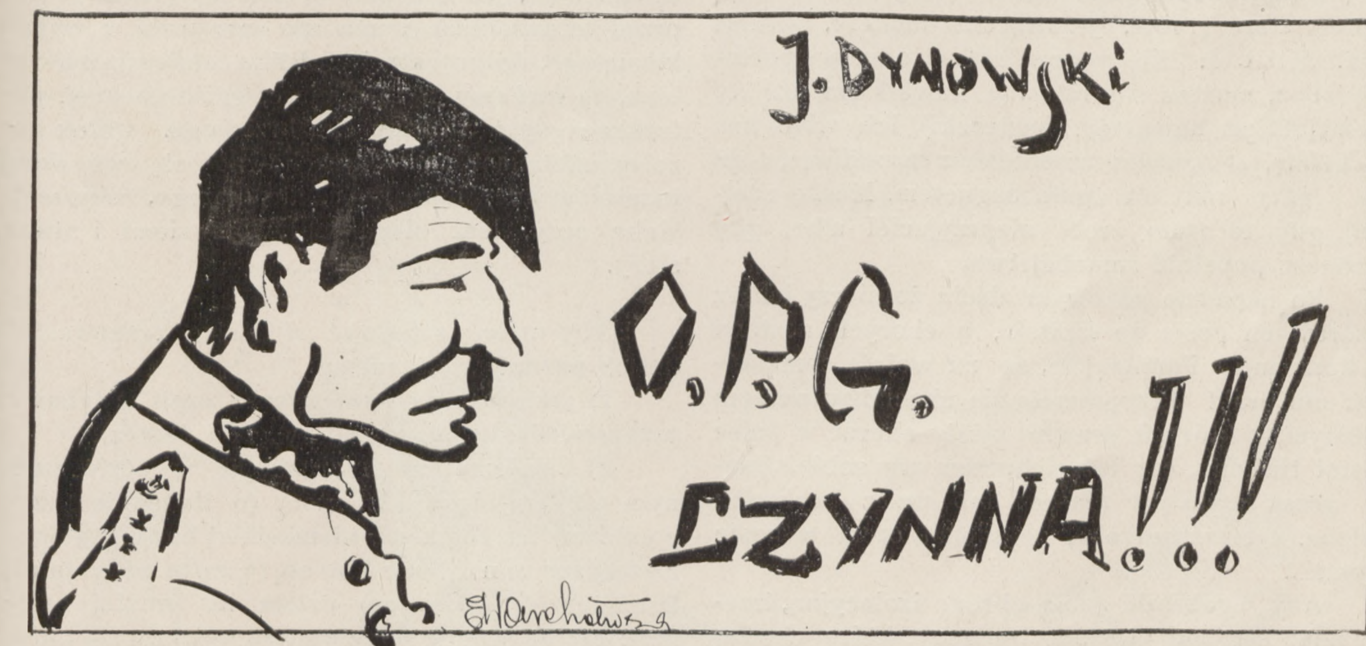
I w „krótkich, żołnierskich“ słowach przez godzinę następną przeprowadzał swój przewód myślowy.

Sił już nie stało astralnemu ciału podchorążego, moment materjalizacji zbliżał się z każdą sekundą. Kiedy słońce zajrzało przez okna, podchorąży Nr. 44 otworzył oczy i jęknął boleśnie.

Było już po pobudce, a przy łóżku z nic dobrego nie wróżącą miną stał oficer i z twarzy rzy młodzieńca przeniósł wzrok na wizytówkę szafkową.

— Spał po pobudce — głosił nazajutrz poufny biuletyn bataljonowy.

Podchorąży Nr. 44 miał rzeczywiście pecha.



Powstań! Baczność!

— Panie kapitanie, melduję posłusznie I pluton 3 kompanji do gazownictwa...

Dziękuję. Spocznij!

— „Poprawić siedzenia, otworzyć skrypty i uszy!

„Będziemy dzisiaj mówić o bojowych środkach chemicznych. Zaznaczam zgóry, że jest to temat nudny. Można nań mówić dzień, miesiąc i jeszcze tydzień i nic nie powiedzieć. Zacznijmy od początku".

„Dawno to już temu dawno bywało, kiedyto człowiek miał jeszcze sękacz zwany maczugą i kropił nim po łbach, gdy trzeba było, a inny człowiek, w namiocie, gdy chciał grzmotnąć wroga kamieniem, został zastrzelony z łuku, wtedy to podobno znalazł się człowiek mądry, który zesłał drugiemu żmiję, aby go ukąsiła, lecz ten będąc ostrożnym, wydobył żądło żmiji, posmarował nim bułkę i zaprosiwszy npla na ucztę, wykończył go.

Stworzonka śmiercionośne hodowali później i Niemcy w Rumunji, lecz wiadomo, że każdy Rumun to złodziej albo muzykant, więc łatwo wykrył niebezpieczeństwo.

W wojnie światowej po raz pierwszy użyto

gazów, które maszerowały sobie pod rękę z wiatrem, co zobaczywszy niejeden żołnierz, zaczął uciekać. Normalny jednak człowiek ucieknie przed wiatrem 500 m, a jeśli to będzie nawet Kusociński, to najwyżej jakieś 10 km, a potem usiądzie pod płaczącą wierzbą i sam zapłacze po raz ostatni. Inny żołnierz, poczciwy będzie krzyczał, krzyczał, zachrypnie i będzie jeszcze krzyczał, aż upadnie, wypluje płuca i wyciągnie kopytka, a żołnierz mniej poczciwy nałoży maskę i będzie pukał w łopatkę.

* * *

Aby się bronić przed gazami, trzeba mieć sprzęt, gdyż jest ogólnie przyjęte, że aby psa uderzyć, trzeba posiadać kij...

Obrona dzieli się na filtracyjną i izolacyjną. W pierwszej główną rolę gra maska, przechowywana w puszcze razem z tytoniem i drugiem śniadaniem. Maska ma szybki okularowe dlatego, żebyś nie wlazł w to, z czegobyś musiał później buty czyścić i taśmy elastyczne, abyś pluskiewkami maski nie potrzebował przypinać do twarzy, pozatem ma pochłaniacz, działający jak sitko, które puszcza mleko, zatrzymując włosy z krowiego ogona, stare grabie, przetrącone monety, resztki pantofli i t. d. Kiedy pochłaniacz odmówi posłuszeństwa, możesz się ratować kawałkiem szmaty (z wyjątkiem damskiej chusteczki), lub wbić nos w ziemię, a napewno przeczekasz szczęśliwie, o ile cię z góry nikt nie żgnie bagnetem. Maskę zdejmuj, gdy to samo zrobi nieprzyjaciel albo, gdy zechcesz popełnić samobójstwo.

Po napadzie gazowym zbada żołnierzy lekarz i zdrowych pośle do szpitala, a chorych zostawi w kompanji. Pamiętajcie, że na wojnie symulantów nie brak! Przypatrzcie się chociażby naszym woźnym, z których prawie każdy akurat w palec został trafiony, czy też cichaczem sam sobie strzelił przez zwinięty płaszcz lub przez bochenek chleba, a teraz narzeka, że niema czem w nosie dłubać...

Aby wyobrazić sobie obronę izolacyjną, trzeba mieć ser pod kloszem i muchy, które chodzą po nim, kłaniają się i obserwują, nie szkodząc serowi. Ten ser to człowiek, muchy to gazy, a klosz to aparat Fenzego, których mamy dużo, lecz w szkole jest tylko jeden stary dziad, nieprzyjęty do Muzeum Wojsk Polskich, bo już nawet i tam takie monstra mają. Powietrze tu wchodzi do worka tlenowego, zrobionego ze starej harmonji, a stąd do rury, która wygląda jak po kuracji odtłuszczającej, podobna do suchej węgierskiej kiełbasy i do tego zardzewiała tak, że boję się ją napełnić, gdyż i tak już mam mało zębów. Do kompletu są jeszcze stare okulary...

* * *

Gazy dzielą się na:

a) duszące, o któryuh każdy słyszał, że duszą nie mając sznurka ani pazurów, jak sąsiad dusi sąsiada, z którym ma porachunki stare od lat wielu!

b) wysoko wiszące, które nas nie obchodzą, gdyż pilnujemy naszego „padołu płaczu". Pozatem są mieszaniny samozapalne, do których należy słynna „bomba machabeuszowska". Przypuśćmy, że spadnie ona na ulicę w Ostrowi. Żydkowie, lud odważny, potomkowie Dawidów, biorą chałaty lub wodę i zalewają pożar, skutkiem czego detonuje sód i ukazują się języki ognia jak na „Zielone Święta", gdy Duch zstąpił na apostołów i na głowach im się paliło, niewiadomo co, bo wszyscy mieli łysiny"...

Jest jeszcze jeden gaz, którym skrapia się skrzyżowania dróg, tak jak skrapia się ulice w każdem mieście z wyjątkiem Ostrowi, aby szanownym przechodniom nie psuć narządów oddechowych.

...Grzmotnijcie ojcze w łokieć sąsiada, bo śpi!

„Broń chemiczna może nam sprawić niespodziankę tak, jak ten pocisk, który wyrżnie 30 cm przed człowiekiem i nic mu nie zrobi, z wyjątkiem tego, że go zatruje. Jeśli celujemy z karabina, to trafiamy w to miejsce, gdzie chcemy, naturalnie gdy nie mamy oka krzywego. Obłok gazowy natomiast inaczej zachowuje się we dnie, inaczej w nocy i we mgle, nie dlatego, żeby miał słabe oczy, lecz ulega wpływom ziemi i atmosfery.

* * *

Aby umieć stosować w walce „gazowanie" trzeba poznać wiele rzeczy:

1) meteorologję synoptyczną, czyli ordynarne przepowiadanie pogody, (gdy pada deszcz),

2) Ciśnienie na hydroskopie z odtłuszczonym włosem blondynki, który (o ile sobie przypominam) na pogodę z niemieckiej budki wyciąga mężczyznę a na deser kobietę (a może odwrotnie?) Drań ten (tyle co włos) działa na prostej zasadzie: czując wilgoć w powietrzu wydłuża się i prostuje, co widząc „łazy", wyjeżdżają do Zakopanego, a dziewczynka, aby zachować loczki, kryje włoski pod beret,

3) zjawiska elektryczne, które znacie całkowicie, (gdyż piorun już niejednego trafił),

4) Co to są zjawiska optyczne nie powiem wam, bo sam dokładnie nie wiem,

Różę wiatrów podobną do naszych w S. P. P., bo nie pachnie... Anglik, który jest jako żyd sprytny, twierdzi, że jest wiatrów 12. Znać trzeba:

$Ł_0$, gdy dym idzie prosto w górę,

$Ł_1$, który podnosi wysoko sukienki i zrzuca kapelusze,

$Ł_{12}$, który wyrywa drzewa z korzeniami i rzuca ludźmi.

Wiatry te razem z pogodą podaje Pim na mapie, na której wszystko, nawet Afryka Północna i Jerozolima wygląda tak, jakby to kreślił bezrobotny kartograf w przystępie dobrego humoru. A jak sobie człek to wszystko przeczyta, to bierze kalosze i parasol niezależnie od pogody, a pilot prowadzi samolot tak nisko, że co pluniesz, to trafisz go w ogon".

* * *

Skończył wreszcie gadać. Zostało jeszcze 15 minut. Wszyscy spoglądają po sobie. Każdy obawia się, aby za małe 5 nie poczuł zapachu „zgniłego siana"... albo co gorsze nie dostał „pięścią między oczy".

Podchorąży X: Co to jest?, to mówiąc pokazał flaszeczkę maleńką ale groźną.

Na odpowiedź podchorążego zerwał się nagle. „Co wy gadacie? Taki gaz samego św. Piotra otruje, a wy mówicie, że on jest lżejszy od powietrza?!...

— „Widzę, że z wami djabełby się nie dogadał. No, a zostaliście otruty kwasem pruskim, co zrobicie? — Ćwiczenia oddechowe? Co?, może jeszcze z instruktorem w. f.? Siadajcie, macie maleńką czwórkę z dwoma minusami i kreseczką jedną" .. „A wy ojcze narysujcie pocisk gazowo - trujący. Jednak was ostrzegam, że kal. 155 jest bardzo duży i jak huknie, to włosy same szybko wstają i zrzucają hełm z głowy, a wielu ludzi ucieka, tracąc głowy czyli gubiąc je. Co? Gaz, który w tym pocisku, namalowaliście nikomubu nic nie zrobił i byłby tak długo kałużą, dopókiby się w nim ryby nie wylęgły. Macie tu skrzynię ze spółdzielni, rynnę i piasek i zróbcie mi pochłaniacz ziemny... Co nie umiecie? Gdzieżeście nos wsadzili? Poprawcie się, jak źle stoicie. To już drugi raz chcecie trzy dostać? Teraz to gadacie? Co my się tu będziemy kłócić, jesteście stękała i drugi raz trójki nie warto wam dawać. Macie maleńką czwórkę...

Podchorąży Grynszpan: Co nazywamy dymami?"

— Zawiesiny — panie kapitanie — osłaniające ruch.

— Zawiesiny? Kto je powiesił? Powiedzcie po ludzku ojcze, że są to ciała stałe.

— A jak będziecie odkażać kożuch z iperytu?

— Gotować — panie kapitanie.

No to djabli go wezmą. Powinniście go wyrzucić na sosnę, codziennie bić go kijem i czekać póki go nie ukradną.

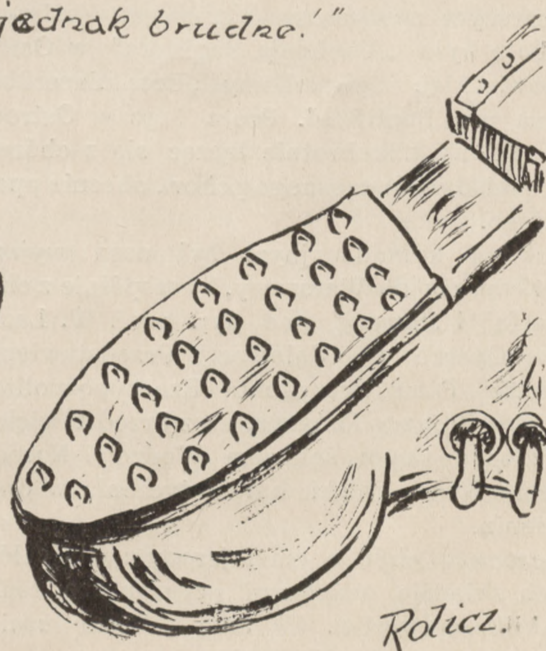
A teraz jeszcze jedno pytanie: Powiedzcie ojcze jak się nazywacie?

Podchorąży Grynszpan.

Siadajcie, macie 5.

Pozostały 2 minuty na wolne wnioski. Kto się o co zapyta? Nikt? Wobec tego, począwszy od ostatniego wychodzić".





Wieczne utrapienie młodszego rocznika...

KRONIKA CHÓRU I BAONU

Nietylko Mars — bóg wojny — ma w Szkole swoje zaszczytne miejsce, ale i Apollo — bóg sztuki.

Jak zwykle tak i w roku szkolnym 1932/33 w pierwszych dniach listopada został zorganizowany chór II Baonu. Pełni zapału śpiewaliśmy początkowo naprzemian z I Baonem w kościele, potem już aż do końca roku prawie co niedzielę. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Przy tradycyjnym opłatku odśpiewaliśmy kilka kolend, podczas gdy nasi przedstawiciele składali życzenia Panu Komendantowi i Panom Oficerom.

życzenia naszemu Dowódcy II Baonu Panu Majorowi Korkiewiczowi, który dla chóru był więcej protektorem niż przełożonym.

Nadszedł dzień promocji starszego rocznika. Chór nasz odśpiewał na Mszy św. „Boga Rodzica" Żukowskiego — słowa J. Słowackiego, potem podczas promocji i rozdawania dyplomów i nagród „Gaude Mater", „Warszawiankę" i wiele innych. Potem ostatnia Msza św. na zakończenie roku szkolnego, na której śpiewamy po raz ostatni przed urlopem. Potem przeniesienie na starszy rocznik i... urlop.



Pierwszym naszym samodzielnym występem poza Szkołą była „Akademja Papieska" w Ostrowi Mazowieckiej. Śpiewaliśmy „Ecce Sacerdos" i „Oremus pro Pontifice". Prócz tego w Ostrowi występowaliśmy kilkakrotnie łącząc się z chórem I Baonu pod dyr. ówczesnego pchor., obecnie ppor. Żółcińskiego.

Punktem kulminacyjnym był nasz wyjazd w dniu 19 marca do Warszawy, by wspólnie z chórami „Harfą" i „Surmą" pod dyr. prof. W. Lachmana w Operze na Galowem Przedstawieniu w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Dostojników Naszego Państwa, oraz Przedstawicieli Państw, złożyć swym śpiewem Wodzowi Narodu Panu Marszałkowi Polski hołd i życzenia w dniu Jego Imienin.

W czerwcu chór o zmniejszonym dla celów radjowych składzie odśpiewał przez nasze radjo Szkoły kilka utworów. W audycji brał udział pchor. Stryszek solo — fortepian.

Mile wspominamy chwilę, kiedy składaliśmy

Rok szkolny 1933/34.

Zaraz na wstępie bierzemy udział w otwarciu roku szkolnego. Potem znowu płynęły dni szare. Aż nagle wieść! Jedziemy do Warszawy na Święto Podchorążych.

Rano dnia 29 listopada w katedrze św. Jana na Mszy św. płynie potężna „Bogu Rodzica" — unisono, potem kilka innych. Wieczorem w sali Rady Miejskiej w obecności Pana Generała Jarnuszkiewicza Dowódcy O. K. I, Panów Komendantów Szkół Podchorążych, wielu wyższych wojskowych i licznie zebranych gości odśpiewaliśmy szereg pieśni. Zaszumiały sztandary z pod sufitu Kremla, a potem zagrzmiały huczne i długo niemilknące oklaski i wołania o „bis". Znowu śpiew i gratulacje... Dzień ten na długo pozostanie nam w pamięci. Dzień to triumfu i radości.

Śpiewaliśmy również przy wręczaniu Odznak Honorowych i Ksiąg Pamiątkowych Szkoły Dostojnym Gościom: Panu Generałowi Hubickiemu, tego czasu Ministrowi Pracy i Opieki Społecznej, Panu

Generałowi Piskorowi, Inspektorowi Armji, Jego Ekscelencji Księdzu Biskupowi Polowemu Gawlinie oraz Panom Attachès Szwecji, Holandji i Estonji.

Nie można pominąć i naszego balu w Warszawie (3 lutego). Podczas przerwy odśpiewaliśmy również kilka utworów. Następnie rano na Mszy św. śpiewaliśmy w kościele św. Aleksandra.

Dnia 18 marca w wigilję Imienin Pana Marszałka w Ostrowi Mazowieckiej śpiewamy „Wiązankę pieśni żołnierskich" i razem z orkiestrą S.P.P. pod dyr. por. Zakrzewskiego „Salvator Poloniae". 19-go wieczorem na akademji śpiewamy „Pieśni żołnierskie", „Czajki" i „Na bój".

Nadszedł dzień Imienin naszego Dowódcy I-go Baonu Pana Majora Miljana. Życzenia krótkie, żołnierskie. Chór bierze w nich udział w imieniu całego zebranego baonu śpiewa swemu Dowódcy: „Niech żyje".

Obecnie chór I Baonu liczy 81 członków. Śpiewaliśmy około 40 utworów świeckich i około 30 kościelnych.

Podczas dwuletniej pracy cieszyliśmy się szczególną sympatją i opieką naszego Pana Komendanta. Mamy nadzieję, że zadanie nasze spełniliśmy.

Zawadzki Henryk



Jest rzeczą powszechnie znaną, że we wszystkich przełomowych chwilach życia nawiedza człowieka pewnego rodzaju jasnowidzenie, jakby nagłe olśnienie, stawiające w ostrem i wyraźnem świetle wszystko minione a nieraz i przyszłe. Ma to zwykle miejsce, gdy dany jegomość szykuje się do opuszczenia tego znienawidzonego padołu łez i zgrzytania zębów i gdy nieubłagane Parki już się zbliżają ku lince jego żywota.

Zupełnie to samo przeżyłem niedawno ja, szykując, się narazie do opuszczenia tylko Komorowskiego Grodu. W tej krytycznej, bądź co bądź dla mnie chwili odkryłem nagle w sobie rzecz niebywałej wartości i wagi, niedającą się niczem zastąpić — doświadczenie... Skonstatowałem naraz, że jestem szalenie doświadczony, niczem ów stary tygrys Clemenceau, pomimo że istnieje pomiędzy nami pewna nieznaczna różnica wieku.

Doświadczenie jest skarbem, o tem nikt chyba nie wątpi. Ponieważ jednak jestem już z natury altruistą i obce są mi uczucia skąpstwa i zazdrości, chętnie więc podzielę się tym skarbem z bliźnimi, a w szczególności z moimi młodszymi kolegami, których los głęboko mi leży w sercu, a których nieubłagane fatum zmusza przez cały rok jeszcze do oglądania wzgórza Podchorążych i Suchego Sadku.

Gwoli więc ulżenia ich losowi, dzielę się z nimi tem, com zebrał i uciułał podczas tej dwuletniej, ciernistej wędrówki.

Oto otwieram na te kilka ostatnich dni Biuro Praktycznych Porad (w skrócie B. P. P.), udzielające zupełnie gratis i bezinteresownie rad, wskazań i wskazówek ze wszystkich możliwych działów i dziedzin życia...

A więc proszę pytać!...

— — — — — — — —

Jak zostać prymusem? Ależ nic łatwiejszego, niema bardziej prostej rzeczy. Zaraz udzielę najniezbędniejszych rad i wskazówek, które pozwolą Ci nim być.

Na początek jedno niewielkie wyjaśnienie.

Niech to Cię nie dziwi, że pojęcia „prymus" używam w liczbie mnogiej, co stwarza pozory, jakobym wpadał w ostrą kolizję z logiką, według której prawideł wymienione powyżej indywiduum może być tylko jedno. Od czegóż istnieje bowiem powiedzonko, że niema reguły bez wyjątków. Proszę tylko słuchać uważnie.

Mamy jednego prymusa bataljonowego, czterech kompanijnych, dwunastu plutonowych i trzydziestu sześciu prymusów drużynowych. Nie wliczam w to już sekcyj granatkików a pomimo to i tak mamy ich ni mniej ni więcej tylko 53-ch.

Czyli jak bataljon liczy, dajmy na to czterystu chłopa, to co siódmy lub najwyżej co ósmy może zostać prymusem. Naturalnie wychodzę z tego założenia, że każdemu jest obojętne, czy być prymusem bataljonu, czy też drużyny. To przecież nie gra roli, prawda?

Otóż więc tym wszystkim, którzy z jakichkolwiek przyczyn, czy pobudek zapałali nagle chęcią zostania prymusem udzielę już na wstępie bardzo ważnej rady: szukajcie sobie „niańki" i to długo nie zwlekajcie, zaraz na początku roku. Bez niej bowiem choćbyś wkuwał dzień i noc, choćbyś zgłębił wszystkie tajniki wiedzy wojskowej, to jednak prędzej zapadnie się wzgórze Podchorążych, prędzej pożre smok Krakusa, prędzej ja wywiozę z Komorowa 100 zł. w portfelu, niż ty zostaniesz prymusem. Wierz mi.

A mając taką, kochającą Cię „niańkę" już wszystko pójdzie ci samo, jak z płatka. Ona Cię poprowadzi przez groźny labirynt repetycyj, ona Cię uchroni od plagi raportów, ona wyciągnie Cię za głowę, gdy potkniesz się na którymś z przedmiotów scientiae militaris, ona będzie kłóciła się z wykładowcami o podwyższenie Ci not.

Jednem słowem kochana, nieoceniona „niania", Twój prawdziwy duch opiekuńczy...

Nieraz może się zdarzyć, że jakiś przedmiot djabelnie ciężko Ci idzie, tak iż pomimo solidnego „dziobania" wątpisz czy zdołasz wspiąć się wyżej, jak ponad szarą i niepozorną piątczynę.

A piątka, jakkolwiek dla wielu wykładowców jest „dobrym" stopniem, to w każdym razie twoje prymusostwo napewno uczyni wielce problematycznem, stawiając je zarazem pod wyniosłym znakiem zapytania.

Wiem o tem z własnego bolesnego doświadczenia. W takich więc chwilach rozterki wewnętrznej, w chwilach zaciętej potyczki, jaką toczą w tobie dwa sprzeczne uczucia: nadziei i zwątpienia, zjawi się twój duch opiekuńczy—„niańka". I radzę Ci z całego serca nie zrób zdziwionej miny, gdy ona powie Ci bez żadnych dłuższych wstępów: „dzisiaj odpowiadacie—no dajmy na to—z artylerji i musicie dostać co najmniej dziewiątkę".

Powtarzam, żadnego zdumienia, a niech Cię Allah strzeże przed niepewną miną; lepiej będzie powtórzyć w takim wypadku, jak goniec swój meldunek a więc: „dzisiaj będę odpowiadał z artylerji i mam dostać dziewiątkę!". Wówczas „niania" może powiedzieć kilkakrotnie jakby w zamyśleniu: „tak, no dobrze" i może jeszcze dodać: „a jeżeli wykładowca spyta was, na ile umiecie, to mówcie, że umiecie na dziesięć, zgadzacie się jednak na dziewięć bez pytania"...

Teraz już nie potrzebujesz powtarzać wszystkiego, wystarczy tylko zwykłe: „tak jest".

Zaznaczam, że jest to schemat bardzo ścisły, od którego nie wolno Ci ani na pół kroku odstąpić.

Po takiem więc nastawieniu duchowem możesz już śmiało iść na repetycje z z samej czarnej magji a nietylko z artylerji, już Ci nic nie grozi, a jeżeli wykładowca da się kiwnąć i rzeczywiście postawi Ci dziewiątkę, wówczas nawet Ty sam uwierzysz, iż w zupełności Ci się ona należy.

I wtedy będziesz bracie pysznił się, będziesz paradował otoczony aureolą swej wielkości, nimbem niepospolitych uzdolnień, „niania" będzie dumna z Ciebie, będzie powtarzała z pewną niedbałą nonszalancją: mój prymus...

Jedni będą Cię w skrytości ducha podziwiali, a wszyscy będą Ci zazdrościli. Ty zaś oszołomiony tak niespodziewanym sukcesem będziesz początkowo zakłopotany i onieśmielony, później jednak będziesz przyjmował wszystko tak, jak przyjmujesz należny ci żołd, albowiem pod wpływem zbiorowej sugestji zajdzie w Tobie ta cudowna zmiana, iż sam się uznasz za ptaka o wysokim locie, za istotę, której pierś jest skrojona na miarę Fidjasza.

— No dobrze — powiesz mi na to — ale jak sobie skaptować tę „nianię", jak ją zdobyć, jest nas przecież tylu a ona tylko jedna.

W tem właśnię sęk, mój kochany, albowiem gdybym ja sam wiedział, to dzisiaj moja lokata nie graniczyłaby tak bezpośrednio z patefonem...

— — — — — — — —

Chcesz być naczelnym redaktorem? Uśmiecha Ci się to stanowisko? Nęci Cię częsta przepustka w dzień powszedni do Warszawy?

Proszę bardzo. Służę chętnie radą i wskazówkami.

A, jeszcze jedno... Czy masz mocne nerwy? Zdaje się, że tak? To jeszcze mało... Napewno mój synu.. Bo w przeciwnym razie...

Na początek ten ogólny szkic, który pozwoli Ci bliżej poznać tę funkcję, wniknąć głębiej w samą jej istotę.

Dziwne i wyjątkowe stanowisko zajmuje taki gryzipiórek. Jest to zazwyczaj podchorąży, jak stu innych, jedynie z tą różnicą, że bazgrze on nietylko listy miłosne, lecz również i artykuły na najrozmaitsze tematy, poczynając od ogólno ludzkich a kończąc na traktujących o kaszy, rozkoszy ćwiczeń zimowych, artylerji i t. p. Pozatem pisze nowele i feljetony. Prócz tego zaś jak dawny Rzymianin swą togą, tak on drapuje się mianem naczelnego redaktora.

Jego zadania i obowiązki? A no proste i bardzo łatwe. Spędzać wszystkie godziny pozasłużbowe w lokalu, zwiącym się szumnie Redakc-



Nie wymkniesz się nam...



Tam gdzie zawodzą smętnie pociski...
Fot. Auterhoff



Z poligonu... *Fot, Grosicki*



Kładka zębata.,. *Fot. Auterhoff*

Na lekcji historji
Fot. Auterhoff



ją „Rzeczpospolitej Podchorążackiej", udawać, że jest się zawsze czemś zaabsorbowanym, czemś, co wiąże się ściśle z pismem, pojechać od czasu do czasu do Warszawy, kiedy reszta kompanji wybiera się na jakąś „wycieczkę krajoznawczą" lub na ćwiczenia nocne.

To byłoby mniej więcej wszystko. Aha, jeszcze jedno: wydawać cztery lub pięć razy do roku numer pisma. Prawda, że bardzo proste?

— Po co mieć nerwy jak postronki?... Zaraz przyjdziemy i do tego.

W chwili obejmowania swej władzy jesteś szarym i nieznanym pionkiem, niczem się nie różniącym od innych.

Dziesięciu na czterystu wie, że istnieje t. zw. redaktor, pięciu zna cię osobiście.

Dopiero, jak wypracowany w pocie czoła numer wyjdzie z pod prasy, wtedy akcje Twoje na sławę i popularność poczynają nagle pędzić w górę, rosnąc niemal w oczach.

Stajesz się odrazu znanym, wzbudzasz powszechne zainteresowanie i ciekawość. Imię Twoje będzie na wszystkich ustach, do uszu Twoich będą dochodzić urywki zdań i wyjątki, cytowane z twych artykułów. Jednem słowem stoisz u zenitu powodzenia. Lecz co się dzieje ze słońcem, gdy osiągnie już swój punkt kulminacyjny?

Właśnie... To samo zupełnie dzieje się z Twem dotychczasowem powodzeniem, z Twoją sławą i popularnością. Następuje powolny zmierzch, blednie stopniowo Twoja gwiazda.

Już drugi numer nie budzi takiego entuzjazmu i zainteresowania. Pojawienie się trzeciego, zaledwie kilku przyjmie do wiadomości, o pozostałych wolę już nie mówić.

Lecz nie na tem koniec Twojego utrapienia, o nie! Jest to dopiero wstęp, preludjum, jakby przygrywka do właściwej tragedji. Zbliża się, bowiem niczem groźna nawała kawalerji Budiennego, nowa serja klęsk i utrapień, które odtąd będą Ci towarzyszyły krok w krok, spadając na Twą nieszczęsną głowę raz silniej, raz znów słabiej.

Jest to ostra, zjadliwa, nieubłagana krytyka, reprezentowana przez całe falangi tych, co to język wojskowy darzy wielce wymownem mianem krzykaczy. Pierwszy ich występ cechują jak najdalej idące ostrożności, badanie gruntu — stara metoda wszelkich początkowych wystąpień. Jednak z biegiem czasu coraz śmielej, coraz głośniej aż w końcu hejże na Soplicę!

Ilość ich rośnie wprost proporcjonalnie do kolejności wydawanych numerów.

Musisz, kochanie, posiąść umiejętność dzielenia ich na kilka grup, segregowania na poszczególne działy i każdy z nich inaczej traktować, każdemu inną przeciwstawiać taktykę. Tutaj nie wolno Ci mieć żadnego szablonu, do niczego to bowiem nie doprowadzi. Tutaj niezbędną jest zimna logika i to, co się zwie znajomością ludzkich przywar i słabostek.

Całą tę rozkrzyczaną czeredę dałoby się podzielić na trzy zasadnicze grupy.

Pierwsza to ci, których wiersze, ody, hymny i tym podobne płody poetyckiego natchnienia, pomimo najlepszych chęci i najbardziej pobłażliwej oceny znalazły się... w koszu redakcyjnym. Nie twierdzę, żeby to była grupa najliczniejsza ale za to jest najbardziej nieprzejednana. Tu już nie może być mowy o żadnych kompromisach lecz walka i to nie na życie lecz na śmierć. Nikomu i niczemu nie przepuszczą, wszystko i wszystkich zwalą w czambuł. Tak to mści się urażona ambicja i duma.

Druga kategorja, najliczniejsza zresztą to tacy, których Muza śpi snem podchorążego po nocnych ćwiczeniach, a jeżeli czasami otworzy jedno oko i szepnie któremu coś do ucha, to jest to tak ubogiej treści i mizernej formy, że nie sposób dzielić się tem z bliźnimi. Są to ci, których fantazja zdolna jest spłodzić tylko list do rodziców, kiedy żołd nie jest w stanie pokryć wydatków lub do narzeczonej, o ile taką posiada. Niemniej jednak są oni groźnymi krytykami i będziesz musiał z nimi poważnie się liczyć.

— Sami nie piszą? — powiadasz — dzieciak jesteś i nic więcej... Pocóż ma krytyk pisać? Niech inni to robią, jego specjalnością jest przecież sama krytyka...

I wreszcie trzecia grupa, najmniej niebezpieczna, to ci, którzy uprawiają krytykę tak, jak się uprawia sport, to znaczy dla emocji i przyjemności, niekiedy z nudów i dla zabicia czasu.

Kiedy więc cały ten tłum zwali Ci się na głowę, gdy Cię przyprze do muru, wówczas bracie masz pole do popisu, wtedy masz doskonałą sposobność pokazać, żeś jest mężczyzną a nie „mdłą białogłową".

Nie wolno Ci się przejąć, nie wolno Ci okazać, że Cię to obchodzi choć w minimalnym stopniu, gdyż wówczas niema już dla ciebie ratunku, zginąłeś jak się patrzy. Takie bowiem choćby najbardziej chwilowe okazanie słabości, nieznaczny jej przebłysk choćby na ułamek sekundy podnieci Twych prześladowców do tem gwałtowniejszych ataków. A wówczas nie ręczę za Twoją równowagę...

Przeciwnie — musisz trzymać się prosto, chodzić z hardo podniesioną głową, nic sobie nie robić z tej wrzawy lub dbać o nią tyle, co o brzęczenie natrętnej muchy.

Jest jeszcze inna, niemniej skuteczna broń. Nieraz zdarzy się, że któryś z krytyków, lubiący

potykać się z podniesioną przyłbicą przyjdzie wprost do Ciebie z pewnemi zarzutami i pretensjami. Co wtedy masz zrobić? Jak postąpić w tym wypadku? Otóż jest tutaj tylko jedno i jedyne wyjście. Wysłuchać spokojnie i uważnie wszystkich zarzutów, zgadzać się pozornie z nimi, a uśpiwszy tem czujność przeciwnika uderzyć weń znienacka propozycją napisania czegoś do najbliższego numeru. Skutek będzie piorunujący, ręcze za to.

Taki arbiter krytyki albo wyniesie się chyłkiem bez słowa, albo wycofa zasłoniwszy się repetycjami. W każdym razie da Ci spokój i nie zobaczysz go więcej na oczy.

Będą chwile, kiedy całe niebo i ziemia zwali się na ciebie, kiedy wszyscy sprzysięgną się przeciwko Tobie, kiedy twój własny administrator z Twym rodzonym zastępcą spikną się na twe redaktorskie kompetencje i będą Cię usiłowali wystrychnąć na dudka. Nic to, przetrwasz wszystko, wszystkie burze i zamachy i będziesz zwycięzcą.

Największe urwanie głowy ‚będziesz miał ze skleceniem numeru. Czas edycji pisma, to czas próby dla ciebie.

Numer musi być, a więc i materjał też, lecz to „musi" będzie istniało tylko dla Ciebie, pozatem nikogo to nie dotyczy. Jak można od kogoś czegoś żądać, gdy są repetycje za pasem?... A więc co robić? Skąd wziąć ten nieszczęsny materjał? Bardzo prosto. Jako naczelny i odpowiedzialny redaktor zamkniesz się sobie w swym lokalu redakcyjnym i będziesz tam tkwił tak długo, aż materjał się znajdzie.

Co się stało?... dokąd pędzisz warjacie?... Zaczekaj!... Jeszcze nie skończyłem... Ha, ha, uciekł... Może i dobrze zrobił...

— — — — — — — —

Instruowanie w II Baonie? Owszem... Tak... Będziesz chodził bez względu na to czy chcesz, czy nie...

Czy należy do przyjemności?... Hm, jakby to powiedzieć... Nie można przecież wszystkiego rozpatrywać pod kątem widzenia przyjemności... Są rzeczy i czynności, które nie mają nic wspólnego z przyjemnością a pomimo to wykonuje się je. Zresztą jak dla kogo... Dla natur bogatych, pełnych sił żywotnych stanowi to pewnego rodzaju emocję. Zupełnie tak samo chadzali nasi przodkowie z oszczepem w ręku na niedźwiedzia, podobnie jak dziś grywają w brydża lub ciągną dolarówkę...

Cel? Raczej powiedziałbym, że dwa cele... Jeden oficjalny, głoszący patetycznie o praktycznym upuście nagromadzonych zasobów wiedzy, drugi o znacznie mniejszym zakresie, stawiający sobie za zadanie zdobycie dobrej noty...

Ja osobiście jestem zwolennikiem tego ostatniego i zawsze mu hołdowałem... Co się tyczy Ciebie, to masz przecież wolną i nieprzymuszoną wolę. Ostrzegam jednak, że oba te cele nie pokrywają się wzajemnie, jakby się zdawało napozór. Nieraz może się zdarzyć, że będziesz miał głowę naładowaną jak akumulator, pomimo to jednak rezultat twego występu, jako instruktora będzie więcej niż skromny.

Powody tego? Zaraz Ci wyłożę. Niech to Ci będzie wskazówką, że solidne przygotowanie z regulaminu nie zawsze przechyli szalę na twoją stronę. Odgrywają w tem kolosalną rolę takie czynniki jak pewna, choćby nawet minimalna doza szczęścia i gruntowna znajomość ludzkiej psyche. Nie wspominam już o takich, jak spryt, silnie rozwinięta intuicja i okoliczności...

Kwestjonujesz konieczność psychologji? Otóż wiedz, że jest ona niezbędną i to psychologja najnowsza, praktyczna a nie ta, która się obraca w dziedzinie abstrakcji.

Jeżeli dotąd ten dział wiedzy leży w Tobie z tych, czy innych powodów odłogiem, to radzę Ci z całego serca przysiąść fałdów i gruntownie go opanować.

Musisz posiąść umiejętność segregowania twych bliźnich na pierwszy rzut oka na asteników, pykników i atletów a tem samem musisz znać usposobienie właściwe każdemu z wymienionych typów. Nieraz może się zdarzyć, że będzie to sprawiało Ci jako początkującemu pewną trudność, wówczas radzę Ci uciec się do pomocy antropologji i ze wzrostu, budowy czaszki, koloru oczu i włosów wnioskować o danym jegomościu.

Z chwilą kiedy to posiądziesz masz zapewnione pięćdziesiąt procent powodzenia. Drugie piećdziesiąt przyniesie ci szczęście i okoliczności, jeżeli naturalnie nie jesteś pechowcem. Jeżeli jednak masz w sobie pewne pokrewieństwo ze Szwejkiem, to już trochę gorzej ale i tak niema powodu do zmartwienia, gdyż piątczynę zawsze jakoś tam zdobędziesz... Jednem słowem wszystko w porządku...

Przypuśćmy więc, że posiadłeś to wszystko i jesteś tak przygotowany do instruowania jak Napoleon do bitwy po ściągnięciu ostatniego bataljonu. Kroczysz więc pierwszego lepszego popołudnia na odprawę. Uwaga! Odprawa taka jest niemal wszystkiem... Reszta jutro może być już zbędna. A wiec po przyjściu, zameldowaniu się i tym podobnym etykietalnym formalnościom wytrzeszczaj szeroko oczy, otwieraj uszy i wszystko skrupulatnie konotuj w pamięci. Nic nie powinno ujść twojego wzroku... Niewolno Ci przegapić najdrobniejszego szczegółu...

Zaraz na wstępie staraj się wysondować tego, który ma być jutro kierownikiem ćwiczeń. Będzie to z zwyczaj ten, który najwięcej mówi na odprawie, czasami nawet wrzeszczy, gestykuluje żywo, wymachując rękami, wskazuje w regulaminie punkty do przeczytania i t. p. i t. p.

To napewno on... Tutaj będziesz miał sposobność popisania się swą wiedzą z dziedziny psychologji i antropologji. Oczywiście popis ten będzie miał miejsce jedynie przed samym sobą. Broń Boże, żeby o tem dowiedział się ktoś drugi, a niech cię wszyscy Święci mają w swej opiece, gdyby odkrył to sam objekt twoich eksperymentów. Wtedy nieunikniona klapa, wszystko djabli wezmą jak się patrzy.

A więc zaczynasz wnioskować: pyknik, czy astenik, typ nordyczny, czy też dynarski?

Niezależnie jeszcze od tej oceny bardzo wskazanem jest zwrócić się po odprawie do takiego magika, który już miał przyjemność instruować w danym pododdziale. Jakkolwiek bowiem możesz być pewien swych wiadomości, to nigdy nie zaszkodzi potwierdzić swe spostrzeżenia, jeżeli były trafne, ewentualnie sprostować je, gdybyś przypadkiem strzelił bąka. Taki bowiem osobnik, który już miał do czynienia z danym kierownikiem ćwiczeń musiał go chcąc czy nie chcąc poznać.

Cały ten proceder odpada naturalnie, jeżeli szczęśliwy los wysyła Cię do kompanji, gdzie miałeś zaszczyt przebywać ubiegłego roku. Wówczas wszystko pójdzie jak najlepiej, chyba że któryś z dawnych „wodzów" specjalnie zagiął na Cię parol i po starej znajomości chce Ci w dalszym ciągu zalać sadła za skórę. Są to jednak wypadki dosyć rzadkie. Stosownie więc do poczynionych na odprawie spostrzeżeń układasz sobie z góry plan działania. A więc czy znalazłszy się przed frontem oddziału ryknięsz jak ranny tur, czy też spokojnym i zrównoważonym głosem podasz komendę.

Na ćwiczeniach zaś właściwych czy masz rzucać się i ciskać jak salamandra w ogniu, krzyczeć, ganić, strofować, czy też masz zamienić się w chłodnego i pewnego siebie wykładowcę, który każde swe zdanie, każde niemal słowo zdaje się ważyć głęboko, zanim je puści w świat.

Wszystko to jest uzależnione od usposobienia Twojego kierownika ćwiczeń, od tego co on lubi a czego znów nie znosi.

Co? Powiadasz, że to byłoby wbrew twojemu usposobieniu? Możesz te rzeczy schować na te kilka godzin do kieszeni, jeżeli naturalnie zależy ci na jakiej takiej nocie.

Na zakończenie kilka praktycznych rad co do poszczególnych kompanji. Zacznijmy od 5-ej. Gdy tam się znajdziesz, to staraj się przedewszystkiem okazać jak największą energję i najdalej idącą ruchliwość. Albowiem p. kpt. Wodecki ceni tylko takie jednostki. Wrzeszcz więc jakby Cię ze skóry obdzierano, ciskaj się jakby cię osa ugryzła, syp rozkazami jak z dwóch conajmniej rękawów, wymyślaj i dawaj O. P. R. swym podwładnym i wykonawcom, rzuć całą kompanję od czasu do czasu o ziemię a za rezultat głowę daję. Prócz tego bądź przygotowanym, żebyś po skończonych ćwiczeniach umiał poprowadzić omówienie ćwiczeń. Tutaj również zachowaj się jak rozgniewany Jowisz a wszystko będzie dobrze. Może się zdarzyć, że rozwiązanie taktyczne nie zbyt Ci się uda, jednak nie martw się tem zbytnio, od czegoż bowiem jest omówienie końcowe. Jeżeli zaś miłosierny Stwórca obdarzył Cię tem, co się zwie w języku śmiertelnych elokwencją i dykcją a prócz tego posiadasz jakikolwiek zapas gestykulacji, to w końcu nawet sam uwierzysz, że całe zadanie rozwiązałeś iście po Napoleońsku.

Kompanja szósta... Tam są już nieco inne wymagania. Ogólne wskazania co do niej dałyby się zawrzeć w następującem: zredukuj do połowy swą ruchliwość i energję, jakie zwykłeś był wykazywać w piątej a oprócz tego nie licz nigdy na omówienie końcowe, prowadzi je bowiem zwykle sam d-ca kompanji i nie zawsze może ono wypaść na Twą korzyść...

Co się tyczy siódmej, to można byłoby ją nazwać odwrotnością piątej. Wódz tej kompanji wymaga w pierwszym rzędzie spokoju, równowagi, pewności siebie, oraz gruntownej znajomości regulaminu. Nie znosi krzykaczów... Ceni szybką orjentację i sam prowadzi omówienia.

Ósma... Hm, z tą będzie chyba najtrudniej... Jest ona dotąd dla mnie zupełnym sfinksem, pomimo tego, iż nie raz i nie dwa razy w niej byłem....

Trudno sądzić czego tam się wymaga, jeszcze trudniej odkryć czułe miejsce obsady a jest poprostu niemożliwością ustalenie jakiegoś schematu postępowania. Tutaj zawodzi najczęściej i ruchliwość i energja i znajomość regulaminu... Tutaj żeby wynieść jaką taką notę trzeba być wyjątkowo szczęśliwym, prawie w czepku się urodzić...

Dlaczego?... Gdzie się kryje tego przyczyna?... Nieraz głowiłem się nad tem i dochodziłem zawsze do jednego i tego samego rozwiązania. Otóż przyczyną tego jest giętkość i podatność regulaminu... A ósma kompanja doszła w tem wprost do mistrzostwa...

Powiadasz, że ze wszystkich poznanych wolisz siódmą?...

I całkiem słusznie, ja też z nią swego czasu sympatyzowałem ..

Dzieje lotników w S.P.P.

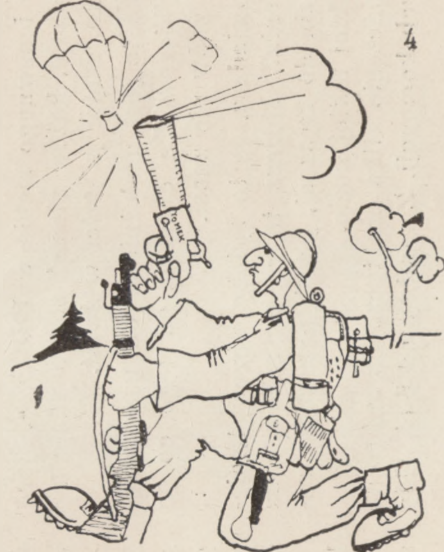


Szkoli się na obserwatora...


Uczy się prowadzić maszynę...



Często jest baloniarzem...


Odbywa ćwiczenia ze spadochronami...


Buja ale nie sam...


Odbywa loty ćwiczebne...


Które często kończą się katastrofą...



Ale najczęściej startuje jako ppor. piechoty...



Skinder Bolesław

KRONIKA OD 1931 DO 1934 R.

Służba Ojczyźnie!... Dla Ojczyzny!... Za Ojczyznę!... Oto pojęcia, z jakiemi stykał się każdy z nas od lat najmłodszych, już niemal od zarania swego dzieciństwa. Weszły one niejako nam w krew, wzrastały z nami, by rozwinąć się ostatecznie na ławie szkolnej.

A jakiż może być zaszczytniejszy sposób służenia Ojczyźnie, jak z bronią w dłoni strzec Jej rubieży?

Wielkie postacie Królów, Wodzów i Hetmanów, ich nieśmiertelne czyny na polach bitew, ich wiekopomne zwycięstwa — jakże silnie przemawiały do chłopięcej, a później do młodzieńczej wyobraźni!

Któż z nas nie marzył o szabli i mundurze? Któż nie śnił o wojaczce?

Gdy skończę szkołę, idę do wojska — słyszało się bardzo często za czasów „sztubackich".

Czy wielu wytrwało przy tem postanowieniu?— trudno dziś orzec. W każdym razie byli tacy i tym właśnie było sądzonem we wrześniu 1931 r. oglądać czerwone mury koszar S.P.P. w Ostrowi-Mazowieckiej.

Jako kandydaci na Kurs Unitarny S.P.P. byliśmy wzywani poszczególnemi grupami w terminie od 1 do 15 września na badania lekarskie, egzamin z niektórych przedmiotów, wchodzących w zakres szkoły średniej, oraz na badanie psychotechniczne.

Pomyślny wynik tego wszystkiego miał decydować o naszem przyjęciu do S.P.P.

Dziwne i niezbyt przyjemne wrażenie sprawia na takim kompletnym cywilu, jakimi byliśmy wówczas, widok olbrzymich, z czerwonej cegły koszar, zwłaszcza, jeżeli ktoś oglądał je poraz pierwszy w życiu.

Tyle się człowiek naczytał i nasłuchał o wojskowej dyscyplinie, o drilu, że.,.

Jednak każdy z nas nadrabiał miną... E, co mi tam!...

A później to pierwsze zetknięcie się z „wojskiem", wraz z nieodłączną jego karnością i dyscypliną...

A więc te ustawiczne zbiórki, chodzenie wszędzie dwójkami, rano wstawanie na rozkaz, kładzenie się na spoczynek — również...

Zaraz w pierwszym dniu odbyły się badania psychotechniczne i lekarskie. W razie niepomyślnego wyniku zwłaszcza tych ostatnich, kandydat nie potrzebował już czekać na egzamin końcowy, lecz pakował walizę i wracał do domu.

Egzamin zaś, który miał za zadanie sprawdzenie posiadanych przez nas wiadomości z geografji, historji, matematyki i fizyki — był już fraszką w porównaniu z odbytym niedawno egzaminem maturalnym.

To też wypadł on pomyślnie prawie dla wszystkich, którzy zostali doń dopuszczeni.

Pamiętam doskonale tę chwilę, kiedy późnym wieczorem kazano ustawić się nam w dwuszeregu przed kompanją (obecna 7-ma!) i przeczytano nazwiska tych, którzy zostali przyjęci.

Radość zapanowała ogromna wśród tych wybrańców, wszyscy rzucili się biegiem do komisji poborowej, która mieściła się wtedy w obecnym I Bataljonie.

Następnie braliśmy karty urlopowe i rozjeżdżaliśmy się do domów na „urlop".

W dniu 15 października zameldowaliśmy się w poszczególnych pułkach, gdzie w ciągu jednomiesięcznej służby mieliśmy wykazać naszą gorliwość w służbie i przydatność do stanu oficerskiego.

Znów to samo nieokreślone uczucie obawy, gdy się przekraczało bramy koszarowe wybranego pułku, znów te same nadrabianie miną...

Tutaj zetknął się człowiek poraz pierwszy z towarzyszami, przyszłymi kolegami, z którymi miało się dzielić trudy żołnierskiego żywota...

I potoczyły się pierwsze, niezapomniane dni żołnierskiej służby.

Wysłanie nas do pułku miało zasadniczo podwójny cel: mieliśmy wykazać gorliwością i sumiennem wypełnianiem obowiązków nasze zamiłowanie ku trudnemu zawodowi żołnierza, z drugiej zaś strony przez bezpośredni kontakt z szarym żołnierzem mieliśmy poznać go bliżej, wczuć się w jego duszę, poznać jego życie, ażeby tem lepiej móc nim kiedyś kierować.

Tam więc, w rozrzuconych po całej Polsce pułkach i garnizonach stawialiśmy pierwsze nasze kroki w tym trudnym, jakże jednak zaszczytnym zawodzie żołnierskim.

Rozmaicie się nam powodziło. Jednym lepiej, innym znów gorzej, zależało to bowiem od wielu czynników. Jednego tylko jestem pewien, iż nie było takiego wśród nas, któryby nie tęsknił i nie oczekiwał z upragnieniem chwili wyjazdu do szkoły.

Każdy bowiem doskonale zdawał sobie sprawę, że pobyt nasz w pułku jest tylko przejściowym, tylko drobnym fragmentem tej trzechletniej wędrówki, na jaką każdy z nas się przygotował. Wiedzieliśmy, iż właściwe nasze miejsce jest w szkole, nic więc dziwnego, iż każdy do niej się wyrywał.

Nareszcie zawitał ten upragniony dzień. Z całej Polski poczęły się zjeżdżać tłumy najmłodszych Jej żołnierzy.

Mała i zapadła stacyjka kolejowa Pasieki, która tak ściśle się zespoliła z Kursem Unitarnym, zaroiła się nagle od mundurów.

Zaraz po przybyciu ładowaliśmy się na chłopskie fury, by tym prymitywnym środkiem lokomocji odbyć ostatni etap, dzielący nas od Różana.



Na rynku w Różanie 19-III-1932 Fot. Hofman

Przybyliśmy tam późną nocą, pomimo to jednak zaraz podzielono nas na poszczególne kompanje, rozbijając bezlitośnie zżyte już z sobą paczki pułkowe.

— Wszystkie inne, byle tylko nie 10-ta — powtarzał sobie każdy z nas. Baliśmy się bowiem jak ognia 10-ej kompanji, której niezbyt pochlebną reputację wyrobili nasi poprzednicy. Nie nazywaliśmy wówczas inaczej jej, jak kompanją czołgów, lub poprostu „czołgami".

Dlaczego? — o tem wie napewno każdy Różańczyk, bez względu na to czy był w niej, czy też nie.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy po wyczytaniu mojego nazwiska padła: kompanja 9-ta.

Wolałbym co prawda do osławionej 11-ki, ale cóż zrobić.

Gawędząc o tem i owem z naszym przewodnikiem — sierżantem przekroczyliśmy progi niezapomnianej 9-tki.

Dwa pierwsze dni upłynęły nam w gorączkowym rozgardjaszu umundurowania, wyekwipowania, podziału na drużyny, plutony i t. p.

Rok szkolny rozpoczęliśmy mszą św. wraz z podniosłem kazaniem, jakie wygłosił ks. kapelan Tomczak, w kościele w Różanie. Poczem zebraliśmy się w sali naszego kina, gdzie przemówił do nas, przybyły na otwarcie roku szkolnego Komendant S.P.P. p. płk. dypl. Bociański. Później nastąpiło uroczyste zawieszenie flag w poszczególnych klasach.

Wraz z rozpoczęciem roku rozpoczęła się również dla nas i praca.

Każdy z nas miał już jakie takie pojęcie o służbie wojskowej, posiadał piewien zasób wiedzy, nabytej czy to w P. W., czy to na obozach letnich lub też podczas miesięcznego pobytu w pułku. Stąd też każdy z nas uważał się za „starego żołnierza", przynajmniej w swojem mniemaniu, nigdy zaś za rekruta.

Pomimo to jednak rozpoczęto z nami wyszkolenie od samych podstaw, od najbardziej elementarnych zasad. Rozpoczęliśmy naszą pracę od wyszkolenia pojedyńczego strzelca.

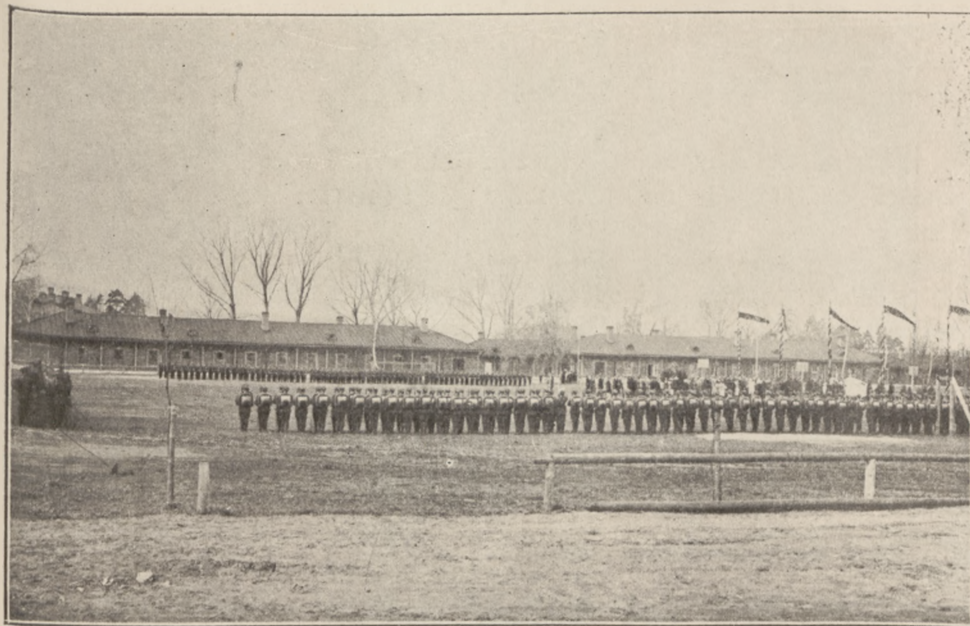
Któż nie pamięta tych chwil, kiedy zaraz od pierwszych dni rozpoczęły się nasze „wycieczki" w teren, na kochane „sektory", gdzie pod czujnem okiem sierżantów opisywało się teren, oceniało się odległość lub też wykonywało się skoki?

Miłe, niezapomniane chwile!... A te pierwsze marsze dzienno-nocne, te alarmy, te meldowania się w pełnem oporządzeniu...

Dzisiaj, z perspektywy dwóch lat patrzy się na to z uśmiechem i wspomina się jak to, co już należy do przeszłości. Wtedy jednak patrzyło się inaczej na to, inaczej nieco się odczuwało. Niezawsze uśmiech i radość gościły na naszych obliczach.

Były chwile, kiedy zmarszczka niezadowolenia żłobiła brózdą młodzieńcze czoło a w piersi wzbierało się uczucie rozczarowania, zawiedzionych nadziei... Niejeden też westchnął ukradkiem i wspomniał minione... Były to jednak chwile.

Bowiem życie zbiorowe ma swe właściwości, swe specyficzne cechy. Niema w niem miejsca ani sposobności na długotrwały smutek i melancholję.



Promocja na podchorążych w Różanie 3-V-1932 r. *Fot. Hofman*

Wraz też następowała reakcja; oto znów buchał beztroski humor, znów sypały się żarty i dowcipy, znów rozbrzmiewał dokoła śmiech.

Nie wszyscy, rzecz naturalna wytrzymali.

Słabsze jednostki, słabsze charaktery załamały się zaraz na wstępie. Pozostali jedynie silni i zahartowani duchowo, pozostali tacy, którzy w każdej okoliczności życia potrafią dać sobie radę. A takich właśnie potrzebuje nasza armja.

Często się słyszy głosy, które darzą naszą Szkołę mianem szkoły charakterów. Powiedzenie to nie jest bynajmniej pustym frazesem, lecz kryje w sobie całą głębię prawdy. Tak istotnie Szkoła nasza jest kuźnią dusz i charakterów!

Jedynem naszem marzeniem w tych pierwszych miesiącach naszego pobytu w Szkole, myślą wszystkich absorbującą, to był urlop. Ciągle mówiło się o nim w dzień, śniło się w nocy... Miał to bowiem być nasz pierwszy urlop, nasz pierwszy urlop wobec swych najbliższych w tak upragnionym mundurze. Wprawdzie mundur ten był szary, niepozorny, jednak jakże byliśmy zeń dumni! Odgrywały tutaj jeszcze i inne względy rolę. Ona... Mamusina śpiżarnia... Niejednemu może się wydać śmiesznem, zwłaszcza to ostatnie. Jednak istotnie tak było. Doczekaliśmy się wreszcie tej upragnionej chwili wyjazdu.

Panowie dowódcy i zarazem nasi wychowawcy po udzieleniu nam ostatnich rad i wskazówek na temat zachowania się na urlopie, wypuścili nas na wolność.

Z wrzawą, hałasem i radością pakowaliśmy się na niezrównane fury poczciwych kmiotków, by wysiąść w Pasiekach, skąd już pociąg zabierał nas i wiózł w najrozmaitszych kierunkach.

Szybko, może aż za szybko upłynął ten pierwszy urlop. Wróciliśmy z zapasem nowych sił i nowej energji do pracy. A czekała nas praca nielada. Skończyło się już wyszkolenie pojedyńczego strzelca a zabraliśmy się do drużyny. Do tego zaś nastała zima jak się patrzy. Styczeń mieliśmy jeszsze możliwy, ale zato luty dał się nam porządnie we znaki. Wiosna więc ze swoimi promieniami i ze swem życiodajnem ciepłem zaprzątała teraz wszystkie umysły. Byle do wiosny — słyszało się tu i ówdzie wzdychających.

Długie wieczory zimowe skracaliśmy sobie jak kto chciał i jak kto umiał. Jedni przesiadywali wolne chwile w Ognisku nad gazetą, inni znów w tuleni w kąt ciepłego pieca oddawali się lekturze a jeszcze inni w sali wykładowej nad regulaminem. Prócz tego mieliśmy dwa razy w tygodniu kino. Bractwo ciągnęło tłumnie nawszystkie obrazy bez wyjątku.



Wśród szumiących łanów .. *Fot. Auterhoff*

Co pewien czas, któraś z czterech kompanij dawała rozrywkę kulturalną w postaci lekkiej,

pełnej humoru sztuki scenicznej. Takie występy naszych własnych sił artystycznych cieszyły się zazwyczaj ogromnem powodzeniem. I tak jakoś nam czas upływał...

Tymczasem jednak wiosna zbliżała się szybkiemi krokami. Wraz z nią nadchodził uroczyty dla nas dzień 19-go marca, dzień Imienin naszego ukochanego Wodza i zarazem dzień naszej żołnierskiej przysięgi.

Oczekiwaliśmy go podobnie, jak oczekiwaliśmy pierwszego urlopu. Wraz bowiem ze złożeniem przysięgi pozbywaliśmy się raz na zawsze, bądź co bądź niezbyt pochlebnego dla nas miana rekrutów, prócz tego zaś przyświecała nam nadzieja otrzymania pierwszej belki. Nadszedł wreszcie. Z chorągwią i orkiestrą na czele udaliśmy się do Różana, gdzie po mszy św. i płomiennem kazaniu ks. kapelana Tomczaka złożyliśmy na rynku żołnierską przysięgę.

Aktem tym stwierdziliśmy na zawsze naszą przynależność w szeregach obrońców Ojczyzny.

Uroczystość tę zakończyliśmy wspólnym obiadem żołnierskim, który zaszczycił swą obecnośią Komendant S. P. P. p. płk. dypl. Bociański. Na obiedzie tym rozstrzygnął się ostatecznie los naszej belki — niestety na jej niekorzyść. Dowiedzieliśmy się bowiem, że nie będzie awansu na st. strzelca, natomiast za pracę, postępy w nauce i dobrą postawę, otrzymaliśmy dłuższy o jeden dzień urlop, niż nasi starsi koledzy w Komorowie. Nie martwiliśmy się jednak tem zbytnio. Mieliśmy przecież jechać wkrótce do domu.



Przed nami paciorkowaty okop... *Fot. Auterhoff*



Kiedy się ma już 40-kę za sobą... *Fot. Autergoff*

Ten drugi urlop zleciał jeszcze szybciej, niż poprzedni. I znów zaroiły się koszary, znów zawrzała praca. Zaraz po przybyciu z urlopu objęliśmy pełnienie służby wartowniczej. Nowe urozmaicenie w szarem życiu koszarowem...

W tym samym mniej więcej czasie opuścił nas dotychczasowy nasz dowódca Baonu płk. Świnarski, przeniesiony na inne stanowisko służbowe.

Dowództwo III Baonu objął mjr. Tomiak. Zbliżało się jednak powoli największe dla nas święto—3 Maja a wraz z niem promocja na podchorążych. Czem była dla nas ta uroczystość, ten tylko może zrozumieć, kto przez tyle miesięcy żmudnej i uciążliwej pracy, przez marsze i alarmy zdążał wytrwale ku tej chwili. Podchorąży, to przecież szczyt marzeń każdego z nas od samego początku naszej żołnierskiej służby!

Nastąpiły gorączkowe przygotowania, ażeby godnie wystąpić na spotkanie tak uroczystej chwili.

Nasze skromne boisko, będące świadkiem tylu zapasów, zmieniło swój wygląd do niepoznania, przybrane zielenią i flagami.

Nareszcie promocja... Odbyła się ona w piękny wiosenny dzień, jakby specjalnie zamówiony na tę uroczystość, wśród podniosłego nastroju i licznie zgromadzonych tłumów.

A więc spełniły się nasze sny, nasze najgo-

rętsze marzenie — byliśmy podchorążymi... Z jakąż dumą nosił z nas każdy te podchorążackie S. P.!

Po promocji już jako st. strzelcy podchorążowie rozpoczęliśmy dowodzenie drużyną. Występowaliśmy już odtąd na wszystkich ćwiczeniach jako dowódcy. Co za radość! Pracowaliśmy też w tym okresie co się zowie. Niejedna kropla potu wsiąkła w piaski nadnarwiańskie...



Zabawić się też czasami nie zawadzi.. *Fot. Auterhoff*

W dniu 29 czerwca w samo święto apostołów Piotra i Pawła wyruszyliśmy do Czerwonego Boru na ostre strzelanie.

Marsz do Czerwonego Boru... Któż go nie pamięta?... Ja go nie zapomnę chyba nigdy... Jednak czego nie potrafi siła woli? Poszliśmy i wróciliśmy.

Poligonem też zakończyliśmy program. Teraz rozpoczęły się zawody i najrozmaitsze imprezy sportowe, w których poszczególne kompanje usilnie ze sobą walczyły o palmę pierszeństwa. Z zapasów tych wyszła najlepiej kompanja 9, zdobywając pierwsze miejsce w pięcioboju, trójboju lekkoatletycznym, oraz w grze w koszykówkę.

Przed samym zakończeniem roku bo w dniu 5 sierpnia odbyliśmy jeszcze solidną zaprawę marszową, przemierzając w kilku godzinach przestrzeń Różan — Ostrów. W dniu 7 sierpnia cały nasz bataljon wziął udział w uroczystej promocji podporuczników.

Na tem też zakończyliśmy nasz pobyt na Kursie Unitarnym.

W dniu 14 sierpnia opuściliśmy Różan już joko kaprale-podchorążowie, by udać się na 6-cio tygodniowy urlop.

— — — — — — — — —

W dniu 1 października wkroczyliśmy w drugi etap naszej pracy, już jako uczniowie pierwszego rocznika S. P. P. W przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego stawiliśmy się wszyscy w Ostrowi Mazowieckiej.

Z radością stwierdziliśmy, że kompanje, do których zostaliśmy przydzieleni, zachowały ten sam skład, co i na Kursie Unitarnym, zmieniając jedynie dowódców i numerację. Pozostały więc nienaruszone stare i tak zżyte ze sobą paczki jeszcze z czasów Różańskich.

Miejsce zaś tych, którzy po ukończeniu Kursu Unitarnego odeszli do innych broni zajęli obecnie absolwenci Szkół Podchorążych Rezerwy i Korpusu Kadetów. Gross jednak stanowili Różańczycy!

Bataljon nasz, jako II Bataljon S.P.P. liczył wówczas cztery kompanje. Dowódcą był p. mjr. Korkiewicz Jan.

Zajęcia nasze rozpoczęły się od tego, iż zapoznano nas z okolicznym terenem, w którym mieliśmy odtąd ćwiczyć, oraz z granicą garnizonu, której nie wolno nam było przekroczyć.

Poznaliśmy wówczas tak często już słyszane w Różanie wzgórze Podchorążych, Suchy Sadek, m. Majdan i historyczny tor kolejki.

W parę dni po rozpoczęciu roku szkolnego wszystko już płynęło normalnym trybem.

Rychło też przekonaliśmy się, że oprócz naszych bezpośrednich przełożonych istnieje jeszcze i starszy rocznik, którego władzę czuliśmy nad sobą przez cały rok.

W dniu 11 listopada wyjechał cały I Bataljon na uroczystość święta Niepodległości do sto-



Głośna odprawa... *Fot. Auterhoff*

licy. My młodsi obchodziliśmy je w Ostrowi.

29 listopada, w sto drugą rocznicę Nocy Listopadowej obchodziliśmy uroczyście jako dzień święta naszej szkoły. Z rana odbyło się nabożeństwo w naszym kościołku, póżniej akademja w sali kina, wieczorem zaś — capstrzyk i uroczysty apel poległych wychowanków Szkoły.

Dnia 22 grudnia cała Szkoła wyjechała na urlopy świąteczne.

Po powrocie z urlopów zaczęliśmy się przy gotowąć nie na żarty do... karnawału.

Wieczorami w rzęsiście oświetlonych salach audytorjum ćwiczyliśmy się zapamiętale w tangu, foxtrocie, mazurze i tym podobnym łamańcom.



Życie na poligonie nie jest znów tak monotonne jakby się napozór zdawało... *Fot. Horodyski*

Od czasu do czasu nabyte w ten sposób umiejętności mieliśmy sposobność zastosować praktycznie na balach w Ostrowi.

W dniu 5 lutego udała się cała Szkoła in gremium do Warszawy na bal, który się odbył w sali Doliny Szwajcarskiej.

Wkrótce potem wyruszyliśmy na kilkudniowe ćwiczenia zimowe. Zapędziliśmy się w nich hen aż pod Trzcianne w gwałtownym pościgu za „wrogiem".

Podczas ćwiczeń tych wykazaliśmy całą naszą tężyznę fizyczną i siłę woli, które pozwoliły nam znieść skutecznie wszelkie trudy i niewygody i co najważniejsze zwyciężyć.

Dzień 19 marca oprócz radosnego święta przyniósł dla wielu tak upragnioną trzecią belkę. Uczciliśmy go nabożeństwem w kościele i uroczystą akademją.



Metodą Bołotowa... *Fot. Auterhoff*

Prócz tego w dniu tym wystąpił w stolicy nasz chór, który łącznie z warszawską „Harfą" zbierał w sali Opery huczne oklaski.

Znów wyjechaliśmy na urlop i znów wróciliśmy do zwykłych, codziennych zajęć...

Znów zwykła, koleją rzeczy wiosną a wraz z nią intensywna praca w terenie...

Nadszedł 3 Maj. Z dniem tym zostali mianowani na plutonowych-podchorążych wszyscy pozostali.

W dniu 28 maja wyruszyła 5 i 6 kompanja do Czerwonego Boru. Przez całe dziesięć dni pogłębialiśmy praktycznie naszą wiadomości z dziedziny strzeleckiej. Tam też spędziliśmy pierwszy i drugi dzień Zielonych Świątek.

W drugiej połowie czerwca przybył do nas pluton czołgów i szwadron T.K. Ćwiczyliśmy z tym nowym dla nas rodzajem broni przez cały tydzień.

Jednak w miarę zbliżania się końca roku zajęcia słabły, tracąc powoli na tempie i natężeniu.

Coraz więcej czasu spędzaliśmy na pracach w alejkach lub na odcinku plutonu, gdzieśmy kopali rowy strzeleckie, pletli pleciaki, lub stawiali przeszkody z drutu kolczastego.

Sporo czasu spędzaliśmy nad basenem lub na boiskach. W tym czasie odbyło się cały szereg zawodów w lekkoatletyce i grach sportowych. Baon nasz rywalizował bardzo skutecznie ze starszym rocznikiem, odnosząc cały szereg pięknych sukcesów.

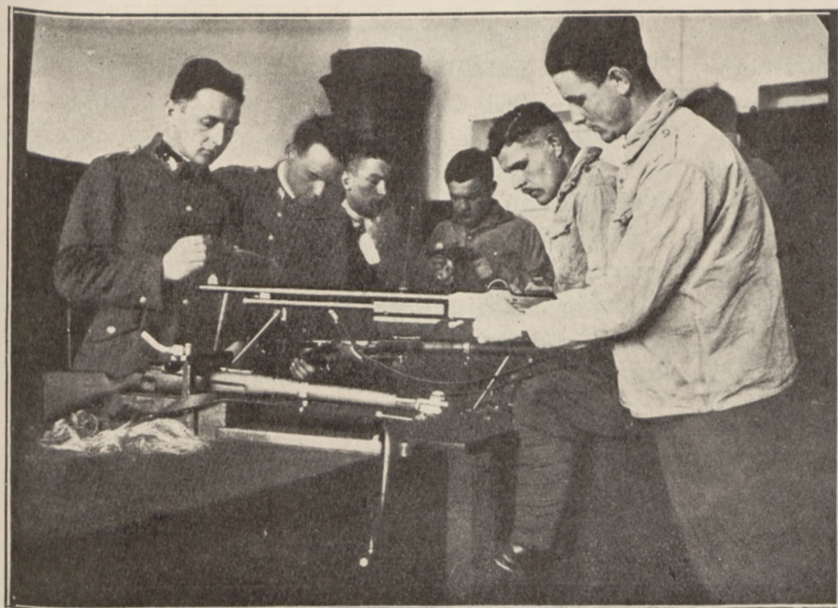
Pierwsze dni sierpnia zastały nas w gorączkowych przygotowaniach do uroczystości związanej z promocją na podporuczników naszych starszych Kolegów.

Przejęliśmy od nich chorągiew, przejęliśmy mundury historyczne i ćwiczyliśmy w nich musztrę.

Dzień 5 sierpnia, uświęciliśmy „dniem podchorążego". Szczegółowy opis tej uroczystości po-

dałem w numerze listopadowym „Rzeczpospolitej Podchorążackiej".

Przed wieczorem dnia tego przybył do nas Pan I Wiceminister gen. dyw. Fabrycy, którego witaliśmy przybrani w stroje grenadjerskie.



Czyszczenie broni... *Fot. Nowakowski*

W dniu 6 sierpnia odbyła się 10 promocja podporuczników.

Już poraz drugi z rzędu byliśmy świadkami tej podniosłej uroczystości.

Czuliśmy się teraz zupełnie inaczej, niż rok temu, kiedyśmy zmęczeni przymaszerowali z Różana na to święto.

Obecnie każdy z nas uświadamiał sobie, że następna promocja będzie już naszą promocją, że nie będziemy już podczas niej biernymi widzami... I każdy z nas tem mocniej ślubował sobie w duchu wytrwać...

Dnia 8 sierpnia odprowadziliśmy na stację naszych starszych kolegów-podporuczników, gdzie pożegnaliśmy ich z orkiestrą.

W dniu 10 sierpnia odczytano nam rozkaz, opiewający nasz awans na sierżantów-podchorążych.

W dniu 11 sierpnia zakończyliśmy rok szkolny.

— — — — — — — — — —

Trzeci i ostatni rok nauki upłynął nam w zupełnie identycznych warunkach, co i uprzedni, z tą jedynie różnicą, że byliśmy już na starszym roczniku i korzystaliśmy ze wszystkich jego praw i przywilejów.

Stąd też nie będę tutaj rozwodził się nad jego dziejami. Chcę natomiast przedstawić w kilku słowach wszystko to, co się tyczy, życia kulturalnego naszej szkoły, jej urządzenia, wyglądu zewnętrznego etc. etc.

Poraz pierwszy danem mi było oglądać Komorów we wrześniu 1931 r.

Obraz ten utkwił mi silnie w pamięci, mogę więc zestawić go z obecnym i porównać oba.

Co za ogromna różnica! Jak się wszystko zmieniło przez te trzy lata:

Dziś patrząc zdaleka na Komorów odnosi się wrażenie olbrzymiego parku, z którego zieleni gdzie niegdzie tylko przeziera czerwień koszarowych murów.

Drzewa, cała masa drzew otoczyła zwartem kołem ten kompleks budynków, przykryła go szczelnie zielonem sklepieniem, zdając się chronić tę naszą Alma Mater przed zbyt natarczywym wzrokiem.

Co za malowniczy widok dla oka estety!

A chodźmy bliżej i przekroczmy bramę, wiodącą do któregokolwiek z Baonów.

Równa, jak idealna linja matematyczna, aleja wysadzona po obu stronach drzewami...

Wzdłuż niej ciągnie się cały szereg pomników, przedstawiających najpiękniejsze momenty z naszych dziejów...



W terenie... *Fot. Horodyski*

Oto mężna sylwetka Czarnieckiego na koniu... „Jam nie z soli ani z roli" — zdają się szemrać liście pochylonego nad pomnikiem grabu.

A oto potężna majestatyczna postać Hetmana i senatora Zamojskiego—zwycięzcy z pod Byczyny...

Idźmy dalej!... Jagiełło pod Grunwaldem... Łokietek pod Płowcami... Sobieski pod Wiedniem... Tarnowski pod Obertynem... A ponad wszystkich góruje olbrzymia postać Tego, co to kazał bić słupy na dnie Elby i Sali...

Serce rośnie patrząc na te widome znaki naszej potęgi i chwały. Duma rozpiera pierś...

Zatrzymajmy się przed kompanją, obojętnie którą: klomby, kwiaty, całe mnóstwo kwiatów... Po ścianach pnie się dzikie wino...

Zajrzyjmy do jej wnętrza: szerokie, widne schody, w salach wykładowych głośniki radja, z komfortem urządzone umywalnie...

Jesteśmy w jadalni .. Białym obrusem zakryte stoły, krzesła, talerze, noże, widelce...

Podążamy do ogniska... Bufet... Czytelnia wraz z całą masą pism i gazet... Sala gier... Sala Honorowa — pamiątki, żywe pamiątki z życia Szkoły, z Jej świetnej przeszłości...

Kino, dźwiękowe kino... Dwa razy tygodniowo obraz...

Chodźmy dalej. Bibljoteka... Tysiące dzieł z najrozmaitszych dziedzin, w najrozmaitszych językach... Zajrzyjmy nad basen... Boiska sportowe...

Dumni powinniśmy być z naszej Szkoły, dumni, że w murach Jej czerpiemy wiedzę.

Wdzięczni powinniśmy być Temu, który tak doskonale potrafił ją urzadzić i zagospodarować.

Imię obecnego Komendanta Szkoły p. płk. dypl. Bociańskiego na zawszo zostało związane z dziejami naszej uczelni, będzie ono zawsze żywym symbolem mądrej i ofiarnej pracy ku dobru i chwale naszej Ojczyzny. Oby wysiłki Jego, trud nad kształtowaniem naszych dusz i rzeźbieniem charakterów przyniosły podobne wyniki!

Szczęść Ci Boże, Panie Komendancie!



Wezwany przed krzesło Naczelnego Redaktora stawiłem się natychmiast, sądząc że da mi on radę na nieznośny ból zębów, jaki dokuczał mi od pewnego czasu, na co mu się poprzednio— podobnie jak i innym podobnym mu dygnitarzom — wciąż skarżyłem.

On zaś rzekł mi:

— Napiszesz do „promocyjnego" jaki lekki, wesoły kawałek, grunt żeby to było dowcipne!

— Dowcipne?!... — jęknąłem i cóś mnie zatkało.

On pomyślał, że to z radości i ciągnie dalej.

— Temat dowolny, treść dowolna, długość dowolna... — i wołał coś jeszcze za mną, ale ja już tego nie słyszałem, bo uciekałem jaknajdalej sadząc po kilka stopni schodów...

Zatrzymałem się dopiero w bufecie „Ogniska". „Mniejsza Makowskiego" uspokoiła mnie po chwili. Raz jeszcze w myśli przebiegłem odbytą przed chwilą rozmowę i zadałem sobie pytanie dlaczego to ja właśnie mam napisać to „coś dowcipnego".

Już wiem dlaczego! Oto dlatego, że jestem „Złotousty" i „Najdowcipniejszy Członek Redakcji"!! Złotousty od tej chwili gdy wstawiłem sobie szereg złotych zębów jako skutek niewinnego paszkwilu, w którym uwieczniłem jednego z mych kolegów-bokserów, co dotyczy zaś tej drugiej nazwy, to dali mi ją koledzy poprostu przez ironję.

A przytem ten nieustanny ból zębów... Brr!

— Stanowczo nic nie napiszę! — powiedziałem sobie — Amen!!

Ta iście męska decyzja uspokoiła mnie bar-

dzo. Tak szczęśliwy, jak gdybym słońce połknął, począłem się rozglądać: Ognisko przepełnione, prawie wszystkie stoliki zajęte, przy bufecie długi ogonek. Ponad gwar ciżby i wrzask radjowego głośnika przedziera się jakiś krzykliwy tenor:

— Chodźmy szaleć!... Szampan!... Wino!... a ciszej ten sam głos zwraca się do bufetowej:

— Poproszę dwie szklaneczki wody sodowej...

Najbliżej mnie zajmują stolik „niedźwiedzie". Mimowoli dowiaduję się, że będąc w różnych kompanjach nie znali się dotychczas, pomimo że obaj są „ź Wilna". Życzą sobie teraz spotkania w pierwszym pepelegu:

— Perswaduję w pana ręce.

— Bynajmniej! — uprzejmie odpowiada drugi.

Przy stolikach spotyka się stałych bywalców. Tu krzykliwi przedstawiciele „ze Lwowi" z hałasem witają swego kompana:

— Ta joj, ta ty tu? Ta słuchał ty wczoraj wesołej fali, a?

Przy innym znów stoliku poważni jak zwykle poznaniacy dumają nad kuflem piwa...

Od czasu do czasu zażarta kłótnia sportowców nadaje nastrój całemu ognisku...

Bardzo rzadko, ale z niezwykle wielkim tupetem i wrzaskiem daje znać o sobie rewja. Stylowy to i bardzo miły zarówno dla ucha jak oka obrazek: na środku sali naokoło stolika, zastawionego doniczkami kwiatów, pozbieranemi ze wszystkich stolików siedzą oni w fantastycznych pozach ćmiąc niezmordowanie papierosy jeden po drugim. Niekiedy z tego kłębowiska dymu i kwiecia wytryska w górę ludzka noga, czasem ręka ze szklanką wody czystej, pozatem stale grzmi i huczy gromki śmiech, lub dla odmiany pieści ucho słuchaczy miła jaka piosenka w rodzaju „Wyganiała Kasia wołki..."

Natomiast nieliczny i rozrzucony po wszystkich kompanjach skromny i cichy zespół gryzipiórków do bufetu ogniska zagląda często, zachowując się zawsze bez zarzutu, przynajmniej takie odnosi się wrażenie, trudno bowiem domyśleć się, że każdy z nich pilnie słucha i obserwuje, aby potem przyjaciół swych obnażać bezwstydnie — jak ja to czynię w tej chwili (o horror!)...

Do Ogniska naszego zaglądają też czasem dowcipniejsi wykładowcy, którzy zamiast urządzania bezcelowych repetycyj jednym rzutem oka na ogonek przed bufetem mogą poznać na jaką notę każdy z obecnych tu podchorążych zasługuje.

Jedni cicho i skromnie czekają na swoją kolejkę,—to ci którzy przez potrójny przetak Szkoły również przenikają cicho i niespostrzeżenie, a o każdym z nich można powiedzieć, że to „żołnierz nieznany" i budować mu pomnik.

Inni znowu zawsze wpadają z hałasem i niepomni na czyjekolwiek głosy oburzenia czy protestu, mijają cały ogonek, dociskają się pierwsi, załatwieni być muszą natychmiast—to dekownicy, członkowie rewji, redakcji i chóru, sportowcy i inne podobne im typy, — to ci, którzy zawsze jakoś wybrną z odpowiedzi, chociaż żadnego z nich nie widziano jeszcze nigdy nad regulaminem czy podręcznikiem.

Wreszcie najmniej liczni, to ci, którzy chociaż nigdy nie mają czasu, to jednak stają w ogonku i czekają cierpliwie na swoją kolejkę, nie przebaczą jednań nikomu z tych, którzy „bezprawnie" usiłują ich wyminąć, — są to t. zw. lokaciarze. Ci nie zasiądą do stolików, bo na salach wykładowych czekają im podobni t. zw. dzięcioły, zażarcie dziobiąc mapy i niezmordowanie grzebiąc w życiu prywatnem Napoleonów i Hannibalów, oraz tocząc gorące oysputy na temat: „Coby było gdyby w jakiejś tam bitwie taka to a taka zaszła okoliczność?!..."

Obecny rok szkolny wzbogacił kolekcję typów komorowskich o typ jeszcze jeden, bardzo ciekawy, a dotychczas prawie że nieznany, typ szachistów oraz ich satelitów—kibiców. Niby dwa kamienne posągi siedzą naprzeciw siebie ze zmarszczonemi czołami, rzucają pionki w wir cichej bitwy, szachują królów, zabierają damy, a ponad nimi piętrzą się gwarne kłębowiska ciał kibiców, podniecających graczy okrzykami w rodzaju: „Wal wieżą!", „Bij konia!", lub coś w tym sensie. Wkońcu jeden z graczy, widząc, że zbliża się jego koniec, przestaje robić z siebie „anglika", denerwuje się, wymachuje rękoma i na głowę najgłośniejszego kibica wylewa strumień wyrzutów.

— Przez ciebie przegram!... miałem świetną kombinację!... tyś mi złamał oś myślową!!!

Muszę jeszcze słów kilka poświęcić sportowcom, mamy ich tu bowiem wiele odmian. Jednak zarówno ci, którzy całemi dniami kopią piłkę, jak i ci, którzy—mimo że boisko zawsze omijają zdaleka—gotowi są raczej zapomnieć datę swych urodzin niż datę zawodów, jakie tam gdzieś mają się odbyć, przytem znają nazwiska i nawet personalja wszystkich speców i asów, jacy kiedykolwiek byli, są i będą, — wszyscy oni niczem są wobec najmodniejszych dziś t. zw. „modern—sportowców". Aktorskim krokiem, lekko chwiejąc się w biodrach, sunie sobie przez alejki taki „Biały Płomień Komorowa", wonny niby skład apteczny, rzucając dokoła nonszalanckie lub zabójcze dla odmiany spojrzenia, długo w chwilach wolnych studjowane w lusterku w przerwie między lakierowaniem paznokci, a ozdabianiem szafki wycinankami z „Za parawanem", czy też z innego równie poważnego pisma...

Albo naprzykład taki typ, licznie tu u nas

reprezentowany, co to już nie jednemu moc krwi napsuł,—to ci którzy nie wiedzą co z czasem zrobić. Jedni z nich twierdzą, że zamało go na to by się uczyć („taki ogrom materjału do przerobienia i tak niewielebym zdążył zrobić!"), inni znowu, że zawiele („Ho, ho! tyle mam czasu, że za tydzień zacznę się uczyć i jeszcze zdążę"), z dziewczątkami nawet korespondencji nie utrzymuję mówiąc sobie „na miłość będę miał czas", a kolegom: „miłość?... dawno już przestałem być naiwnym!", w rezultacie zaś tego wszystkiego włóczą się z kąta w kąt gwiżdżąc lub śpiewając przeraźliwie i przeszkadzając komu tylko się da.

Jeden z nich zagląda właśnie przez ramię. Zaciekawiony o czem to ja mogę tak zawzięcie pisać, ale ja już dawno znalazłem na tych trutniów sposób: piszę w nagłówku wyraźnie: „Droga Zosiu!", lub coś w tym rodzaju, taki pan rzuca okiem na nagłówek, rumieni się i odchodzi zawstydzony, ja zaś w duchu pękam ze śmiechu, że kawał się udał i z radości, że spokojnie mogę dalej pisać.

Ale w tejże samej chwili typa ta zdążyła tuż obok mnie w cokolwiek inny sposób urozmaicić sobie nudy.

— Wiesz, że między twoim zegarkiem, a twemi włosami zachodzi wielkie podobieństwo—zwraca się do swej nowej ofiary.

— Z powodu?...

— Z powodu: „rzadkość!"

Nowa ofiara w pierwszej chwili uśmiecha się ale nagle uświadomiwszy sobie dwojakie tego słowa znaczenie, oblewa się szkarłatem i... awantura gotowa. Wynik zaś jej przesądzony, bo takiemu to nawet nie potrafisz udowodnić, że istnieje jakakolwiek różnica chociażby między koniem a krową. Godzinę go będziesz przekonywał, aż wkońcu przetnie on dyskusję jakimś mocnym argumentem w rodzaju:

— Ja mam rację, czego najlepszym dowodem jest fakt, że tak jest!!!.. — i odejdzie uśmiechnięty zwycięsko i ironicznie zarazem, pozostawiając cię w osłupieniu z szeroko wybałuszonemi gałami i gotów nawet jesteś uwierzyć, że między koniem i krową żadnej różnicy naprawdę niema.

Ale jeśli już mowa o koniu to muszę na podstawie ostatnio zdobytego doświadczenia podzielić się ze wszystkimi rewelacyjnem odkryciem, że obecnie to stworzenie z każdym dniem staje się coraz bardziej bezwartościowem.

Jeden naprzykład z pośród moich najzdolniejszych kolegów pisząc projekt Regulaminu Piechoty, który w roku przyszłym napewno (!) zostanie zatwierdzony do użytku służbowego w rozdziale „Taktyka walki piechoty z kawalerją" na czołowem miejscu umieścił tak doniosłą zasadę: „Uciekać aż się koń zmęczy!", kawalerji więc jak widzimy w przyszłej wojnie wcale nie trzeba będzie brać pod uwagę.

Próbowano wykorzystać to zwierzątko w innych celach, ale również bezskutecznie. Sam pamiętam taki epizod, z czasów gdy byłem zastępcą komendanta kuchni. Zameldowałem oficerowi inspekcyjnemu:

— Podchorążowie skarżą mi się, że dostali na kolację nie mięso, ale opony samochodowe, pokrajane w kostkę! — a on na to:

— Trudno! Takie to już czasy, że samochód wszędzie konia wypiera!... (sic!!).

Wogóle w naszej podchorążackiej rzeczpospolitej, gdzie się ruszysz człowieku, czy na co spojrzysz, to masz nowy powód do śmiechu. Gdyby ukochany przez nas Makuszyński zgodził się poddać operacji zalecanej przez profesora Woronowa i gdyby ubrał się w mundur z żółtemi naramiennikami, to wkrótce potem świat cały dowiedziałby się, że jest jednak na świecie państwo, w którem niema ludzi starych, złych i smutnych, w którem wszyscy są szczęśliwi i zawsze się śmieją, bo nie poznali jeszcze znaczenia słów takich, jak „karty, kobieta, kłopot, alkohol", czy też innych plag, jakie pozatem wszędzie się szerzą, wyciskając z oczu łzy nienawiści, złości lub cierpienia. U nas to nawet jeśli łzę ujrzysz, to jest to łza radości.

Przykro więc nam będzie się rozstawać z naszą Alma Mater. Ale trudno! Chwila rozstania się zbliża, a każdy z nas z innem uczuciem jej oczekuje. Większość z radością, dumą, ale i żalem zarazem, są jednak i tacy, którzy jej oczekują z niepokojem. Szczególniej ci, którzy z rozkoszą oddawali się zawsze marzeniom, mogą być przygotowani na to, że często będą grzeszyli roztargnieniem i może nie jednemu się zdarzy, że prowadząc kompanję na defiladzie każe w marszu prezentować broń...

Rozrzuceni po wielu pułkach wszyscy jednak i to często będziemy wracać myślą do chwil spędzonych w Szkole Rycerskiej i miło nam będzie raz jeszcze przeżyć w wyobraźni te niezapomniane chwile.

Dziś musimy się rozstać...



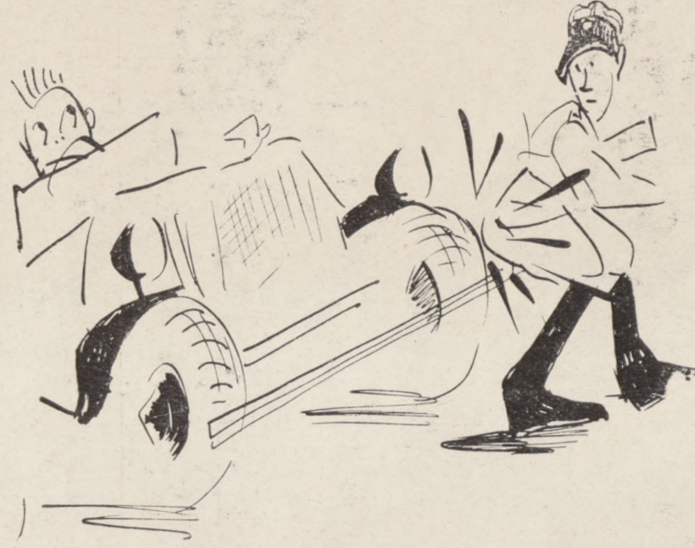


Redakcja „Rzeczypospolitej Podchorążackiej”

Nie wybieraj pułków w Warszawie bo będziesz.



...płacił kary...



...łatał spodnie...



...pożądał nadaremnie...



...chodził ciągle na wartę...



...uczęszczał na nudne akademje...



...płacił wielocyfrowe rachunki...

W KALEJDOSKOPIE DWULETNICH WYCZYNÓW SPORTOWYCH

Przerwaliśmy taśmę na mecie naszego życia sportowego w Szkole. Rzućmy więc okiem na ten dorobek, jaki się nagromadził przez dwa lata. Nie będę tu poruszał codziennej pracy sportowej. Chcę jedynie zwrócić uwagę na te momenty, które były przez kilka tygodni tematem ożywionej dyskusji —



Za chwilę sto oszczepów frunie w powietrze... Fot. Auterhoff

na same zawody końcowe, międzykompanijne, baonowe, czy też szkolne. Będzie to rezultat dwuletniej pracy sportowej. Zbyt wąskie ramy tej notatki nie pozwolą na obszerniejsze ujęcie tematu, ograniczę się więc jedynie do rzucenia kilku pobieżnych rysów z tej dziedziny naszego życia.

Co się tyczy odczuwanych przytem wrażeń, doznawanej emocji, to pozostawiam je czytelnikom, z których wielu było uczestnikami zawodów a prawie wszyscy widzami, tem samem wszelkie napięcia i przejawy tej bezkrwawej walki zupełnie inaczej przeżywali i znacznie żywiej odczuwali, niż sprawozdawca patrzący na nie jedynie pod kątem osiągniętych wyników.

Będę omawiał po koleji każdą dziedzinę sportu. A więc:

Lekkoatletyka.

Lekkoatletyka ma wśród podchorążych wielu zwolenników. Do odznaki P. O. S. stanęła cała Szkoła. Wielobój oddziałowy dał bardzo dobre wyniki. Bieg o puhar 18 p.a.l-u na 3.500 m. zgromadził większość podchorążych Szkoły. Oto garść konkretnych danych:

Bieg 100 m.

Do biegu stanęli, czujący się na siłach podchorążowie, wśród których pierwsze miejsce zajął pchor. Browko osiągając czas 11,5. Drugie miejsce pchor. Gedgowd.

Bieg odbył się na bieżni szkolnej II Baonu.

Bieg 1500 m.

I miejsce zdobył pchor. Kozubal,
II „ „ „ Chachaj Aleks.,
III „ „ „ Stawicki.

Skok w dal.

W skoku w dal zajęliśmy drugie miejsce przed Droszczem — 6,52 m.
II Bieleń 6,38 m.
III Wielgomasz 6,27 „

Skok w zwyż.

Na czoło wysunął się rutynowany zawodnik, senjor sportu Gedgowd, osiągając 180 cm. i ustanawiając tem samem rekord Szkoły na rok 1933.
III miejsce zajął pchor. Zdeb — 170 cm.
IV „ „ „ Gudz — 170 „

Skok o tyczce.

W efektownych skokach osiągnęliśmy bardzo dobre wyniki. Pierwszem miejscem podzieli się między sobą: Kępa 290 cm. i Chyczewski 290 cm. II miejsce Zdeb 280 cm.



Dla zdrowia i zgrabnej figury... Fot. Auterhoff

Rzut dyskiem.

Wśród licznych zawodników pierwsze miejsce zajął pchor. Kupczun — 33,75 m.

Rzut oszczepem.

I miejsce zajął pchor. Kupczun 48,74 m.
II „ „ „ Zdeb 47,00 „

Pchnięcie kulą.

Najlepszy wynik osiągnął pchor. Ciaś 11,76 m. II miejscce pchor. Kronglej 11,48.

Sztafeta 4 × 100.

W składzie pchor. Browko, Gedgowd, Masłowski i Wielgomasz, zajęła I miejsce w baonie w czasie 46,2.

Sztafeta olimpijska 100 × 200 × 400 × 800.

Skład pchor. Głąb, Browko, Wielgomasz, Gedgowd, zdobyła I miejsce Baonu w czasie 3,39,4.

Zawody sportowe o mistrzostwo S.P.P. odbyły się w czasie od 17.VI do 4.VII 1933 r. i dały następujący ostateczny wynik.

Zawody szermiercze w szabli.

I miejsce i mistrzostwo Szkoły na rok 1933 pchor. Browko,
II „ Droszcz,
III „ Handler Jan.



Rozkosze basenu... Fot. Auterhoff

Zawody w siatkówce.

klasa I	— I	miejsce	zespół	7	komp.
	II	„	„	4	„
„ II	— I	„	„	6	„
„ III	— I	„	„	1	„

Koszykówka.

Klasa I	— I	miejsce	zespół	1	komp.
	II	„	„	7	„
„ III	— I	„	„	5	„
„ IV	— I	„	„	8	„



Poranna gimnastyka Fot. Auterhoff

Zawody pięściarskie.

Waga półciężka pchor. Strejczak I miejsce. W średniej zdobył II miejsce Kępa. Półśrednia II miejsce Rogalski.

Pływanie 100 mtr. styl klasyczny.

Zawody te odbyły się na naszym wspaniałym basenie, przy licznym udziale podchorążych całej Szkoły.

I i II miejsce zajęli podchorążowie ze starszego rocznika III miejsce zdobył pchor. Szczepański (5 komp.).

Pływanie 100 mtr. styl dowolny.

I miejsce przypadło w udziale dla starszego rocznika. II miejsce zajął pchor. Ostrowski w czasie 1,36,16. 1000 m. pchor. Stacherski z 6 komp.

Ratownictwo.

Zawody polegają na wyszukaniu i wydobyciu z części głębszej basenu, manekina oraz dociągnięcia go do brzegu basenu.

I miejsce zdobył Frydel z 5 komp. w czasie37,11.

Za wybitną sprawność fizyczną zostali wyróżnieni:

pchor. Kępa Zdzisław — nagroda pistolet.
„ Woźniak Marjan
„ Gedgowd Witold
„ Browko Eugenjusz

Na tych danych zamyka się bilans sportowy ubiegłego roku szkolnego. Teraz kilka słów i liczb z pracy na starszym roczniku.

Pracę rozpoczęliśmy od pierwszych dni roku szkolnego pod nowem kierownictwem sportowem.

Skład personalny przedstawia się następująco:

Kierownik W.F. Szkoły por. Domaradzki
I Referent W.F. I Baonu por. Banaszkiewicz,
II „ W.F. I Baonu por. Kania.

Instruktorzy.

Lekkoatletyka st. sierż. Ziółkowski
pływanie sier. Sitarz
szermierka sier. Sitarz i sier. Nejman
pięściarstwo plut. Mądrala.

Pod fachowem i doświadczonem okiem instruktorów przeszliśmy wszystkie treningi i zaprawy do gier sportowych i lekkoatletyki. Cały baon stanął do trójboju oraz pięcioboju oficerskiego II klasy — osiągając bardzo dobre wyniki. Został zorganizowany kurs nauki pływania i doskonalenia się w stylach dla podchorążych na własnym basenie, pod kierownictwem por. Banaszkiewicza. Nie można też przemilczeć o tak zwanej „Makabiadzie" grze towarzyskiej w piłkę nożną, która zgromadzała wielu zwolenników po południu na placu sportowym I Baonu. Konkretne dane przedstawiają się następująco:

Zawody szermiercze w szabli o mistrzostwo S.P.P.

I miejsce pchor. Michalski
II „ „ Browko.

Siatkówka.

Mistrzostwo I Baonu
I miejsce zajęła 3 kom.
II „ „ 1 „

Koszykówka.

Mistrzostwo Baonu na rok 1934 uzyskał zespół komp. 4-tej przed zespołem komp. 1. Gra na wysokim poziomie. Tytuł najlepszego gracza zespołu komp. 4 należy się bez zastrzeżeń pchor. Jaroszewskiemu.

Jest to garść suchych danych, która wymownie świadczy, że praca pokładana przez instruktorów nie poszła na marne, lecz dała wynik. Cel przyświecający i wytknięty przez naszych wychowawców sportowych został osiągnięty. Chodziło bowiem, nie o faworyzowanie jednostek lecz o poziom ogółu. Ilość zaś zawodników biorących udział w zawodach najlepiej chyba świadczy o popularności sportu.

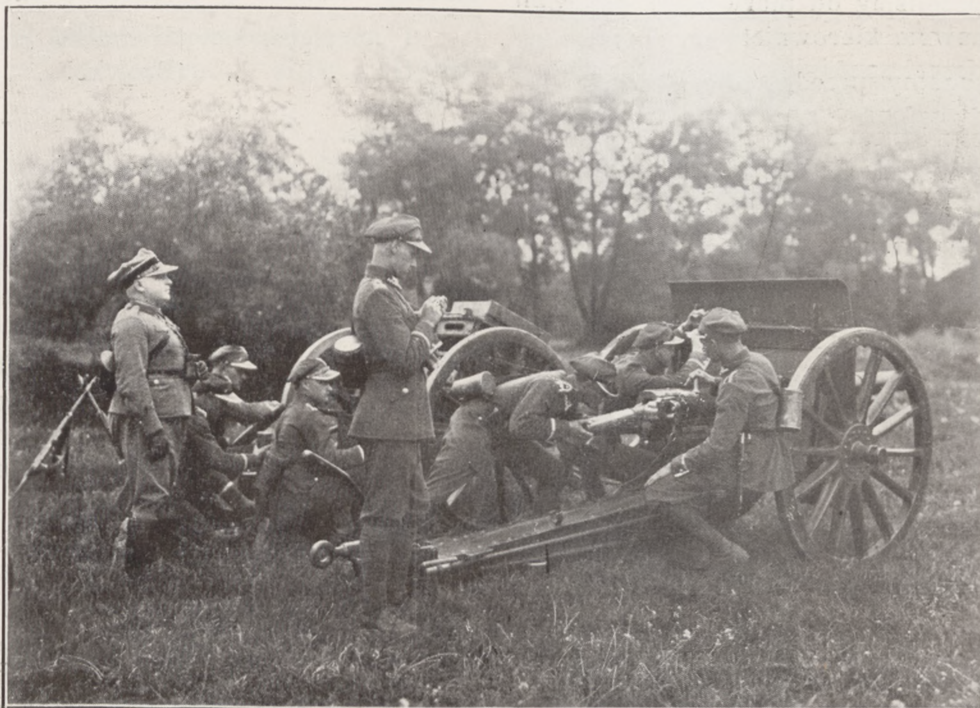
J. Błażewicz



Goście w S.P.P.
„Niech żyje Polska! Dojście odtrąbiono."



Nauka własna.



Poziomnica 0 — 3800!... Fot. Grosicki



Po 4 — te same dane!... Fot. Grosicki



Z pamiętnika podchorążego

Dzisiaj mieliśmy „bojówkę" z kawalerją, która „konno i zbrojno" zjechała do nas z Ostrołęki.

Ćwiczenia udały się niezgorzej, albowiem p. mjr. Miljan był zadowolony, p. kpt. Kijak też, ale cóż z tego, kiedy my nie jesteśmy znów zbytnio kontenci. Takiego bowiem lania już dawno nie mieliśmy...

Co za niesprawiedliwość losu! Zawsze ktoś musi być pokrzywdzony... Dlaczego nie możnaby było załatwić tego kompromisowo, tak żeby i lis żył i skóry były... Dlaczego z tej gry musi zawsze jedna strona wyjść poszkodowaną?...

Oto ilekroć my poczynamy oszczędzać się i działać z mniejszą brawurą i rozmachem, tylekroć p. Major czuje się jakoś nie tego i naodwrót... Jednem słowem zawsze któraś strona jest pokiwana... I co najgorsze ma to miejsce przez cały długi rok.

Z powyższego zjawiska dałby się wysnuć niezmiernie prosty i logiczny wniosek, że niema pomiędzy nami zgody...

A przecież nie możemy się wiecznie kłócić i toczyć wojny, bo prędzej czy później nastąpi u jednej ze stron wyczerpanie a w rezultacie tego nieuchronna kapitulacja... A więc jaka na to rada?... Uważam, że jest tutaj tylko jedno i jedyne wyjście... Któraś ze stron musi ustąpić dobrowolnie, niema bowiem tutaj dla nas miejsca, Komorów jest dla nas wszystkich zbyt ciasny... Albo p. Major albo my...

Ponieważ zaś podręcznik dobrych obyczajów mówi wyraźnie, że młodszy powinien starszemu zawsze ustąpić miejsca, to też bez najmniejszego sprzeciwu i protestu stosujemy się do tego wyższego nakazu przyrzekamy uroczyście, że w dniu 16 sierpnia wszyscy, jak jeden mąż opuszczamy Komorów... Niech się dzieje co chce... Poco bowiem mamy psuć krew p. Majorowi, po jakiego znów licha ma ze swej strony p. Major wysilać się nad organizacją coraz to nowszych i wspanialszych „wycieczek krajoznawczych"?... Czyż nie lepiej żyć w świętym spokoju i całkowitej zgodzie?... Czyż nie lepiej być przyjaciółmi?...

Wracając do tych naszych dzisiejszych ćwiczeń, muszę nadmienić, że było dosyć gorąco i od promieni lipcowego słońca i od tornistra, którego ciężar gatunkowy zwiększył się wielokrotnie przez dodanie płaszcza i drugiej pary butów.

Tak obładowani wlekliśmy się przez kilka godzin dobrze znaną drogą Ostrów—Różan. Kawalerja, jak zwykle kawalerja nie śmiała nam stawić otwarcie czoła, opukiwała nas tylko co pewien czas ze sędziwego staruszka Maxima, umieszczonego na taczance. Później, gdyśmy weszli do Grond wykonali „koniarze", to co w ich języku nazywa się szarżą. Kilkudziesięciu warjatów wyrwało się z za jakiejś fałdy terenowej i wyjąc przeraźliwie „hurra" i wywijając szabliskami pędziło na nas.

Plunęliśmy na nich raz i drugi z samych tylko „maszynek", gdyż kbk swoje jak zwykle woleliśmy oszczędzać. Wielu z nas z zasady nie strzela ślepakami, bo i poco psuć lufy i amunicję?...

Co się tyczy tej szarży, to rzecz naturalna nie udała się...

Pzyczyną było to, żeśmy spodziewając się jej, zbyt powoli nacierali i nie chcieli podstawić pod uderzenie swego skrzydła, jak to było przewidziane w programie ćwiczenia... Na omówieniu zbeształ nas za to solidnie p. kpt. Kijak, albowiem kurtuazja musi być zawsze nawet na wojnie...

Pomimo to jednak ćwiczenia się udały...

Po powrocie do koszar rzuciłem się na łóżko i oddawałem się przez dłuższy czas uczuciu błogiego bezwładu... Kiedy przyszedłem jako tako do siebie sięgnąłem do szafki po kalendarz i począłem robić ścisły bilans...

Trzydzieści pięć dni!!!... Kalendarz wypadł mi z rąk... — Jeszcze pięć tygodni — jęknąłem rozpaczliwie. Oszaleć chyba przyjdzie...

I poco to wszystko? Po jakiego djabła? W jakim celu? Przecież ja wszystko już umiem... Posiadłem tyle wiadomości, że doprawdy nie wiem co z nimi zrobić... Zresztą tłuczemy przecież to przez tyle lat...

Nie cierpię chronicznie Moskali, jednak dziś trafia mi jakoś do przekonania ich powiedzonko: kogda nie najełsia to uż i nie naliżisia...

Ach, jaki ja jestem przemęczony i wyczerpany!... A czekają mię przecież jeszcze czołgi i przeprawa... Ładnie będę wyglądał na urlopie, niema co... Dobrze jeszcze będzie, gdy przywiozę do domu skórę i kości...

— Wychodzić na obiad! — drze się u drzwi służbowy.

— No, to jedno jest jeszcze coś warte...

Zwlekam się z łóżka, i idę z kwaśnym jak ta zupa obiadowa uśmiechem do jadalni...

* * *

Czyżbym u licha był zakochany?...

O tempora o mores! Podobne pytanie jestem zmuszony postawić sobie ja, podchorąży ostatniego rocznika S. P. P., mający za pięć tygodni sięgnąć zuchwale po gwiazdkę... Coś podobnego przytrafiło się mnie, który byłem dotąd najgorętszym zwolennikiem wolnego i beztroskiego kawalerskiego stanu i wielbicielem „piatiletki", mnie, który nigdy nie znałem co to gorętsze uczucie, którego jedyną lekturą był Regulamin Piechoty cz. I, którego jedyną miłosną korespondencją było pisanie płacht bojowych na temat szkolenia szperaczy...

Są jednak rzeczy na niebie i ziemi o których ani się śniło... Tem dziwniejsze to się wydaje, że coś podobnego mogło się zdarzyć w Komorowie... Wszędzie jest to możliwe, w najbardziej zakazanej dziurze, najbardziej zapadłym zakątku świata ale tutaj w takim klasztorze?... Dajcie żyć panowie...

Bo i w kimże można się tutaj zakochać?... Jedynemi przedstawicielkami płci nadobnej, z którą mamy jaką taką styczność, to jest nasz... personel kuchenny...

Niestety jednak, gdyby taką płeć darzono mianem pięknej, to musiałaby wybuchnąć gwałtowna rewolucja w samem pojęciu piękna i brzydoty i mam wrażenie, że wkońcu zatraconoby granicę pomiędzy jednem a drugiem...

Czyli jednem słowem wykluczone...

Twierdzeniem tem, może nieco śmiałem nie chcę bynajmniej powiedzieć, że w Komorowie jest kompletny brak uroczych cór Ewy... O, nie! Dużo bowiem dałoby się powiedzieć na ten temat...

Lecz cóż za pożytek może przynieść, no dajmy na to ognistemu mieszkańcowi wyspy Tahiti opiewanie wdzięków nadobnej księżniczki, która jest dla niego „Tabu". Rozigra tylko niepotrzebnie wyobraźnię i wzbudzi podejrzenia...

Co zaś się tyczy nas, to delikwentowi takiemu, złapanemu in flagranti grozi nieuchronna kibitka, lub w najszczęśliwszym wypadku, gdyby już był po promocji, spotkanie za barjerką z pistoletem w ręku... Prawda, że niezbyt miła perspektywa?

A jednak... Niech będzie błogosławione to lato, które dzięki swym wywczasom i wakacjom tyle nowych postaci i twarzy ściąga tutaj do nas na letnisko!...

Już tyle pisano i mówiono na temat miłości od czasów najbardziej zamierzchłych do chwili obecnej włącznie, tyle powstało określeń i definicyj, że możnaby było stworzyć z tego całą pokaźną bibljotekę. Pomimo to jednak ośmielę się dorzucić do tego olbrzymiego stosu jeszcze jedno ździebełko, określając je na swój strój...

Miłość to czołg, zdolny złamać i skruszyć najbardziej się piętrzące przeszkody...

Bo i proszę, wbrew tylu argumentom, przemawiającym na niekorzyść tego uczucia, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszelkim prawom logiki, wbrew wszelkim możliwościom, wykluczającym je niemal zupełnie potrafiłem się zakochać w... Komorowie... Bo, że jestem zakochany w prawdziwej kobiecie, to nie ulega najmniejszej wątpliwości... Nie kryję się też z tem wcale...

Ujrzałem Ją poraz pierwszy w naszej bibljotece, tym przybytku mądrości. Siedziałem sobie tam pewnego popołudnia, jak tylu innych podobnych mi próżniaków i głowiłem się nad wyborem odpowiedniej lektury, gdy weszła Ona... Wpłynęła jak powiewna smuga księżyca, lekko, zwinnie, jednak zarazem z niejakiem wahaniem i jakby odcieniem nieśmiałości... Ileż było jednak w tem uroku i wdzięku!... O, długo będę pamiętał tę chwilę!... Zatrzymała się z pewnem zakłopotaniem przy szafce z katalogami. Siedziałem zwrócony ku niej bokiem, to też pomimo usilnego zezowania nie byłem w stanie Jej widzieć. Wówczas zdecydowałem się na krok rozpaczliwy, zarazem jednak niezmiernie śmiały i genjalny w swej prostocie.

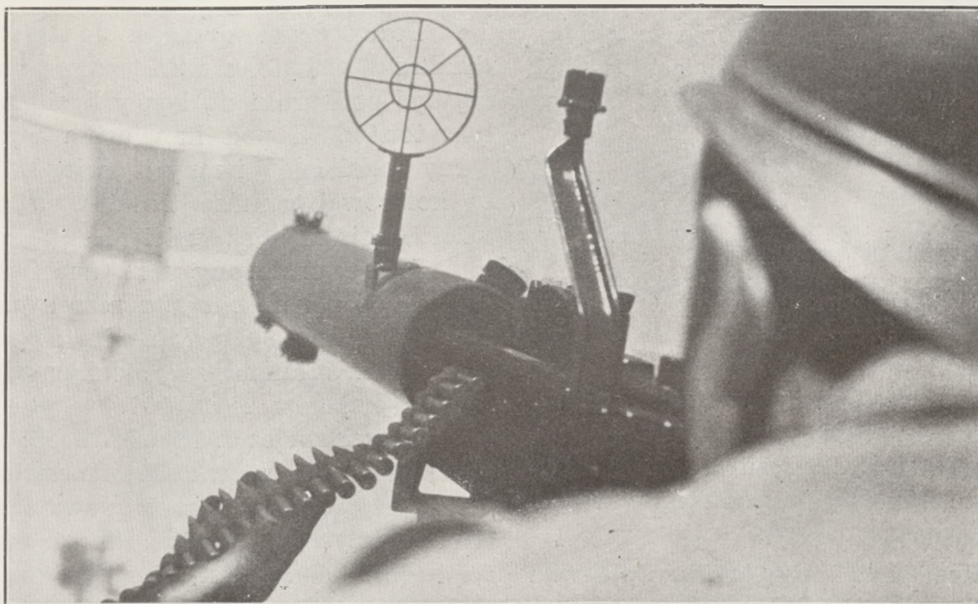
Wstałem od stołu i zbliżyłem się ku szafce, przy której znajdowało się to niebiańskie zjawisko...

Znalazłszy się tuż przy Niej, jakby powodowany jakąś niewidzialną siłą, jakimś nakazem wewnętrznym osunąłem się nagle na kolana i... począłem wpatrywać się uparcie w metalowe grzbiety katalogów, jakby mię one naprawdę interesowały... Głowa moja znalazła się tuż u stóp Jej...

Zaskoczona tem nieco cofnęła się mimowoli o krok, później usiadła przy stole... Złapałem pierwszy z rzędu katalog i już po chwili siedziałem naprzeciwko Niej...

Ach, jakże mi się wydała prześliczną!... Delikatny, jak biały opłatek owal twarzy, na policzkach lekki, zaledwie dostrzegalny rumieniec, zda się naniesiony subtelną ręką artysty, prosty nosek, prześlicznie wykrojone usta, pysznie sklepione czoło i ta kaskada czarnych, jedwabistych włosów...

Przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać od Niej wzroku, wchłaniałem w siebie bez przerwy



Samolot w nadlocie... *Fot. Auterhoff*



10 minut odpoczynku... *Fot. Auterhoff*

Jej obraz, nie byłem w stanie zebrać myśli, które pierzchły jak stado chmur, gdy w nie gwałtowny wicher uderzy...

Prawdopodobnie poczuła na sobie mój natarczywy wzrok, bo oto podniosła głowę i spojrzała na mnie... Oczy nasze na chwilę się spotkały... Zaraz jednak spuściła je, przysłaniając długiemi rzęsami...

Ach, te oczy!... Duże, słodkie oczy gazeli...

Ochłonąłem z pierwszego wrażenia i przychodziłem powoli do siebie... Jednak przez długi jeszcze czas czułem przyśpieszone bicie serca...

Kto to jest? Skąd się tutaj wzięła? Oto pytania, które poczęły mię dręczyć, nie dając ani chwili spokoju.

Pochylony nad katalogiem przerzucałem machinalnie, jak automat jego kartki, jednocześnie zaś niczem złyczyńca, niczem zatwardziały świętokradca obserwowałem ją pokryjomu, napawałem się jej wdziękiem...

Dokoła panował ruch i ożywienie... Co chwila ktoś wchodził lub wychodził... Szelest przerzucanych kartek, szepty, szmery, przyciszone rozmowy... Byłem głuchy na wszelkie objawy świata zewnętrznego, nie istniał on dla mnie, byłem bowiem daleko, daleko, hen w krainie fantazji...

Nagle podniosła się i lekkim, pełnym gracji kroczkiem opuściła salę... Siedziałem chwilę bez ruchu, jakby przygwożdżony... Zaraz jednak porwałem czapkę i wypadłem za Nią...

Lecz już Jej nie było... Stanąłem na moment bezradny, nie wiedząc co począć, niepewny czy pytać o Nią wartownika, czy też dać spokój... Zrezygnowałem jednak z tego ostatniego i powlokłem się ze spuszczoną głową do koszar.

Poraz drugi ujrzałem Ją w kościele... Siedziała z przechyloną wdzięcznie główką i zdawała się być pod urokiem, lejących się kaskadą z organów tonów. Z pod kapelusika wysunął się filuterny pukielek ciemnych włosów, przybierając w kolorowej smudze światła, sączonego przez witraż, najrozmaitsze odcienie.

Jakby urzeczony tem nadziemskiem zjawiskiem, począłem bez ceremonji przepychać się, byle tylko móc Ją lepiej widzieć...

Kilka stłumionych syknięć dbałych o swe odciski kolegów i w ślad za tym idących kilka wymownych spojrzeń otrzeźwiło mię nieco... Stałem przez cały czas ze wzrokiem utkwionym w piękną nieznajomą... Wszystko wydawało się mi w tym dniu piękne i wzniosłe... Nawet panujące w kościele gorąco, nawet niemiłosiernie fałszujący chór...

I co o tem wszystkiem mam sądzić? Na razie sam jeszcze nie wiem... Wiem tylko jedno, że jeżeli podobny stan potrwa nieco dłużej, to nie bacząc ani na okowy „piatiletki", ani na niezłomne poprzednie postanowienia oświadczę się mojej wybranej... Zaraz po promocji muszę Ją odszukać i powiem Jej bez żadnych ogródek: Ty albo żadna!... I niech się dzieje co chce...

Zakochany.





W ubiegłym roku jeden z podchorążych starszego rocznika (obecnie już z Bożej łaski p.podporucznik) tuż kilka dni przed swą promocją zrobił niezmiernie doniosłe odkrycie. Oto stwierdził on, że cała dziesiąta promocja podporuczników jest pozbawiona przednich płatów mózgowych.

Wiekopomne to odkrycie nasunęło mi szereg wątpliwości co i do naszej promocji... Czy przypadkowo my również, nie jesteśmy pozbawieni tych organów?... Po długich i żmudnych badaniach odetchnąłem z ulgą... Chwała Bogu—wszyscy moi koledzy, no i ja również jesteśmy narazie posiadaczami tych nieszczęsnych płatów. Jednak w trakcie tych dociekań wpadłem, zresztą zupełnie przypadkowo na trop innego, niemniej doniosłego dla nas faktu. Oto stwierdziłem, ku memu wielkiemu przerażeniu, że jesteśmy najbardziej pechowym rocznikiem, jaki kiedykolwiek opuszczał komorowskie mury,

Odkrycie to nie należy, rzecz naturalna do przyjemności. Bo i cóż za przyjemność być pechowcem? Komu z nas uśmiecha się mieć naprzykład pecha w miłości lub w karjerze? Br... Zimno się robi na samą myśl o tem...

Dlatego też począłem bronić się rozpaczliwie przed tą straszliwą prawdą. Jak tonący źdźbła słomy, tak ja chwytałem się wątłego promyka nadziei... A może nie... Może się mylę?... Począłem na gwałt studjować dzieje poprzednich roczników i porównywać je z naszym. Mało tego, sięgnąłem jeszcze dalej, bo aż do czasów W. ks. Konstantego. Jednak niestety... Daremny wysiłek i trud.

Co jest przyczyną tego pechowstwa, my sami, czy jakaś vis Major — tego nie będę tutaj rozstrząsał... Wystarczy przecież sam fakt.

Pragnąłbym jedynie podzielić się dziejami tych nieszczęśników z potomnością, pragnąłbym jedynie pokrótce przedstawić te tragiczne momenty naszego żywota, nadające się w zupełności pod pióro Szekspira.

Są to dzieje tak smutne i ponure, że należałoby je spisywać raczej krwią i łzami, a nie zwykłym, ordynarnym atramentem.

Westchnienie nad naszym losem, odrobina współczucia, uroniona przez piękne oczko łezka, będzie nagrodą w zupełności wystarczającą za ten mój kronikarski trud i niczego więcej nie żądam...

Zaczęło się nam nieszczególnie powodzić od samego już początku t. j. od Różana.

Przybyliśmy tam ufni w siebie, pełni nadziei i co najważniejsze pewni na 19 marca pierwszej belki. Jakże może być inaczej?... Musimy ją mieć... Tylu naszych poprzedników ją otrzymało, dlaczegóż więc mielibyśmy być od nich gorszymi?,..

Nadszedł dzień 19 marca, ale bez upragnionej belki. Już wtedy tknęło mię jakieś złe przeczucie... Lecz większość, będąc optymistycznie nastrojona nie przywiązywała do tego większej wagi. To też i ja rychło zapomniałem o tym pierwszym symptomacie.

Dostawaliśmy przez całą wiosnę i lato po skórze i to solidnie, nie przejmowaliśmy się jednak tem zbytnio, wychodząc z tego słusznego założenia, że przecież i naszym poprzednikom było w tym samym czasie niemniej gorąco. Drugim wypadkiem, dającym mi wiele do myślenia był nasz marsz w pierwszych dniach sierpnia z Komorowa na promocję.

Jakże to? Przecież żaden z poprzedzających roczników pomimo mniej czy więcej rozbudzonego zamiłowania do podobnego rodzaju wycieczek, nie ma zanotowanej w swych dziejach, jak ta nasza.

Znów jednak się uspokoiłem (jak wielką jest naiwność ludzi) pocieszając się tą myślą, że nie jest

to nic innego, jak nowy zwyczaj, któremu myśmy przecież dali początek, a który czeka i następne roczniki.

Oczekiwałem więc z pewną niecierpliwością następnej promocji, ażeby wysnuć potwierdzenie swych przypuszczeń. Niestety, i tym razem czekał mię niemiłosierny zawód. Lecz o tem potem...

Przybyliśmy do Komorowa na pierwszy rocznik S.P.P. Początkowo wszystko układało się jak najpomyślniej. Już poczynałem pozbywać się dręczących mię obaw i byłem jak najlepszej myśli tymczasem zaś znowu coś... Jak grom z jasnego nieba rozniosła się wiadomość, że na Boże Narodzenie nie dostajemy frenczów...

Gdybyż tylko samych frenczów... A to ani szaserów, ani sztybletów, ani płaszczów—kompletnie nic...

Tu nawet ci, których natura obdarzyła sporą dozą optymizmu, poczęli zachodzić w głowę. Co jest? Przecież jak świat światem, tak na gwiazdkę otrzymywał nasz rocznik te wymarzone ineksprymable z żółtemi lampasami. Po tym ciosie upłynęła znaczna część roku jakoś spokojnie. Optymiści już znowu poczynali podnosić głowy, lecz tylko optymiści... Bo oto nowy wstrząs... Niema szabel!!! Sierżant-podchorąży i bez szabli... Co za wstyd, co za hańba! Nie przejąłem się jednak tem zbytnio, tyle bowiem spadających razów oszołomiło mię niejako i stępiło do szczętu wrażliwość... Jedno mię narazie tylko interesowało i pochłaniało całą moją uwagę... Czekałem promocji, wypatrywałem jej z najwyższem utęsknieniem i zarazem obawą.... Przyjdą, czy nie przyjdą! — Przymaszerują, czy też nie! — oto pytanie, które mię ustawicznie dręczyło, nie dając ani chwili spokoju. Nie przyszli!... Okrzyk ten wydarł mi się bezwolnie z piersi, kiedy nadszedł dzień promocji. Niestety nie przyszli... A więc to tylko nasz rocznik mógł maszerować czterdzieści kilka kilometrów z Różana do Komorowa, by wziąć udział w promocji... Tylko my...

Już po tym ostatnim ciosie nie miałem żadnych złudzeń... Tak, niestety, jakieś nieubłagane fatum wypisało nad nami swoje Mane, Tekel, Fares i będzie ono nas stale prześladować...

Z wielkim trudem, będąc już o pół kroku od cywila przelazłem na drugi rocznik S.P.P.

Pomimo to jednak nie byłem zbyt sceptycznie usposobiony. Ot tak sobie, raczej średnio... Pomimo świadomości o prześladującym nas pechu czułem się zupełnie nieźle. Bo i jakże mogło być inaczej!... Byłem przecież na starszym roczniku!... P. o. z którym ciągle byłem w kolizji, nie istniał już... Pozostały po nim tylko wspomnienia... Cóż więc mógł mi ktoś zrobić?... — Tak rozumując już od samego początku przestałem czyścić buty i odkurzać szafkę. Byłem przecież na starszym roczniku!...

Dopiero gdy pewnej nocy zbudził mię oficer inspekcyjny, oznajmiając mi, że buty moje jako niezbyt czyste powędrowały za drzwi i gdy nazajutrz ubrany we frencz i przy broni bocznej meldowałem się w kancelarji d-cy kompanji—otwarły mi się nagle oczy.

— Więc i tutaj, na starszym roczniku prześladujesz nas ty bezzębna poczwaro! — skarżyłem się na nieprzychylny nam los. Bo czyż nie pech?... Rocznik nas jak na złość został właśnie zasilony całą falangą „nowicjuszów“ z pułków, którzy nieświadomi tutejszych obyczajów, a prócz tego chcąc odbić na nas, to co utracili w pułkach, używali na nas, że proszę siadać.

Chodziłem przygnębiony i byłem przygotowany na najgorsze... Przyszło ono wraz z wiosną.

— Do Czerwonego Boru nie jedziemy, jak nasi poprzednicy, lecz drałujemy na piechotę!... Mało tego... Oto okazało się, że czeka nas ta przyjemność aż dwa razy... Bo strzelanie z c.k.m. mieliśmy pod koniec kwietnia, a strzelanie artyleryjskie znów kiedy indziej. .

Nie dziwiłem się temu wcale, nie złorzeczyłem jak tylu kolegów, lecz zacisnąłem zęby i machnąłem dwukrotnie po 60 kilosów. Zresztą któż z nas postąpił inaczej?... Już niczemu się nie dziwiłem, nic mię nie było w stanie wzruszyć.

Pod koniec roku poczęło się sypać na nas nieszczęście za nieszczęściem, klęska za klęską.

— Promocja nie 5 sierpnia, lecz dwunastego — gruchnęło naraz po bataljonie. Krzyk, lament i narzekanie...—Lecz przedtem jeszcze samoloty, czołgi, kawalerja i przeprawa!... Kawalerja!!! Słyszane rzeczy?... My, którzy nie mamy pojęcia o konnej jeździe, z których jeden na dziesięciu widział prawdziwego konia — mamy teraz z nią ćwiczyć.

A nasze podporucznikowskie wyposażenie... Śmiech człowieka porywa... Na płacz mi się zbiera, gdy o tem piszę... Dziwię się też, co mi stoi na przeszkodzie, żeby ryknąć jak przysłowiowy bóbr i zalać się łzami... Chyba pójdę do poczciwego gazomistrza na repetycje z lakrymatorów...

Gdzieś w drugiej połowie czerwca gruchnęło nagle jak ze 155-ki, aż echo wstrząsnęło posadami całego Komorowa, że promocje nie 12 lecz, lecz... No zgadnijcie którego. Pierwszego sierpnia?... A jakże! A piętnastego nie łaska?

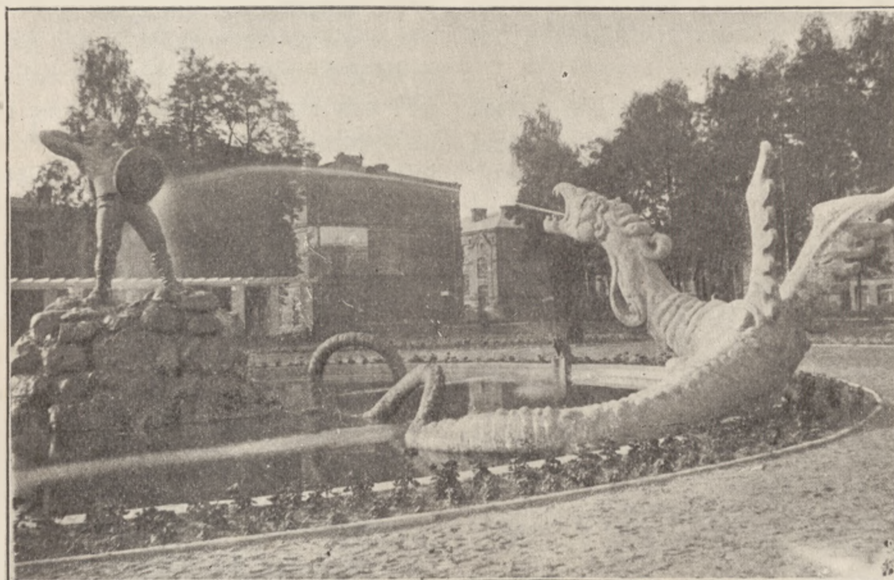
Oto są dzieje naszego rocznika, naszego pechowego rocznika. — Same klęski, same nieszczęścia, spadające jeden za drugim ciosy...

Już nic mię nie jest w stanie zmartwić, ani wytrącić z równowagi... Spokojny jestem i niewzruszony, jak człowiek, który już wiele przeszedł a którego jeszcze niemało tarapatów oczekuje...

Nie zdziwiłbym się bynajmniej, ani bym się

zmartwił, gdyby któregoś dnia oznajmiono, że promocji wogóle nie będzie a na jej miejsce mamy iść do Różan zpowrotem, by rozpocząć znów od początku... Bo czyż to nie jest możliwe? Czyż nie jesteśmy pechowym rocznikiem?...

A któż ośmieli się stawić czoło przeznaczeniu?..



Smok contra Krakus... *Fot. Auterchoff*

Waryszak Wacław

PIĘKNA NIEZNAJOMA

Huk! stuk! — wali Maciej w koła małym, wydłużonym młoteczkiem. Ucho uchwytuje czysty, metaliczny dźwięk. Przechodzi do dalszych wagonów, — jednakowo starannie, z jednakowym nawykiem uderza w stal.

Maciej Pawelski był rewidentem. Z pracą swą zżył się, polubił ją. Po każdym przyjściu pociągu obstukiwał koła, zaglądał do maźnic, przykładał ręce do rozgrzanych osi. Szczególnie lubił gdy na stację wpadał czarny, połyskiem lśniący ekspres. O! wtedy Maciej na długo przedtem czekał na peronie. Ekspres stawał. Kłęby gęstego, czarnego dymu biły z paleniska, sycząc uciekała para z półotwartych cylindrów. Podłużne, o ślicznym, łagodnym kształcie slepingi wyciągniętym sznurem stały jedne za drugiemi. Wówczas z rozkoszą gładził ręką rozedrgane osie, dotykiem pieścił potężne, równe, bryłowato pocięte wały.

Czasami wzywał Macieja naczelnik Fiedorow. Kazał mu rąbać drzewo, kopać ziemię w ogródku, lub bielić drzewka. I to Maciej robił. Wyższy czyn,— ma przecież prawo rozkazywać.

Dziwny to był człowiek ten Maciej. Mieszkał na końcu stacji, w izbie przerobionej ze starego, towarowego wagonu. Wprawił tylko okna i drzwi, — reszta pozostała bez zmiany. Był sam jeden jak ten palec, na świecie. Rodziny nie pamięta. Wzięli go za młodu w sołdaty, dali do ręki karabin ze sztykiem. Bił się hen daleko z Japończami czy Kitajcami,—sam już nie wie jak ich tam zwać. W nagrodę za dobrą służbę otrzymał rządową posadę. Teraz stronił od ludzi; był samotnikiem. Nie znosił ich krzyku, hałaśliwego bytowania, ciągłego niepokoju i ustawicznej gorączkowości. Był jedynym Polakiem między Moskalami. Nie miał przyjaciół. Towarzysze nazywali go mrukiem, mieli za odludka. Gdybyż oni wiedzieli co się nieraz w Maciejowem sercu działo! Jednostajność życia uczyniła go spokojnym, jednakowo dobrym dla wszystkich, zgasiła wszystkie porywy. Było mu jednak czegoś brak, czegoś pragnął, za czemś tęsknił. Ale Maciej nieuczony, nie wiedział jak to nazwać, jak określić, jak wyrazić. Chciał tylko pojechać kiedy do rodzinnej wsi, zobaczyć dom w którym się wychował, pastwisko na którem za krowami latał, — kościół w którym się modlił. Chciał dobrodzieja w rękę pocałować, poczuć znak krzyża nad głową, chciał porozmawiać po swojemu, po polsku. A może mówić zapomniał? Tyle lat!

Jedyną rozrywką była mu praca, jedyną przyjemnością przybycie ekspresu.

* * *

Maciej czekał na peronie. Ukazała się czerwona czapka naczelnika Fiedorowa. Za chwilę szyny poczęły drgać, dźwięczeć, zwiastując przybycie ekspresu. Z hukiem wpadł na stację. Zgrzytnęły hamulce, z chrobotem poślizgnęły się zatrzymane w pędzie koła po gładzi kolein. Delikatnie, jak doktór chorego, bada Maciej koła.

W środkowym pulmanie uchylają się drzwi. Staje w nich młoda, kobieca postać. Z pośpiechem wychodzi na platformę, wodząc dokoła oczyma. Dostrzegła Macieja.

— Słuchajcie, człowieku, weźcie te walizki, tylko prędko, bo nie zdążycie!

Sam nie wiedział kiedy miał je w ręku i niósł za piękną nieznajomą. Stawiając na koźle przygarbił się cały pod ich ciężarem.

— Dziękuję! — pada po polsku.

Maciej stanął jak wryty. Czy go słuch nie myli? Czy nie śni przypadkiem?

Piękna nieznajoma postawiła ręczną walizeczkę. Rozchylony lekko płaszczyk ujawnia wspaniałą, szczupłą w pasie figurkę. Na tle bronzowego kapelusika rysuje się łagodny owal twarzy. Duże wyraziste, niebieskie oczy i matowa karnacja cery tworzą wdzięczny obraz.

— Ile? — otwiera torebkę.

Żachnęło się coś w Macieju. Wzięto go za tragarza. A on przecież rewident, on Maciej z grzeczności tylko... Stał szeroko, rozłożyście, po chłopsku, mnąc czapkę w ręku.

— Macie!

Smagnęło go jak biczem.

— Nie pani, ja nie taki... urywa z zakłopotaniem. Po krótkiej chwili dodaje.

— Pani Polka, pani przed chwilą po polsku mówiła! Ja tu już dawno nie słyszał po polsku! Tyle lat! Jeno ciągiem ruski i ruski.

— To wy Polak?!

Zaiskrzyły mu się oczy. Przemknęło w nich błyskawicą, wyrazem zapaliło zmiętą twarz.

— Tak, pani! Ja tu już dawno! Ot, pracuję, robię! I po ludzku gadać zapomniał!

Gwizd lokomotywy przeszył powietrze. Ekspres ruszał. Ciężko dysząc chodziły tłoki w cylindrach, popychając mimośrody potężnych, stalowych kół. Powoli przesuwały się okna pulmanów, stopniowo zacierały się kontury symetrycznych, gładkich wozów. Miarowy stukot kół, coraz szybszy, szybszy... Jeszcze jeden krótki, urywany gwizd i ekspres znikł za semaforami.

Nieznajoma wsiadła do powozu. Łagodnem, dobrotliwem spojrzeniem obrzuciła Macieja.

— Dowidzenia! — Skinęła ręką.

Powóz potoczył się po wyboistej drodze. A Maciej stał długo, trzymając czapkę przed sobą.

Ogarnęło go dziwne, nieznane dotychczas wzruszenie, zrobiło mu się niewymownie żal, że piękna nieznajoma tak szybko odjechała.

Ta piękna dumna pani była Polką, mówiła tym samym co i on językiem! To nic, że przeszła obok niego obojętnie; była przecież z „panów", była z tych co podróżowali ekspresem, z tych na których Maciej patrzył z czcią i szacunkiem, przed którymi stając, — ściągał czapkę z głowy. Był jej jednak wdzięczny za tą krótką chwilę w której mógł się poczuć Polakiem, mógł zapomnieć, że Maciej Pawelski jest tylko zwykłym rewidentem i niczem więcej.

Wolnym krokiem wrócił na stację, zdał do magazynu latarkę i smary, zapalił papierosa i skierował się w stronę własnego mieszkania.

* * *

Wstawaj! Wstawaj!!!

Ktoś go szarpnął mocno, gwałtownie, porywczo.

Obudzony, wyrwany ze snu Maciej siada na skraju łóżka. Widzi przed sobą złą, nalaną, grymasem wściekłości wykrzywioną twarz Fiedorowa.

Przed wejściem do izdebki czerni się zbita grnpka ludzi; słychać ich wrogie, nieżyczliwe okrzyki.

Drgający płomień świecy rozświetla ciemność dżdżystej nocy; zebrane postacie ludzkie wyglądają jak koszmarne cienie.

— Bydlę! — krzyczy Fiedorow.

Maciej nie może zrozumieć, przeciera oczy, zwolna przytomnieje.

— Panie naczelniku!...

— Milczeć! Swołocz jedna! To tak służby pilnujesz?! Walizki nosisz?! Mało ci jeszcze rządowych zarobków! A potem w drodze zapalają się osie wagonów!

Co on mówi? Czy to może być prawdą?

Jezus Marja! Rzeczywiście! — wczoraj nie przeglądał.

Piękna nieznajoma. Zapomniał. Maciej czuje całą, ogromną winę na sobie. Maleje, kurczy się, ugina pod balastem tego ciężaru.

— Panie naczelniku! ja...

— Milczeć! Ani słowa! W dybki pójdziesz, ty polska mordo!!!

Maciejowi krew płomieniem trysnęła na skórę, żarem zapaliły się oczy, zalśniło w nich niebezpiecznym blaskiem. Mocno zaciśniętą pięścią gruchnął z całej siły w kanciastą, na grubym karku osadzoną głowę. Głośne uderzenie echem ozwało się w nocnej ciszy. Z gardła Fiedorowa wydarł się nieludzki ryk.

Maciej roziskrzony, przejęty, ciężko dysząc stał w miejscu. Ręce zwinięte w kułak groziły

każdemu. Gromada robotników w wyszmelcowanych kapotach rzuciła się na niego.

— Polska morda! — huczało mu w uszach. Opanowała go dzika, paląca, niezmożona potrzeba bicia. Zaczął się bronić, machnął przed siebie raz jeden, drugi, trzeci... Krąg dokoła niego począł się zacieśniać, tężeć; ściśnięto go, sprasowano, stracił swobodę ruchów. Poczuł bolesne kopnięcie w brzuch; uderzenie między oczy zamroczyło go. Zamajaczyły mu się gwiazdy, piękna nieznajoma, naczelnik Fiedorow. Wszyscy tańczyli jakiegoś obłędnego kankana, tarzali się po ziemi, z szyderczym chichotem rozpływali się w nicość. Stracił przytomność.

* * *

Śnieg prószył gęstęmi płatami, opadał na ziemię. Biały całun kłuł oczy blaskiem rozpalonych roziskrzonych igieł. Na okiściach sosen srebrzyły się jasne, białe plamy.

W grubym, chłopskim kożuchu, przepasany sznurem, ładował Maciej drzewo na furę. Zimnisko było wielkie. Co chwila zrywał się wiatr, w podskokach wzniecał białe tumany, wirami okręcał zaśnieżony kłąb.

5-ty rok spędzał Maciej w tej okolicy, 5-ty rok sam jeden na bezludziu. Hen dokoła gdzie okiem sięgnąć — otwarta, lodowa pustynia, lub gęste, nieprzebyte lasy. Nikogo tu nie było. Raz tylko do roku przyjeżdżał kupiec z Krzemieńczuga, kupował skóry, przywoził herbatę i sól. Pewnego razu przywiózł Maciejowi małego psiaka. Dziś Zagaj się wychował i stał się jedynym przyjacielem swego pana.

Ciężko było tu Maciejowi z początku, oj ciężko. Przygniatało go to wielkie, milczące pustkowie, obejmowało grozą i ogromem, mroziło lodem i zawieruchą.

Nocami nawiedzała go tęsknica. Jak przejrzysta, muślinowa pani siadała na krawędzi Maciejowego łoża i wyciągniętym palcem wskazywała mu dalekie, dobrze znane krainy, o złocistych łanach zbóż obramowanych bukietem chabrów i kąkoli, o zielonych kobiercach łąk, o czarnych zoranych niwach. Nieraz budził się Maciej pośród bieli polarnej nocy, budził się rozgorączkowany, podniecony i długo, długo mie mógł zasnąć. Przelatywał mu przed oczyma w zowrotnym pędzie ekspres, przewijała się postać pięknej nieznajomej, przesuwał się przewód sądowy, więzienie i zesłanie.

Dziś przywykł do tej monotonji, spokorniał jeszcze więcej, scichł. Życie potoczyło mu się jednostajnym, zegarkowym kołowrotkiem.

* * *

Pewnej nocy zbudziło Macieja głośne ujadanie Zagaja. Na podwórzu stały długie, chłopskie sanie, do drzwi dobijało się kilku w ciepłe szuby okutanych mężczyzn. Zerwał się, otworzył.

— Co, wy tu sami towarzyszu?!

— Zagaj i ja, — panie!

— Teraz panów niema. Wszyscy są równi!

— Niema?! Czemu?

— Ha! ha! czemu? — Rewolucja towarzyszu! Pany poszły „pod stienku". Dziś my pany!

— I Car na to pozwolił?!

Przybyli wybuchnęli głośnym gardłowym śmiechem.

— Car teraz z czortem w piekle smołę grzeje! Niemasz ty wódki tawarzyszu, bo my tak prawie na śmierć zmarźli?!

— Nie, nie mam!

Pobawili jeszcze chwilę, wypili samowar gorącej herbaty i odjechali. Rój napastliwych, natrętnych myśli obskoczył głowę Macieja. A zatem był wolny, nie obowiązywał go srogi carski nakaz, mógł stąd wyjechać. Nie mogło mu się tylko w głowie pomieścić, że cara niema, nie umiał sobie tego wytłumaczyć, nie potrafił jeszcze w to uwierzyć. Postanowił jutro wyjechać.

Dokąd? Tam gdzie go parło, wzywało, ciągnęło.

* * *

Więc to już Polska? Z ciekawością spojrzał na czysty dworzec. O uszy obijały mu się prawie już zapomniane, a jednak bardzo kochane dźwięki. Maciej nie mógł mówić. Żył w nerwowem naprężeniu; zadużo waliło się wrażeń na zcharatane, prawie już starcze serce. Zaszkliły mu się oczy na widok biało-amarantowych chorągwi

Zeszedł w bok, do parku, usiadł na niskiej ławeczce. Trudną miał drogę powrotu. Jechał na dachach przepełnionych pociągów, siadywał na buforach towarowych wagonów, bił się o wiszące miejsca w przedziałach. Nie sypiał, przez kilka dni nie miał nic w ustach. Na postojach bał się zejść by nie stracić zdobytego miejsca.

Z pobliskiego miasteczka ozwały się kościelne dzwony. Maciej padł na kolana; z głębi dobył się krótki urywany szloch. Bił się mocno w piersi, bezsłownemi wargami powtarzał modlitwę. Płakał bez łez, płakał długo, zamknięty w sobie. Owładnęły nim niemoc i błogość; wzruszeniem zatliły się rysy.

A dwony biły, biły... Zupełnie tak samo jak w dzieciństwie, gdy z chłopakami chodził na sumę. I dobrze było Maciejowi. Grały mu one jak najcudniejsza muzyka. Powstał z klęczek. Szczęściem jaśniało wycieńczone oblicze, na usta wybiegł pogodny uśmiech.

Zarzucił tobół na plecy i podążył w kierunku czerwonych, miejskich budynków.

PROGRAM RADJOWY NA „DZIEŃ PODCHORĄŻEGO"

W „dniu Podchorążego" jako w dniu święta, radości i wesela będzie czynne przez cały czas radjo, przez które wypowiedzą się najwybitniejsze siły, jakiemi rozporządza nasza S. P. P. Na program dnia złożą się: deklamacje, chór, rewelersi i cały szereg odczytów z najrozmaitszych dziedzin i na najrozmaitsze tematy. A więc:

Godz. 10. — Słowo „Wstępujące" wygłosi por. Shocking. Pożądana jest jak największa liczba panów podchorążych przy głośnikach, którzy zjadłszy już w tym czasie sute śniadanie będą mieli doskonałą sposobność do odbycia lekkiej drzemki, działającej niezmiernie dodatnio na trawienie.

Godz. 10,30. — Deklamacja. Wiersz p. t. „Do Ojca Turka" wygłosi znany i ceniony w szerokich kołach podchorążackich jako utalentowany deklamator pan pchor. Sadulec.

Godz. 10,45. — Odczyt na temat: „Jak zostałem najlepszym artylerzystą w bataljonie" — wygłosi pan pchor. Bluj. Odczyt ten będzie miał charakter feljetonu, w którym autor z właściwą sobie erudycją i werwę przedstawi kilka miłych i pogodnych pejzaży, mających charakter osobistych przeżyć i wspomnień. Główną osią, wirującej żywo akcji będzie ów niezapomniany moment, kiedy to czcigodnemu prelegentowi, dzięki tylko niezwykłej bystrości i wrodzonej przytomności umysłu udało się wywieść w pole starego cwaniaka artylerzystę.

Gdz. 11. — Chór I Baonu odśpiewa „Sztandary na Kremlu".

Godz. 11,15. — Odczyt z dziedziny metodyki wychowawczej p. t. „Ilu ludzi oddałem pod sąd polowy a ilu skazałem na „dożywocie" — wygłosi por. Puzon.

Godz. 11,30. — Studjum psychologiczno-taktyczne na temat: „Panika a metody dowodzenia pozoracją" — por. Panikarz.

Godz. 11,45. — Deklamacja. Wiersz p. t. „Właśnie, z pogodnych niebios" — wygłosi por. Saxofon.

Godz. 12. — Przerwa obiadowa. Panowie podchorążowie opuszczają sale wykładowe i udają się z godnością do jadalni. Podczas obiadu przygrywa orkiestra S. P. P. pod batutą st. strzelca Ciuciurupy. Zostaną odegrane: „Pij bracie pij", „Piłem kto mówi, że nie piłem".

Godz. 14. — Odczyt z dziedziny dydaktyczno-wychowawczej na temat: „Oficer a moje metody wychowawcze" — wygłosi kpt. Ogrodowski. Obecność 4 komp. przymusowa.

Godz. 14,30. — Studjum sensacyjno-kryminalne. „Jak wykryłem i zlikwidowałem groźny bunt w jednym z plutonów" — wygłosi kpt. Łopatodziejewski.

Cały II pluton 2 komp. przy głośniku!

Godz. 15. — Chór rewelersów odśpiewa: „Promocjo, promocjo", „O gwiazdeczko...", „Bywaj mi zdrowy Komorowie...".

Godz. 15,30. — Odczyt z dziedziny strzeleckiej. „Kolorowe nalepki a teorja sztywności toru" — wygłosi por. Hipek. Na odczycie tym pożądana jest jak największa liczba słuchaczy a to ze względu na szeroki rozgłos i sławę, jaką cieszy się prelegent w tutejszych kołach bractwa kurkowego, nie mówiąc już o nagrodzie Nobla, którą otrzymał za napisanie podobnej już pracy.

Godz. 16. — Studjum psychologiczne. „Jak pozyskałem sympatję i podbiłem serca mych wychowanków" — wygłosi por. Wozodziejski.

Godz. 16,30. — Odczyt z dziedziny historyczno-taktyczno-strategicznej — „Kanny w świetle najnowszych badań" — wygłosi redaktor „Rzeczpospolitej Podchorążackiej".

Godz, 17. — Orkiestra S. P. P. przygrywa do kolacji „Po kieliszku, Panie, jest ci, Panie lepiej..."

Godz. 19. — Studjum z łączności — „Jak nauczyłem dowódcę dywizji sygnalizacji chorągiewkami" — por. Pawłowski Jan.

Godz. 19,30. — Rewelersi II Baonu odśpiewają: „P. o. nie wróci już...", „Idź nie wracaj!", „Jak mię wylewali".

Godz. 20. — Odczyt z geografji wojskowej — „Nasze „osrodki" przemysłu wojennego" — wygłosi kpt. Bysio.

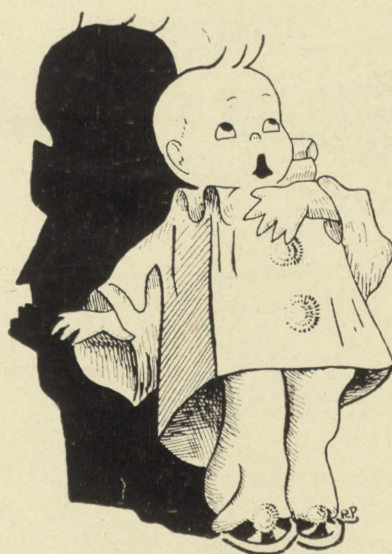
Godz. 20,30. — Rozważania z dziedziny chemji organicznej — „Baczewski czy pejsachówka" — por. Sgęściński.

Godz. 21. — Chór I Baonu odśpiewa: „Czas do pracy, czas..."

Godz. 22. — Cisza. Orkiestra S. P. P. gra pianissimo:

„Śpij dziecino już!"

A teraz proszę za mną...



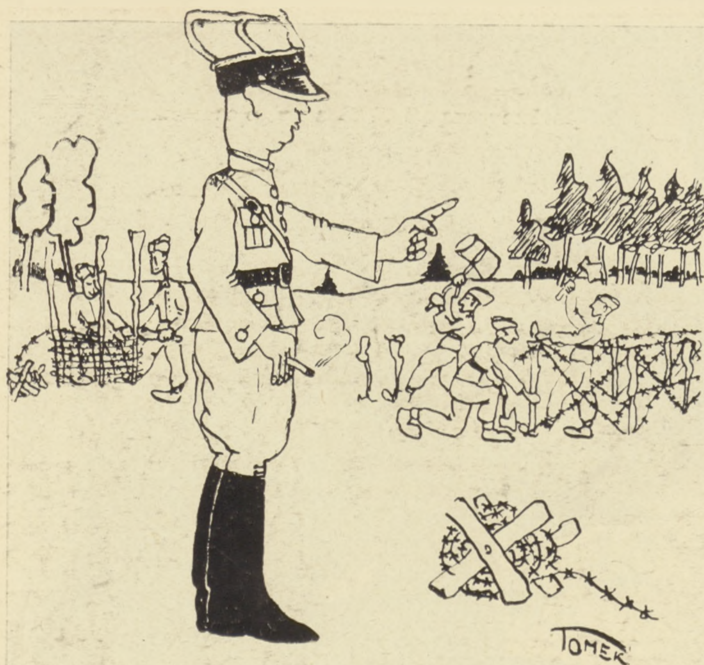


Gdy kaznodzieję ponosi jego własne krasomówstwo...

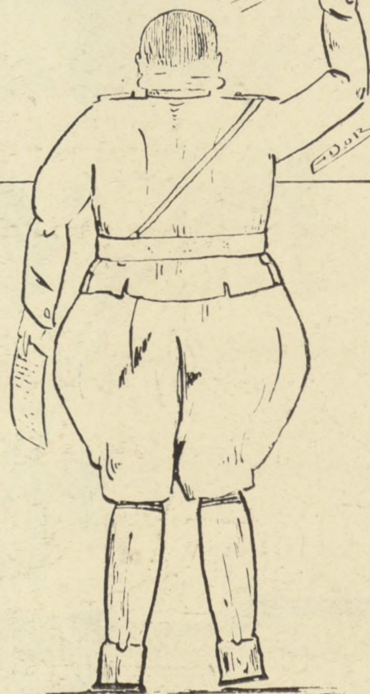


Batory pod... Komorowem...

Wykon. Grosicki i Auterhoff



Oszczędzać klamerki!...



Mistrz od ars tirare...

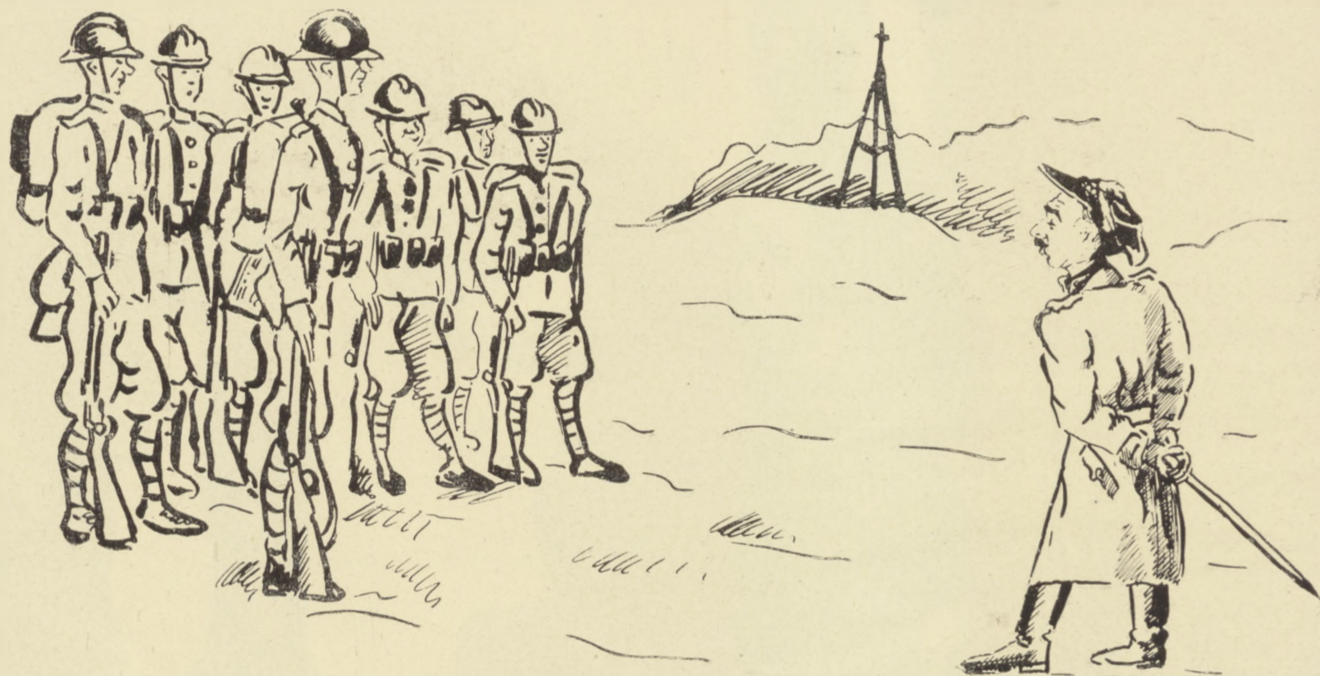


„Wódz 1-szej".



Nasi „Wodzowie" w akcji pod Sokołami... — *Wykon. Grosicki i Auterhoff*

Hallo! Hallo!
Tu stacja meteorologiczna S. P. P., przepowiadająca nieomylnie deszcz, grad, burzę jak i słoneczne dni!... czyli:



...kiedy „Jowisz", pytając z Regulaminu Piechoty jest w dobrym humorze...



...a gdy znów gromy ciska na nieuków..



Warta w „Dniu Podchorążego"...

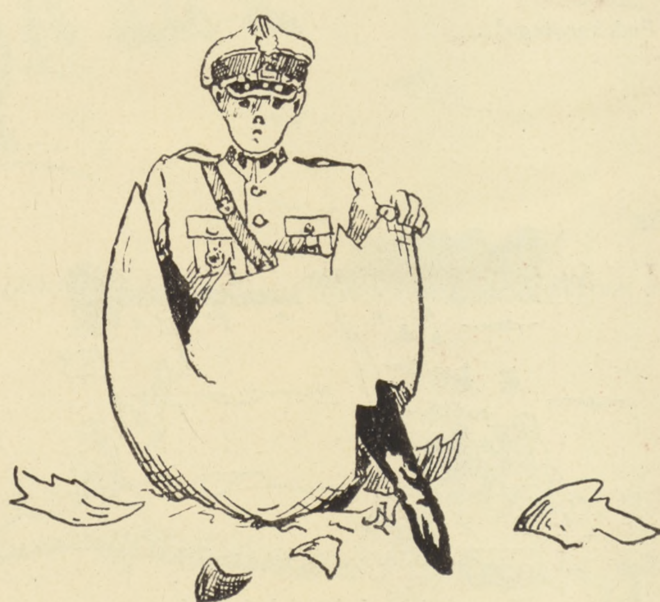


Projekt nowego pomnika, mającego zapełnić ostatnią lukę...



Fragmenty z ćwiczeń bojowych...





Nowowylęgłe pisklę...

Dział statystyczny

zestawił Zawadzki Jan.

KADRA OFICERSKA 11 PROMOCJI
Szkoły Podchorążych Piechoty

Życie nasze posunęło się o trzy lata wprzód od chwili nałożenia munduru żołnierskiego. Przez ten czas przewinęło się cały szereg postaci: Dowódców, Wykładowców i Instruktorów, którzy ciężką a wytrwałą pracą, kształtowali nasze młodociane serca żołnierskie.

W tem krótkiem zestawieniu pragnę uwiecznić Ich nazwiska, aby tworzyły miłą pamiątkę z pobytu w S. P. P.

W opracowaniu tem nie uwzględniam zmian obsady Komendy Szkoły i Bataljonów, które zacierałyby jasność działu statystycznego. Podaję tylko Tych, przez których przechodził nasz rocznik.

Rok szkolny 1931 — 32.

KOMENDA SZKOŁY:

Komendant Szkoły	płk. dypl.	Bociański Ludwik
Z-ca Kom. Szkoły	ppłk. dypl.	Łańcucki Seweryn
Adjutant Szkoły	kpt.	Sztompka Wiktor
Of. Strz. Szkoły	kpt.	Roman Kazimierz
Of. Ew. Pers.	por.	Wierzyński Stefan
Instr. Wych. Fiz.	por.	Zięba Jan
Kwatermistrz	mjr.	Warchoł Stefan
Of. Mat.	kpt.	Harner Edward
Of. Żywnościowy	por.	Słowikowski Wacław
Płatnik	por.	Świtaj Lucjan
Naczelny Lek. Szkoły	kpt. lek. Dr.	Wagner Bronisław
Kapelan i wykł. etyki	ks. kpl.	Tomczak Franciszek
Kapelmistrz	por.	Zakrzewski Kazimierz.

III BAON:

Dowódca baonu	ppłk.	Tomiak Stanisław
Adjutant baonu	kpt.	Górecki Tadeusz
Podkwatermistrz	kpt.	Zimowski Witold
Instr. wyszk. strz. i d-ca plut. c.k.m.	kpt.	Janik Leon
Wykład teren. i matematyki	kpt.	Ryniewicz Tadeusz
Asystent terenoznawstwa	por.	Renkawek Roman
Wykładowca hist. i geogr.	kpt.	Zieliński Hugon
Lekarz baonu	ś. p. kpt.	Mrozowski Feliks
Wykładowca łączności	kpt.	Zarębski Bolesław
Instr. Wych. Fiz.	por.	Tomaszewski Stan.

9 KOMPANJA:

D-ca 9 kompanji	kpt.	Malak Feliks
„ I plutonu	por.	Król Jan
„ II „	por.	Ostrowski Franciszek
„ III „	por.	Majewski Czesław
Instr. wyszk. strzel.	por.	Żaboklicki Marjan.

10 KOMPANJA:

D-ca 10 kompanji	kpt.	Marcinkiewicz Stefan
„ I plutonu	por.	Kurkowski Mieczysław
„ II „	por.	Gdulewicz Adam
„ III „	por.	Ruciński Tad. Juljan
Instr. wyszk. strzel.	por.	Sikorski Wacław.

11 KOMPANJA:

D-ca 11 kompanji	kpt.	Chrzanowski Jan
„ I plutonu	por.	Wolanowski Jerzy
„ II „	por.	Wtorek Jan
„ III „	por.	Kamiński Bolesław
Instr. wyszk. strzel.	por.	Kowalewski Leon.

12 KOMPANJA:

D-ca 12 kompanji	kpt.	Wojciechowski Jan
„ I plutonu	por.	Rozborski Antoni
„ II „	por.	Weber Wilhelm
„ III „	por.	Smeilis Stanisław
Instr. wyszk. strzel.	por.	Kaucz Jan.

ROK 1932 — 33.

Komendant Szkoły	płk. dypl.	Bociański Ludwik
Adjutant Szkoły	kpt.	Sztompka Wiktor
Of. Strzel. Szkoły	kpt.	Roman Kazimierz
Kwatermistrz	mjr.	Warchoł Stefan
Kapelan i wykładowca etyki	ks. kpl.	Tomczak Franciszek
Instruktor gazoznawstwa	kpt.	Barcik Jan
Kierownik W. F. Szkoły	por.	Zięba Jan
Of. Adm.-mat.	ś. p. kpt.	Fabis Władysław
Of. żywnościowy	por.	Słowikowski Wacław
Płatnik	por.	Świtaj Lucjan
Naczelny lekarz Szkoły	kpt. lek. Dr.	Wagner Bronisław
Młodszy „ „	kpt. „	Pasieczny Tadeusz
Kapelmistrz	por.	Zakrzewski Kazimierz
Kierownik kancelarji	por.	Michalski Konstanty

II. BAON:

D-ca baonu	mjr.	Korkiewicz Jan
Instruktor broni maszynowej	kpt.	Wodecki Bolesław
Instruktor W. F.	por.	Heyer Ernest
Wykładowca taktyki	kpt. dypl.	Januszkiewicz Edmund
„ historji	kpt.	Rowiński Janusz
„ geografji	por.	Antos Władysław
„ łączności	por.	Ślęzak Andrzej
„ terenoznawstwa	por.	Słupeczański Bronisław
Asystent	por.	Kowalski Stanisław

Poprawki działu statystycznego.

Zamiast Cjimura winno być Cimura.

1 komp.

Zamiast Matuszewicz winno być Matuszewic.

2 komp.

Zamiast Bałkiewicz winno być Batkiewicz.

3 komp.

Zamiast	*Gdał*	*winno*	*być*	*Golat*
„	*Keeler*	„	„	*Koehler*
„	*Perch*	„	„	*Perek*
„	*Ptachowski*	„	„	*Plackowski*
„	*Żułowiński*	„	„	*Żuławiński*

4 komp.

Zamiast Jandis winno być Jandzis.

Wykładowca pionierki	kpt.	Lichodziejewski Kazim.
„ artylerji	por.	Wodnicki Jan
„ języków	por. em.	Brzózka Eugenjusz
„ języka ros.	prof.	Kuczera
„ ros. i psych.	prof.	Monkiewicz
„ niem.	prof.	Mallov

5 KOMPANJA:

D-ca 5 kompanji	kpt.	Kuferski Wacław
„ I plutonu	por.	Szatz Jerzy
„ II „	por.	Wojtaniec Tadeusz
„ III „	por.	Michalewicz Stanisław
Instruktor wyszk. strzel.	por.	Zalewski Kazimierz

6 KOMPANJA:

D-ca 6 kompanji	kpt.	Cjimura Emil
„ I plutonu	por.	Paszki Kazimierz
„ II „	por.	Mielnicki Stanisław
„ III „	por.	Baczyński
Instruktor wyszk. strzel.	por.	Stasiewicz Wacław

7 KOMPANJA:

D-ca 7 kompanji	kpt.	Harner Edward
„ I plutonu	por.	Ringel Arnold
„ II „	por.	Michułka Stanisław
„ III „	por.	Gryglewski Romuald
Instruktor wyszk. strzel.	por.	Kossecki Józef

8 KOMPANJA:

D-ca 8 kompanji	kpt.	Hrycek Stanisław
„ I plutonu	por.	Faliszewski Stanisław
„ II „	por.	Czarniawski Marjan
„ III „	por.	Paluch Andrzej
Instruktor wyszk. strzel.	por.	Skerl Karol

ROK 1933 — 34.

Komendant Szkoły	płk. dypl.	Bociański Ludwik
Adjutant	kpt.	Ćwiąkalski Józef
Instruktor wyszk. strzel. Szkoły	kpt.	Roman Kazimierz
Kwatermistrz	kpt.int.dypl.	Nomarski Zygmunt
Płatnik	por.	Świtaj Lucjan
Of. Adm.-mat.	kpt.	Gajowski Władysław
Z-ca of. adm.-mat.	por.	Liniarski
Naczelny lekarz Szkoły	kpt. dr.	Wagner Bronisław
Kierownik W. F.	por.	Domaradzki Kazimierz
Kapelan S. P. P.	ks. kpt.	Tomczak Franciszek

I. BAON:

D-ca baonu	mjr.	Miljan Stanisław
Instruktor wyszk. strzel.	kpt.	Słodkiewicz Wł.
Wykładowca etyki	ks. kpl.	Tomczak Franciszek
„ taktyki	kpt. dypl.	Kijak Stanisław
„ historji	kpt. dypl.	Migula Eryk
„ terenoznawstwa	kpt.	Soroko Romuald
„ geografji	kpt.	Lenkiewicz Władysław
„ pionierki	kpt.	Pecha Antoni
„ gazoznawstwa	kpt.	Barcik Jan
„ prawa i ekonomji	kpt. int. dypl.	Nomarski Zygmunt
„ łączności	por.	Piotrowski Jan
„ kor. i zwycz. tow.	por.	Wierzyński Stefan
„ artylerji	por.	Srzedziński Zygmunt
„ dydaktyki i jęz.	por. emeryt.	Brzózka Eugenjusz
„ jęz. ros.	prof. inż.	Kuczera
„ „	prof.	Monkiewicz
„ niem.	prof.	Mallov
Instruktor W. F.	por.	Banaszkiewicz Wład.
„ „	por.	Kania Roman

1 KOMPANJA:

D-ca 1 kompanji	kpt.	Zarzycki Władysław
„ I plutonu	por.	Waligóra Władysław
„ II „	kpt.	Miciński Wacław
„ III „	por.	Chocholski Bolesław
Instruktor wyszk. strzel.	por.	Wąsowski Henryk

2 KOMPANJA:

D-ca 2 kompanji	kpt.	Mischke Wincenty
„ I plutonu	por.	Piotrowski Ksawery
„ II „	por.	Osuchowski Mieczysław
„ III „	por.	Szczęsny Mieczysław
Instruktor wyszk. strzel.	por.	Stawicki Józef

3 KOMPANJA:

D-ca 3 kompanji	kpt.	Janowski Stanisław
„ I plutonu	por.	Faliszewski Stanisław
„ II „	kpt.	Lichodziejewski Kaz.
„ III „	por.	Świderski Hipolit
Instr. wyszk. strzel.	por.	Śniecikowski Adam.

4 KOMPANJA:

D-ca 4 kompanji	kpt.	Sadowski Karol
„ I plutonu	por.	Kołodziejski Józef
„ II „	por.	Bielecki Jan
„ III „	por.	Biske Zygmunt
Instr. wyszk. strzel.	por.	Proń Bronisław.

LISTA IMIENNA

ABSOLWENTÓW SZKOŁY PODCHOR. PIECHOTY, MIANOWANYCH W DNIU 15.VIII 1934 R. ROZPORZĄDZENIEM PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ, PODPORUCZNIKAMI W PIECHOCIE.

Prymus Szkoły ppor. **Stawicki Feliks.**

1 KOMPANJA

Anyszka Jan
Bes Stanisław
Bęgowski Józef
Bielenin Mieczysław
Bieleń Mieczysław
Bobowski Mieczysław
Bogucki Feliks
Borowiczka Zbigniew
Brożek Stanisław
Buryło Kazimierz
Chrzanowski Mieczysław
Ciupka Kazimierz
Czausow Aleksander
Danecki Juljan
Dawidowicz Dominik
Duczmal Marjan
Dziubek Zenon
Dylla Kazimierz
Eichstaedt Jan
Filip Jan
Fiszer Marjan
Frąckowiak Tadeusz
Gapik Edward
Górski Jan
Gutowski Edmund
Hałuszka Tadeusz
Hromadzki Władysław
Janowski Józef
Janowski Piotr
Jurkiewicz Bogumił
Jurkowski Jan
Kaniak Tadeusz
Kazimierczak Antoni
Kęska Paweł
Kintopf Mieczysław
Klubiński Kazimierz
Koc Władysław
Kot Józef
Kowalewski Kazimierz
Kuchnik Władysław
Kulwieć Jan
Kulbacki Hieronim
Kurzawa Brunon
Lutrzykowski Antoni
Lechowitz Zygmunt
Machnica Adam
Malanek Stefan
Mandziara Michał
Matuszewicz Jan
Mazur Franciszek
Miłosz Cyprjan
Misiewicz Władysław
Moos Karol
Moszyński Zbigniew
Nowak Kazimierz
Olejniczak Leon

Oleś Jan
Orłowski Kazimierz
Orzechowski Kazimierz
Ostrowski Zbigniew
Paolone Tadeusz
Pawulski Tadeusz
Pędzikowski Konstanty
Płachciński Stanisław
Podgórski Kazimierz
Pokrowski Eugenjusz
Połoński Witold
Pusch Sergjusz
Ptasiński Mieczysław
Rachwał Kazimierz
Rogalski Władysław
Rolecki Czesław
Rudnicki Ryszard
Ryba Rudolf
Rybak-Rybakiewicz Zygmunt
Sabor Stanisław
Sikorski Jan
Siliński Stefan
Skwarczak Franciszek
Słupiński Brunon
Sokół Władysław
Starewicz Zenon
Stelmach Tadeusz
Strączek Tadeusz
Szarama Zbigniew
Szczepański Mieczysław
Szewczyk Zygmunt
Szyjkowski Leon
Szmal Michał
Tarczewski Bogdan
Tyczyński Emil
Ułan Józef
Walczyk Zbigniew
Warchałowski Edward
Winkler Adelin
Wiśniewski Jan
Wiewiórka Franciszek
Wolski Ludwik
Worek Franciszek
Wzorek Stanisław
Załucki Kazimierz
Zarobkiewicz Ignacy
Zawadzki Jan
Zdeb Wojciech
Żeglin Bronisław
Żółciński Zygmunt

2 KOMPANJA

Andruchow Karol
Baran Marjan
Bartkowiak Marjan
Bałkiewicz Józef
Bączkowski Stefan
Białogrodzki Adolf
Bieroń Antoni
Biłowus Jan
Bojarski Zbigniew
Borkowski Henryk
Bratek Jan
Bronisławski Apolinary
Burski Eugenjusz
Ciągło Franciszek
Cichopek Edward
Cichocki Juljan
Czabanowski Kazimierz
Czaja Antoni
Czerwiński Tadeusz
Diadyk Leonid
Drozdowski Adolf
Drożak Stefan
Drzyzga Bernard
Dymowski Stanisław

Dzięciołowski Juljan
Fijałkowski Marjan
Frydel Kazimierz
Gałczyński Zbigniew
Gąsowski Antoni
Geissler Antoni
Grysiewicz Marjan
Horodyski Tadeusz
Iwankiewicz Wincenty
Iwaszkiewicz Jan
Jarczewski Józef
Jaroszyński Zbigniew
Jarzyna Mieczysław
Jaworski Tadeusz
Jędrzejowski Edward
Jurczak Bolesław
Kalkowski Tadeusz
Kalinowski Bronisław
Kałużny Stanisław
Karwacki Franciszek
Klekowicki Zygmunt
Klich Mieczysław
Kłaczyński Bolesław
Kopczyński Jerzy
Kozal Władysław
Koźlikowski Zygmunt
Krasnopolski Bronisław
Kronglej Kazimierz
Krzewicki Juljan
Kubjak Wacław
Kupczun Antoni
Kurzempa Zenon
Kuta Alojzy
Lebiedź Antoni
Lis Józef
Madej Edward
Majorek Aleksander
Maliszewski Edward
Marszałek Ludwik
Mazurek Kazimierz
Michalski Zbigniew
Migula Ewald
Nowakowski Marjan
Ośka Leon
Osiczko Marjan
Pająk Leon
Parylak Wilhelm
Pękalski Wiktor
Pisarek Marjan
Pochwat Włodzimierz
Pogonowski Józef
Pokropek Józef
Pruszyński Karol
Puzyna Stanisław
Pytlakowski Tadeusz
Radoniewicz Zbigniew
Rębiarz Ignacy
Rost Edward
Rutka Roman
Sadowski Władysław
Senatorski Leon
Siewierski Jan
Skinder Bolesław
Skorek Antoni
Skowronek Franciszek
Sochacki Kazimierz
Soszyński Juljusz
Staszałek Stanisław
Stawicki Feliks
Steckiewicz Józef
Straub Stanisław
Stüber Erwin
Świstek Stanisław
Tryba Zbigniew
Vogl Stanisław
Waryszak Wacław
Wędzicha Kazimierz
Widuch Franciszek
Witowski Stanisław
Wojniusz Edward

3 KOMPANJA

Adamowicz Kazimierz
Bach Franciszek
Bidny Franciszek
Biel Kazimierz
Bendyk Feliks
Bohlen Tadeusz
Bońkowski Jerzy
Browko Eugenjusz
Bukład Kazimierz
Bukowski Tadeusz
Bukowski Józef
Cieślicki Rafał
Chrzanowski Zygmunt
Chyczewski Janusz
Domaradzki Jerzy
Duszyński Lucjan
Dynowski Jan
Fortuna Ludwik
Gabszewicz Aleksander
Gała Stanisław
Giedgowd Witold
Głąb Kazimierz
Głowacki Czesław
Gdał Tadeusz
Gudz Franciszek
Handke Teobald
Hanus Czesław
Hess Władysław
Hromada Henryk
Ignaszak Antoni
Jaczyniec Władysław
Jakubowski Stefan
Janocha Tadeusz
Janowski Władysław
Jarek Tadeusz
Jaszczuk Włodzimierz
Jędryszek Mieczysław
Kępa Józef
Kępa Zdzisław
Kinowski Wiktor
Koeler Aleksander
Kolankiewicz Józef
Kopyto Tadeusz
Kot Klemens
Kordas Ludwik
Kowalski Edward
Krajewski Leon
Kryszczuk Franciszek
Kuczerowski Walenty
Kucharczyk Karol
Kustrzyński Zbigniew
Lindner Sławomir
Łęczycki Józef
Mach Mikołaj
Madaliński Wacław
Majewski Stefan
Makar Józef
Maślonka Leon
Matusiak Bolesław
Mereszczowski Stanisław
Mrotek Stanisław
Niewiarowski Bolesław
Nowakowski Tadeusz
Oleś Tadeusz
Orłowicz Ludwik
Oszczakiewicz Franciszek
Pakuła Józef
Pauzner Kazimierz
Penconek Jan
Perch Marjan
Ptachowski Eranciszek
Pluta Aleksander
Roszczyn Waldemar
Rosikon Bogumił
Rusiecki Adolf
Rytwiński Edward
Sabuda Aleksander
Sasin Jerzy
Sałkiewicz Czesław
Seredyński Jan

Sikorski Bogumił
Skrzypek Władysław
Smagowicz Kazimierz
Słonina Franciszek
Sobociński Wacław
Sokołowski Władysław
Stachura Józef
Stacherski Bronisław
Strejczek Adam
Sudnik Piotr
Sykut Stanisław
Tkaczyk Bolesław
Tyśluk Paweł
Wajdowicz Mieczysław
Wasilkowski Zygmunt
Wilczyński Wacław
Wielgomasz Józef
Wojas Władysław
Zawadzki Henryk
Zborowski Stanisław
Żelaźniewicz Walerjan
Żułowiński Józef

4 KOMPANJA

Auterhoff Wilhelm
Bednarski Jan
Betlej Stanisław
Błażewicz Józef
Bobołowicz Mieczysław
Boruc Michał
Bukowy Kazimierz
Burkiewicz Antoni
Ciaś Stanisław
Cieślar Jan
Cybulski Konstanty
Chrząstowski Juljusz
Chruściel Czesław
Czul Franciszek
Decowski Henryk
Dobaczewski Lucjan
Dolecki Włodzimierz
Dorszewski Edward
Durkalec Józef
Fiszer Jan
Gajewski Tadeusz
Goljan Tadeusz
Grzegorski Władysław
Grzybowski Jan
Hasiak Czesław
Hoffman Eugenjusz
Jakubowski Marjan
Janiak Zenon
Januszewicz Wojciech
Jandis Stanisław
Jaroszewski Tadeusz
Jastrzębski Czesław
Jażewicz Michał
Kaczówka Stanisław
Kantecki Lech
Kodrębski Andrzej
Kosiacki Eugenjusz
Kotarba Andrzej
Kuczyński Juljan
Krukowski Jan
Kwiatkowski Seweryn
Lasoń Jan
Lewandowski Kazimierz
Ławreńczuk Bohdan
Łuczyński Stanisław
Malanowicz Antoni
Makulec Wacław
Masłowski Adolf
Menczyk Zbigniew
Metzger Józef
Michalak Edward
Mikienko Antoni

Mikulski Antoni
Mierczyński Leon
Mirecki Wincenty
Minakowski Zygmunt
Miezin Stanisław
Mosakowski Henryk
Opala Antoni
Orłowski Bronisław
Paprotny Tadeusz
Pawica Władysław
Piechowicz Stanisław
Pikulski Feliks
Podbielski Roman
Porębski Florjan
Poziemski Włodzimierz
Przymeński Władysław
Raj Marjan
Rejer Bolesław
Sadowski Władysław
Seniuta Jan
Skierkowski Roman
Smela Jan
Sochański Władysław
Storc Józef
Stryszek Alfons
Syrokomla Jerzy
Szulc Witold
Szydłowski Edward
Wawrzyczek Jan
Wieliczko Stanisław
Wierdak Władysław
Woda Michał
Wojciechowski Ksawery
Wojciechowski Jan
Wojno Mieczysław
Wokacz Zbigniew
Woldan Stefan
Wróbel Jan
Wójtowicz Michał
Wrzeszcz Leon
Wyrostek Wacław
Wyżliński Piotr
Zabielski Edmund
Zając Aleksander
Zalewski Witold
Zasławski Kazimierz
Zastawny Bronisław
Zienc Albin



REDAKTOR NACZELNY:

B O L E S Ł A W   S K I N D E R

ZASTĘPCA REDAKTORA:

W A R C H A Ł O W S K I   E D W A R D

ADMINISTRATOR:

Z A W A D Z K I   J A N

KOMITET REDAKCYJNY:

NOWAKOWSKI, RUDNICKI, KRYSZCZUK, PAKUŁA, AUTERHOFF, BŁAŻEWICZ

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE WYKONALI:

AUTERHOFF, HORODYSKI, JURKOWSKI, NOWAKOWSKI, ogn. GROSICKI, sierż. HOFFMAN

RYSUNKI I KARYKATURY:

WARCHAŁOWSKI, PAKUŁA, DORSZEWSKI

KLISZE WYKONANO:

W Zakładzie Artystyczno-Chemigraficznym
S T R Z E L C Z Y K,   G R A B S K I   i   L I N K O W S K I

SKŁAD I DRUK WYKONAŁA:

Drukarnia „SPOŁECZNA“ w Warszawie, Pl. Grzybowski 3/5.

DRUKARNIA SPOŁECZNA
WARSZAWA
PL. GRZYBOWSKI 3/5 TEL. 205-80